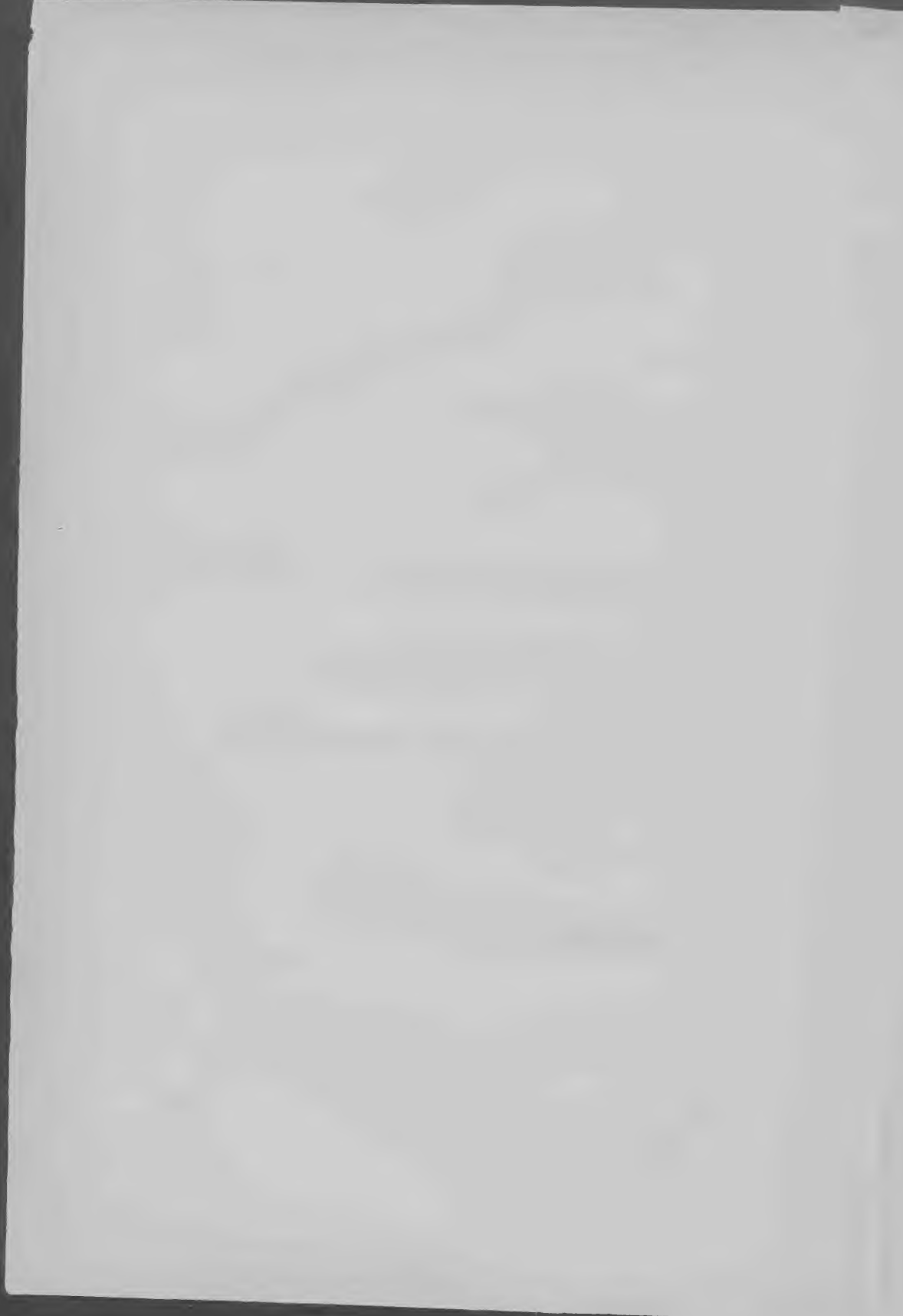


**PRZEGLĄD WARSZAWSKI**



# PRZEGLĄD WARSZAWSKI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY LITERATURZE, SZTUCE  
I NAUCE, POD REDAKCJĄ MIECZYŚLAWA TRETERA



ROK 4 - 1924 - TOM IV  
OGÓLNEGO ZBIORU TOM TRZYNASTY

WARSZAWA  
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

93

## POLSKA I BULGARJA.

### 1.

Temat, który chciałbym poruszyć tutaj — stosunki polsko-bułgarskie w przeszłości i dziś, — jest bardzo obszerny. Miejsce, którym rozporządzam nie wystarczy nawet do tego, żeby wyczerpać historyczną stronę kwestji. A możnaby mówić jeszcze spccjalnie o stosunkach gospodarczych i politycznych, lub znów tylko o kulturalnych, albo jeszcze bardziej spccjalnie — o literackich, to jest o wpływie literatury polskiej na bułgarską. Mogłibyśmy się też poddać jednej silnej pokusie: zagłębić się w nieograniczoną dziedzinę marzeń politycznych i mówić o możliwościach bliskiej i dalekiej przyszłości. Nie zagłębiając się jednak w obszerniejsze wywody i wnioski, ograniczę się tutaj tylko do przypomnienia najważniejszych faktów z przeszłości i terażniejszości, które dostatecznie nas przekonują, że pomiędzy narodami bułgarskim i polskim, choć tak oddalonemi od siebie, zawsze istniały węzły wzajemnych zainteresowań i sympatyj. Same te fakty, tak jasne i przekonujące, są wymowniejsze od wszelkich abstrakcyjnych rozumowań i uogólnień.

W tych faktach przejawiają się przedewszystkiem czynne i przewidujące indywidualności. Pierwszym Bułgarem, pracującym w Polsce — przynajmniej pierwszym znanym nam — był nasz pisarz Grzegorz Camblak, urodzony w starej bułgarskiej stolicy Tyrnowie, w drugiej połowie XIV wieku, kiedy Bułgarja przeżywała ciężkie katastrofy. Camblak, pochodzący z arystokratycznego bułgarskiego rodu, był bratankiem Cyprjana, który po upadku naszej ojczyzny znajduje schronienie na Rusi, zostaje wybrany na metropolitę moskiewskiego i staje się wybitnym pisarzem ruskim. Dla Camblaka też było niemożliwością pozostać w podbitej ojczyźnie. Wyjeżdża więc na Ruś. W roku 1415 sobór archijerejów w Nowogródku wybrał Camblaka na metropolitę kijowskiego. Sam wielki książę litewski, Witold, popierał jego wybór. W roku 1418 Camblak bierze udział w soborze konstancjeńskim, zwołanym, jak wiadomo, dla pogodzenia wschodniego i zachodniego kościoła. Trzeba powiedzieć, że do kościoła zachodniego ten wybitny Bułgar odnosił się bardzo przyjaźnie i przychylnie — bynajmniej nie podzielał fanatyzmu i konserwatywnego

uporu ruskiej i greckiej cerkwi. Camblak udał się do Konstancji na czele poselstwa od Witolda. Sam Władysław Jagiełło, który popierał dążenia Litwy, zmierzające do uzyskania zupełnej niezależności cerkiewnej, donosi w piśmie do papieża Marcina V o wysłaniu Camblaka. W lutym Camblak wyjeżdża uroczystie do Konstancji, na czele poselstwa, które reprezentowało wszystkie narodowości Litwy i liczyło około trzystu osób. Między innymi wyszedł na jego spotkanie i sam cesarz Zygmunt, w otoczeniu biskupów i polskich wysłanników. W mowie swojej uroczystej mówi Camblak, że on sam od dłuższego czasu pragnął unji obudwu kościołów i dlatego właśnie zwrócił się do króla polskiego i jego brata Witolda i długo z nimi rozmawiał, — że sam jest wielkim zwolennikiem idei tej jedności. W swym własnym imieniu i w imieniu władców Polski i Litwy wyraził życzenie, by jak najprędzej urzeczywistniła się ta myśl. Wracając z Konstancji, Camblak z całym swym orszakiem zbacza do Krakowa, w pierwszych dniach maja. Wspomina o tem znany kodeks „Rachunki dworu Jagiełły i Jadwigi“.

W czasie niewoli do Polski dochodziły z Bułgarii tylko skąpe wieści. Nasz los tragiczny budził u Polaków współczucie. Kiedy naród bułgarski upadał pod jarzmem, kiedy przeżywał najcięższe próby, Polacy niejednokrotnie wyrażali swe serdeczne współczucie i występowali czynnie w obronie jego praw. Jak wiadomo, w roku 1444 ginie pod Warną w bitwie z Turkami król polski Władysław III Warneńczyk. Nietylko rachuby polityczne przywiodły polskiego króla na naszą ziemię, gdzie znalazł przedwczesną mogiłę. Nęciła go i idea rycerska — idea wyzwolenia ciemionych chrześcijan. Współcześni mu kronikarze polscy sławią go jako króla, który się poświęcił za oswobodzenie chrześcijan bałkańskich od tureckiego ucisku. W jego bohaterskim czynie i w jego śmierci na pobojowisku, w walce z wrogami Bułgarów — ujawnia się wyjątkowy idealizm polityczny, tak właściwy duszy polskiej. Po tej wojnie szmat ziemi bułgarskiej przechodzi do historii polskiej, związany z patriotycznymi wspomnieniami i legendami o bohaterskim królu.

W roku 1575 zwiędza pole bitwy pod Warną kronikarz polski Maciej Strykowski i w elegicznych wierszach oplakuje nieszczęśliwy los poległego króla. Ze łzami w oczach napróżno szukał jego grobu. Spotykał tylko prostodusznych bułgarskich oraezy, którzy ze zdziwieniem oglądali wykopaną z ziemi broń polską:

Byłem sam tam w tych polach, gdzie naszy przodków  
Turki bił...

Widziałem Warnę z plażem, nad nią oraez krzywy,

Najdując zgnile w roli zbroje ma za dziwy,  
 Wyorywa szyszaki, tarcze i puklerze,  
 Groty, szahle zhotwiale, buławy, pancerze,  
 W górach Hemu, w alhańskich, macedońskich polach,  
 I na trackich Orpheus gdzie wdzięcznie grał rolach,  
 Widziałem to swem okiem,

Po bohaterskiej śmierci Władysława Polacy nie przestali troszczyć się o podbitych Bułgarów i obmyślać planów obalenia potęgi tureckiej. W roku 1490 Kalimach, humanista polski, pisarz i wybitny polityk, z polecenia rządu polskiego, starał się pozyskać papieża Inocentego dla idei wyprawy chrześcijan na Turków. W piśmie swem do papieża wskazuje między innymi, że Bułgarzy cierpią okropny ucisk i z niepokojem wyczekują wyzwolenia. Dalej podkreśla, że właśnie Polska jest państwem, które poloży kres panowaniu tureckiemu, — od Polaków, jako od bratniego narodu, oczekują oswobodzenia ciemiężeni Słowianie bałkańscy.

Węzły między Bułgarią i Polską wzmacniają się zwłaszcza w wieku XVII, kiedy propaganda katolicka przybiera szersze rozmiary. Wielu wybitnych Bułgarów porozumiewa się z przedstawicielami polityki polskiej — czy to w samej Polsce, czy to w Rzymie — prosząc ich, ażeby bronili praw narodu bułgarskiego wobec potencji europejskich. Polska nie była obca ówczesnym wyzwolenческим wysiłkom Bułgarji. I Bułgarzy, uważając ją za bliską sobie, poszukiwali przedewszystkiem jej pomocy, kiedy starali się o obronę u potęg europejskich. Piotr Parczewicz, doktor teologii i prawa kanonicznego, wykształcony i śmiały Bułgar, kilka razy stara się przekonać mocarstwa europejskie, że nie trudno byłoby złamać potęgę turecką i wyzwolić podbitych — wystarczyłoby tylko, gdyby mocarstwa te wystąpiły przeciw Turcji razem. Najzyczliwiej przyjęty był Parczewicz przez Polaków. W Rzymie działał u papieża za pośrednictwem posła polskiego.

Niewątpliwym dowodem polskich zainteresowań i sympatyj dla naszej ojczyzny w epoce niewoli są diariusze i notatki z podróży Polaków, jadących przez Bułgarię do Carogrodu. Notatki te cenne są dla nas nie tylko jako materiał do naszej historii, geografji i etnografji; obok licznych opisów naszych miejscowości, obyczajów i strojów, jest w nich wyraz żywych sympatyj dla Bułgarów. Podróżnicy podkreślają, że jechali przez kraj, gdzie lud mówi pokrewnym, słowiańskim językiem, przyjmuje ich gościnnie i skarży się przed nimi na swoją dolę. Zresztą oni sami widzą, jakic cierpienia znosi ludność, widzą niesprawiedliwości Turków i po powrocie do Ojczyzny opowiadają swoim ziomkom o właściwościach Bułgarów i o ich niewoli wiekowej.

Najwybitniejszym z tych podróżników jest Samuel Twardowski, który, jak wiadomo, oprócz literatury zajmował się i polityką. W roku 1622 Twardowski towarzyszył do Carogrodu księciu Zbaraskiemu, posłowi Zygmunta III do sultana Mustafy. Poselstwo jechało przez Bułgarię. Twardowski obserwuje uważnie wszystko, co spotyka i co wydaje mu się dziwne, oryginalne, czyni notatki o wsiach i miastach, przez które przejeżdża, o charakterze ludności i jej obyczajach — i na podstawie tych notatek opracowuje ogromną swą kronikę wierszowaną pod tytułem *Przeważna legacja Krzysztofa Zbaraskiego (1633)*.

Twardowski jest zachwycony przyrodą bułgarską, małuje ją z entuzjazmem; zachwycają go też bułgarskie tańce, pieśni, piękność i egzotyczne stroje dziewcząt:

Jednak Phebus nie pierwej ku morzu się skłoni,  
Mdłych na wonnym Elizie popasając koni,  
Że cieniów zbywszy onych spadniem do Dobrowy,  
Na dobrą myśl Bułgarów i taniec gotowy.  
Ci pośród wsi wesołej ujawszy się społem,  
Rej corocznych prazdników pięknem toczą kołem,  
Ci płaszą, ci w fojary i dzingi brząkają,  
A młodszy i dziewoje w takt im napiewają.  
Strój bułgarskich białogłów: z turskich aspr plecio!  
Na jej głowie misiurka, taftą uścięgniona  
Biała pierś, z gładkich wiszą nausznicze strony,  
A skóra się niedźwiedzia toczy s tyłu po niej.

O Bułgarach mówi poeta, że należą do bohaterskiego plemienia słowiańskiego i że język ich jest pokrewny polskiemu. „Podobni nam i dotąd słowieńską swą mową“. Lecz oprócz zachwyty przejmuje Twardowskiego zgroza. Zaledwie wstąpił na ziemię bułgarską — „na tę tu żyzną ziemię“ — ujrzał kruki i orły, szarpające trupy:

W której, gdy przyjacielskiej osiągniemy ziemi,  
Orły widzim i sępy, a oni świeżemi  
Prze zarazę morową żerują się ciała,  
Tedy strach serca wszystkich przerazi niemal.

Na końcu mówi Twardowski o wyzwoleniu naszej ojezyny. Chociaż zdaje sobie sprawę z trudności, z jakimi połączone jest wyzwolenie Bułgarów, jest przekonany, że Polska mogłaby to uczynić, lecz tylko z pomocą ich samych. Turcja znacznie osłabła, pisze Twardowski; gdyby narody chrześcijańskie zjednoczyły się w tym celu, łatwoby mogły ją zwyciężyć. Największe nadzieje Twardowski pokłada w Polakach i Kozakach: „Bicz to na poganina, którego się boi.“ Gdyby Polacy i Kozacy wyruszyli razem przeciw Turcji, bez wielkich wysiłków mogliby zniszczyć jej flotę, która liezy zaledwie 40 galer.

Potem wspólnie mogą najechać Turcję. Coprawda, są wielkie trudności — lasy i góry bułgarskie, —

Ale i tam z Bułgary zaszedszy w praktyki,  
 Spiżęby i gotowe mieli przewodniki.  
 Tak i lądem i morzem zniószy swoje siły,  
 Jakoby się bezbronne miasta im broniły?  
 Albo jeśliż ostatki murów gdzie zostały,  
 Najazdom ich i tęgim szturmom wytrzymały?  
 I pewnie świat to wszystek przyzna bez zazdrości,  
 Że nikomu nie snadniej w same wejść wnętrzości  
 Możej tej monarchiej, jako nam Polakom:  
 Gdziebyśmy od Dunaju pomogli Kozakom.  
 Czego się Turczyn boi i stąd od Pólnocy  
 Czeka kiedyś zguby swej...

W wieku XVII jedzie przez Bułgarję jeszcze kilku szlachty, wysłanych przez Władysława IV z misją specjalną do Carogrodu. Jeden z nich opisuje tę podróż i między innymi wspomina:

„Miewała ta nacja bułgarska osobne swoje przedtem królestwo i królów; lecz teraz od Turków osiedzeni, w ciężkiem jarzmie ich jęczą... ciężkie poddaństwo onym oddają nietylko dóbr swoich, ale i dzieci własnych, które im w dziesięcinie na cesarza tureckiego biorą, a potem bisurmanią, nie mogąc być pewni... Mowa bułgarska jest podobna słowiańskiej... zaczem też nam do wyrozumienia snadniejsza“.<sup>1</sup>

W roku 1677 jeździł do Carogrodu wojewoda chełmiński, Jan Gniński. Towarzysz jego Samuel Proski prowadził dosyć szczegółowy dziennik podróży. Malowniczo opisuje tam drogę ze Lwowa do Carogrodu i z powrotem, wylicza miasta i wioski bułgarskie, przez które przejeżdżali. Opowiedziane są też pokrótce wrażenia ich stamtąd. Między innymi opowiedziano tu i o rusko-tureckiej wojnie z roku 1678. Bułgarja znajdowała się wtedy w stanie oplakany. Z bólem pisze Gniński z Carogrodu do króla i do hetmana Jabłonowskiego, że cała Bułgarja jest spustoszona; zostało po niej właściwie tylko samo imię.

W roku 1700 jedzie przez Bułgarję drugi wybitny Polak, Leszczyński, poseł do Carogrodu. I ten też w swoich notatkach podróżnych wspomina o cierpieniach Bułgarów i o serdecznem przyjęciu, jakiego wśród nich Polacy doznali. I on też jest przekonany, że wojna z Turcją nie byłaby trudna, ponieważ brak tam twierdz obronnych. Wobec tego władcy chrześcijańscy bcz wielkich trudności mogliby oswo-

<sup>1</sup> K. Kantecki sądził, że autorem tego diarjusza jest znany Oświęcim, dworzak Władysława IV (*Z podróży Oświęcima. Turcja — Francja — Niemcy — Włochy*. Wydał z rękopisu Klemeus Kantecki. Lwów, 1875). Lecz W. Czermak nie uważa tego opisu podróży do Turcji za utwór Oświęcima (*Scriptores rerum polonicarum*, t. XIX: *Stanisława Oświęcima diarjusz 1643—1651*. Wydał Wiktor Czermak. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1907, s. II).

bodzić te ziemie. W każdym siole i miasteczku chrześcijanie wychodzili tłumnie na ich spotkanie, całowali im ręce i eieszyl się, że widzą posła chrześcijańskiego. Wznosili ręce do nieba, prosząc Boga, aby ich wyzwolił z niewoli tureckiej. Wychodziły też na ich spotkanie kobiety, rzucając według zwyczaju bułgarskiego garście prosa przed ich końmi i błogosławiąc ich.

## 2.

Ścisłejsze zbliżenie Polaków z Bułgarami dokonało się dopiero w epoce naszego duchowego i politycznego odrodzenia. Bardzo przyczynili się do tego emigranci polscy, szukający w Turcji schronienia, zwłaszcza po rewolucji roku 1848 i po powstaniu 1863. Przyjęci jak najżyczliwiej przez władze tureckie, jako wrogowie Rosji, jedni z nich zatrzymują się w Carogrodzie, drudzy zaś osiedlają się w rozmaitych miejscowościach bułgarskich, zajmując stanowiska wojskowe lub administracyjne. Niejednokrotnie mieli oni sposobność okazać swoją sympatję dla Bułgarji. Zaraz po przybyciu zaprzyjaźniają się z naszą inteligencją, wywierają na nią wpływ swemi ideami politycznymi, swojem wyższem wykształceniem — budzą wśród niej nowe zainteresowania i dążenia. Za najlepszy przykład może tu służyć wpływ polski w mieście Szumen (w Bułgarji północno-wschodniej). Miasto to, które grało tak ważną rolę w naszej przeszłości, zawdzięcza w niemałym stopniu swe odrodzenie emigracji polskiej i węgierskiej. Młodzież tego miasta, z D. Wojnikowem, twórcą naszego teatru i dramatu, na czele, zbliża się do emigrantów i przygotowuje do działalności społecznej i patriotycznej. Kierowana głównie przez Polaków, organizuje ona przedstawienia teatralne i uczniowską orkiestrę — pierwszą orkiestrę bułgarską. Stamtąd też, z tego czasu pochodzi popularność niektórych pieśni bułgarskich na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Z dymem pożarów“.

Wogóle w nowem otoczeniu emigranci nie czuli się samotni i opuszczeni: Bułgarzy odnosili się do nich z sympatją i współczuciem, uważając ich za swych braci. I po dziś dzień żyją wspomnienia o tych Polakach, od których Bułgarzy doznali dużo dobrego. Niejednokrotnie wygnańcy polscy, ciesząc się przychylnością władzy tureckiej, przychodzili z pomocą Bułgarom, podejrzanym o działalność rewolucyjną i ratowali ich od kar i prześladowań.

Bułgarzy mieli możność zbliżyć się do emigracji polskiej nietylko w swej ojczyźnie i w Carogrodzie, lecz i w Rumunji. Tam rewolucjoniści nasi — L. Karawelów, Chr. Botew, W. Lewski, Z. Stojanow, St. Stambolow — zapoznają się z niektórymi przywódcami powstania

polskiego, i dzięki obcowaniu ze środowiskiem polskim, gdzie tak często mówiło się o powstaniu, o jego organizacji, ustała się wśród nich jeszcze bardziej ideały rewolucyjne. Nie jest bez znaczenia i ten fakt, że Polacy brali udział w organizowaniu naszych tajnych komitetów rewolucyjnych i odnosili się z najżywszym współczuciem do bułgarskich ruchów powstańczych w latach 70-ych. Jeden z najwybitniejszych naszych rewolucjonistów zdołał uniknąć prześladowań tureckich dzięki paszportowi polskiemu, otrzymanemu przezeń od przyjaciela Polaka. I w historii naszej Bułgar ten pozostał już z nazwiskiem polskim — z tem mianowicie, które było w jego polskim paszporcie: Bieńkowski.

W Rumunji też ówczesny malarz polski Henryk Dębicki, przyjaciel Botewa, przedstawił w szeregu malowideł sławne zwycięstwa carów bułgarskich, epizody bohaterskie z historii Bułgarji, czyny naszych powstańców. Na obrazy te z zachwytem patrzyła młodzież bułgarska. I do dziś dnia ozdabiają one stare domy i wiejskie gospody bułgarskie.

Wśród emigracji polskiej u nas widzimy i wybitnych Polaków — oto na przykład Zygmunt Milkowski, znany w literaturze polskiej pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża. W niektórych swych powieściach Jeż opracowuje tematy z historii bułgarskiej. Tak np. w powieści *W zaraniu* (1890) przedstawione są walki Bułgarów o wolność, opracowany jest ten sam temat, który J. Wazow opiera na szerszej podstawie w swojej powieści *Pod jarzmem*. A przedtem pisze Jeż *Żarnicę, powieść bułgarską* (1874), gdzie przedstawia naszą inteligencję w czasie niewoli i ciężkie warunki, wśród których musiała pracować. Na tle życia bułgarskiego napisana również została powieść historyczna Jeża p. t. *Asan*.

Drugim wybitnym emigrantem w Bułgarji jest Karol Brzozowski. I on pisze powieści na tle życia bułgarskiego, np. *Dełi Petko* (1876). Wymienię należy jeszcze pisarza Wałerego Wolodźkę, znanego pod pseudonimem Sahi-bej. I on też przedstawia — w powieści *Krwawy dorobek* — ruchy narodowe, a równocześnie maluje życie prostego ludu, daje obraz odrodzenia bułgarskiego w Macedonji, mówi o walkach za wolność. Jako bohaterowie w powieści tej występują bracia Miładinowowie, wybitni działacze macedońscy.

Musimy też wspomnieć tu powieści i opowiadania najwybitniejszego emigranta w Bułgarji, Michała Czajkowskiego, który wstąpił do wojska tureckiego pod imieniem Sadyka-paszy. Nasza rzeczywistość w czasie niewoli odtworzona jest głównie w jego powieści *Bułgarja* (1872). Przedstawione są tutaj nadduuajskie i bałkańskie miasta

i sioła, zwyczaję narodowe, bułgarscy *hajduti* (to jest kryjący się w górach zbójnicy-powstańcy). Zwłaszcza popularna była u nas powieść Czajkowskiego *Kirdźali* (1839).

Wszystkie te powieści (prócz wymienionych są inne jeszcze: beletrystyka polska z drugiej połowy zeszłego wieku bardzo często porusza tematy ze starej i nowej historii południowych Słowian), powieści te, napisane przez Polaków, którzy długo przebywali wśród nas, też są dowodem stałych polskich sympatyj dla Bułgarii. Zachwyceni bułgarskimi typami, walkami naszymi o wolność i życiem ludu, a zwłaszcza pięknnością przyrody bułgarskiej, pisarze polscy idealizują to wszystko w swoich utworach. Wszystkie te powieści Jeża, Czajkowskiego, Sahi-beja, Brzozowskiego przetłumaczone były na język bułgarski i znajdowały u nas mnóstwo czytelników — do pewnego stopnia wywierały wpływ na twórców naszej powieści patriotycznej. Sami Turcy patrzyli niechętnie na poczytność tych utworów wśród Bułgarów — np. powieść Jeża *Asan* była zabroniona w Bułgarii przez cenzurę turecką.

Należy zaznaczyć, że Bułgarzy tak interesowali się temi powieściami, drukowanemi początkowo w czasopismach polskich, że niektóre z nich ukazały się w tłumaczeniu bułgarskiem, zanim wyszły w osobnych odbitkach po polsku. Naprzykład wspomniana powieść Jeża *Asan*, drukowana w *Dzienniku Literackim*, ukazała się w tłumaczeniu bułgarskiem już w roku 1864, gdy osobne wydanie polskie wyszło dopiero w roku 1869<sup>1</sup>. Ówczesni czytelnicy tych powieści do dziś pamiętają żywo bohaterską postać Kirdźalego, obrazy gór bułgarskich z *Asana*, widoki, które się otwierały przed braćmi Asenem i Piotrem, gdy jechali na walkę o wolność swego narodu.

Bułgarzy znali tych autorów nietylko dzięki ich powieściom. Autor *Kirdźalego* naprzykład zwracał na siebie uwagę także dzięki roli, którą odgrywał w Bułgarii i Turcji w ciągu lat trzydziestu. Do Turcji przybył Czajkowski w roku 1841. Lecz przedtem jeszcze interesował się Bułgarią i Bułgarami. W Paryżu zbliżył się do studjującej tam młodzieży bułgarskiej i dal jej możność wypowiedzenia żądań bułgarskich przed ministrem francuskim Guizotem. W tym czasie napisał wspomnianą powieść *Kirdźali*. Jego stosunek do Turcji był wówczas wrogi. W Turcji Czajkowski był z początku agentem księcia Adama Czartoryskiego. Celem jego było zjednoczenie południowych Słowian i ich sąsiadów i przygotowanie gruntu do nowej wojny z Rosją przez utworzenie silnej armji pod wodzą Turcji. A stać się to mogło

<sup>1</sup> G. Korbut: *Literatura polska*, t. III, str. 587.

zdaniem Czajkowskiego tylko drogą równouprawnienia i reform politycznych. Poglądami swemi wpływał Czajkowski na niektórych naszych ówczesnych działaczy.

Ażeby się zapoznać bezpośrednio ze stosunkami politycznymi w Turcji, Czajkowski podejmuje podróż do Bułgarii, zwiedza cały prawie kraj i całą Dobrudżę. W pamiętnikach swoich podkreśla bułgarski charakter Dobrudży południowej i współczuje jej mieszkańcom, narażonym na ciągly ucisk ze strony Turków i Tatarów. Wszędzie w większych miastach nawiązuje stosunki z inteligencją, stara się poznać nasz charakter, naszą przeszłość, zbiera starożytności bułgarskie — i niektóre z nich posyła francuskiemu ministrowi spraw wewnętrznych, Villemainowi. W Gabrowie zwiedza założone tam pierwsze gimnazjum bułgarskie, zachwycony jest organizacją szkoły, egzaminuje uczniów i bardzo jest zadowolony z ich wiadomości: „Przekonałem się, pisze, że są inteligentni, pojętni, że mają zamiłowanie do nauk. Wszystkie te przymioty wzbudziły we mnie sympatię do tego narodu, która zwiększała się coraz bardziej, im bliżej go poznawałem“. W czasie tej podróży Czajkowski widzi zbliiska bezprawie panujące w Turcji i przekonywa się coraz mocniej, że państwo otomańskie koniecznie się musi zreorganizować.

Zwłaszcza wielkie wrażenie na romantyku polskim wywierała Macedonja swoją przyrodą, swemi tradycjami, legendami i bohaterскими pieśniami. W przedmowie do nowego wydania *Kirdzalego* mówi o tym kraju i podkreśla, że mieszkańcy jego — to przeważnie Bułgarzy. Między innymi maluje Królewicza Marka, bohatera naszego ludowego eposu:

„Sławny to był rycerz ten Królewicz! Pil on i bil, jak Skinder-Beg Albański — i jak w naszych czasach nasz Skinder-Pasza Iliński... Zachował państwo ojca... Lud tutejszy nie wierzy, żeby naprawdę pomarł. Utrzymuje lud bułgarski, że Królewicz Marko na górze Babonie pryłepskie wino spija... Na Markowej górze jeszcze się nie zatarł wizerunek Królewicza; biała Bedowia, klacz ulubiona, wojenna, jak żywa, ledwie nie wyskoczy z pod jeźdźca; a Marko całkiem w żelazo przepodziały dumnym okiem patrzy na bułgarskie pola i wzgórza i zdaje się mówić: „Nie dam was!“ W dłoni trzyma rękojeść szabli: „Wara!“ W zgłiszczach zamku jeszcze ocalała izba, gdzie żona Królewicza, nadobna Markowa, przędła na płótno. Bułgarzy w wielkim poszanowaniu mają to miejsce... Na Babonie musiała być biesiada. Musiał hulać Królewicz Marko ze Skinderem Paszą, bo wiatr wył, grzmoty grzmiały, błyskało na niebie; potem deszcz jak z wiadra lunął. Po hnłance splakali się obydwaj przy rozstaniu; tak to być musiało... I w tym Królewiczn Marku to była kozacza dusza, choć nie kozaczy ród... Niemców i Madziarów bił — z juków siwego szaraka, dzielnego szłapaka, wino pił — kozakował. Cześć jego imieniowi! Cześć mn, że przyjął pod swoje skrzydło Skinder Paszę! naszego Ignacego Ilińskiego, kiedy Polacy o nim zapomnieli i o jego dziecinie, biednej sierocie. A jednak, nie jeden

tam w Poznaniu i we Lwowie, w Warszawie i Kijowie, i w Berdyczowie — kiedy czytał gazety o Skinder Paszy, popił wina i wykrzykiwał: „Tak nasi biją“ A teraz niech Królewicz Marko o Skinder Paszy pamięta — niech Słowianie jego dziecinę hodują — tak się to dzieje na tym polskim świecie! Może dla tego płakali tak na Babonie“.

Dalej mówi Czajkowski o mieście bułgarskiem Weles — znów w Macedonji — i o piękności Bulgarek:

„Przyjechaliśmy do Kiupruli, dawnego Welesy, nad Wardarem rzeką. Bułgarowie zwą go: Mistrz Wardar, ale nieszczęsny, bo ludzie w nim się topią, a łódki po nim pływać nie mogą. Wartki, kapryśny, jak krasawice bułgarki, co z niego wodę biorą. Czy one od rzeki, czy rzeka od nich, nauczyły się wszystko ciągnąć do siebie? — niema rady — i woda taka ponętna w Wardarze — i krasawice takie ponętne nad Wardarem — że człowiek-żelazo, na ten magnes łgnie na oślep. Nad Wardarem najpiękniejsze kobiety, i składne i ładne; i choć Bułgarki takie szykowne jak nasze Laszki, możnaby i z Litwy na wyprawę jechać po nie. A śpiewak kozaczy, który w namiętności religijnej kazał w Nazarecie i w Betlejem dziewicom i chłopakom Izraela wycinać tropaki i w przysiuady przysiądać — gdyby zobaczył wardarskie Bułgarki, pewnieby je zaprosił w taniec kozaczy. I nie powstydzilyby się przed czarnobrewami. Z piękną urodą nicwias i oświata tu większa: wszędzie szkoły wszędzie się uczą<sup>1</sup>.“

W Carogrodzie Czajkowski zbliżył się do przywódców walk o niezależność kościoła bułgarskiego od greckiego, pomagał im radami i wskazówkami, wystarał się, aby byli przyjęci przez Wielką Portę i mogli wypowiedzieć swoje żądania. Dzięki swej przenikliwości jasno zdawał sobie sprawę, że wzmocnienie elementu bułgarskiego, wywalczenie przezeń niezależności kościelnej, doprowadzi do walki o niezależność polityczną i jednocześnie do osłabienia państwa tureckiego, w którym pokładał wielkie nadzieje. I pomimo to wszystko odnosił się ze współczuciem do dążeń bułgarskich i nawet im pomagał: „Pomimo to, mówi, sympatyzowałem szczerze i serdecznie z narodem bułgarskim i pomagałem przywódcom ruchu, którzy starali się zapoznać ze mną“. Później, w roku 1870, po wydaniu fermanu o utworzeniu niezależnego kościoła bułgarskiego, Czajkowski cieszył się razem z Bułgarami. „Jako gorliwy i szczery Słowianin, jakim byłem zawsze, nigdy nie sprzeciwiałem się bułgarskiej autonomji religijnej, a przeciwnie dużo i często im pomagałem.“ — Niezgodne z programem politycznym Czajkowskiego były bułgarskie ruchy rewolucyjne. Lecz i tutaj zwyciężyło jego uczucie słowiańskie. Ze swoimi kozakami bronił Bułgarów od gwałtów tureckich, potępiał okrucieństwo Michadapaszcy, i chociaż był przeciwny powstaniom, zachwycał się męstwem bułgarskich powstańców. O Chadży-Dimitrze mówi w swoich pamiętnikach: „Mężny wódz zginął, jak giną bohaterowie“. I dodaje:

<sup>1</sup> M. Czajkowski: *Pisma*, t. I. *Wernyhora*. Lipsk, 1862, str. XXIII—XXIV.

„W czasie ciężkich chwil w roku 1867 broniłem Bułgarów i uratowałem ich w wielu wypadkach. Ci czcili mnie za to jak ojca i dobroczyńcę.“

Wielkie znaczenie dla podźwignięcia naszego ducha narodowego miały tak zwane kozackie oddziały — dwa pułki słowiańskie, stworzone przez Czajkowskiego. O nich żyją i do dziś dnia wspomnienia. Już w roku 1853 rząd turecki pozwoił Czajkowskiemu na utworzenie pułku chrześcijańskiego z Polaków i innych Słowian. A po wojnie krymskiej miał polecenie utworzenie pułku konnego z chrześcijan, głównie Słowian w Turcji. Większa część tych pułków utworzona była z Bułgarów — były nawet całe oddziały wyłącznie bułgarskie — i dzięki nim zapanowała w wojsku zdrowa dyscyplina wojeuna, której sami Polacy ulegali z trudnością. Od współrodaków — stwierdza Czajkowski w swoich wspomnieniach — wskutek ich indywidualizmu i impulsywności codzien miał nieprzyjemne niespodzianki. „Bułgarzy, mówi dalej, przeciwnie, służyli za przykład swoją gorliwością w wypełnianiu obowiązków. Wielkiem szczęściem było dla nas, że mieliśmy ich, gdyż pomimo wysiłków moich i moich współpracowników wątpliwe jest, czy dalibyśmy sobie radę z samymi tylko zdemoralizowanymi przez wygnanie Polakami.“

Po drodze do Bułgarji oddziały Czajkowskiego zatrzymują się w Adrjanopolu dla złożenia przysięgi.

„Zapał był powszechny. Po raz pierwszy od tylu wieków zjawili się na koniach wojennych Bułgarzy w Adrjanopolu — mieście niegdyś obleganem i zdobytym przez ich carów. Przez całą drogę w Bułgarji spotykani byliśmy z otwartymi ramionami. Mieszkańcy zbiegli się do nas i nie mogli napatrzeć się na naszą konnicę i nadziwili się porządkowi i dyscyplinie, panującym w naszym małym wojsku. Z radości, że żołnierze sultańscy rozmawiają z nimi w ich ojczystym języku, karmili nas i poile do syta. Kozacy stali się bardzo popularni wśród Bułgarów, którzy ich nazywali „nasze wojsko“. Ochotnicy napływali tłumnie zewsząd“.

Jednym z celów Czajkowskiego była obrona ludności bułgarskiej od grabieży i gwałtów wojsk tureckich, przechodzących przez kraj nasz, i wogóle od uadżyc władz.

„Jaka bogata i urodzajna ziemia! A ileż bezprawi popełniały wojska tureckie i jak boleliśmy nad tem, że nie mogliśmy zawsze pomagać krzywdzonym. We wsiach przyjmowano nas z zapalem i uważano nas za wojska narodowe; ludzie byli dumni, widząc, że Bułgarzy, zrównani pod względem uniformów z muzułmańskimi ciemiężcami, nie boją się ani agów, ani strażników, ani bejów. Gdzie tylko się zjawiliśmy, stosunek Turków do ludności zmieniał się zaraz. Nawet władze miejscowe poddawały się naszemu wpływowi i nie pozwalały sobie na bezprawia.“

Trzeba też zaznaczyć, że pułki Czajkowskiego rozbudzały i podnosiły ducha wojennego wśród Bułgarów, ich dawną dumę narodową,

złamaną wiekową niewolą. „Bułgarzy nabrali wielkiego zaufania do sił własnych. Wszyscy byli pełni dumy wojennej, która powiększała jeszcze ich męstwo.“ W rzeczywistości, jak powiedziałem, Czajkowski pokładał największe nadzieje w bułgarskim żywiole swoich oddziałów: w momentach krytycznych oni właśnie podtrzymywali jego energię i wiarę. „Znalazłem pokrzepienie i otuchę w Bułgarach, którzy stanowili podstawę mojej organizacji chrześcijańskiej. Chciwi nauki, uczyli się pilnie w naszej szkole wojskowej, prowadzonej przez mego młodszego syna.“

Jakie uczucia żywił dla nas Czajkowski i jakie nadzieje pokładał w naszym narodzie, sądzić można z jego zwierzeń, któremi kończy wspomnienia z Bułgarij. Nawet kiedy opuścił kraj nasz, nie przestał o nas myśleć. Wspominał często o Bułgarach w latach swego samotnego życia na Ukrainie, pilnie obserwował stamtąd rozwój Bułgarij i radował się jej powodzeniom, żywiąc głęboką i niezachwianą wiarę, że naród bułgarski powołany jest do odegrania wielkiej roli na Półwyspie Bałkańskim:

„Zacbowam zawsze najdroższe wspomnienia z Bałkanu. Mogę powiedzieć, że Bóg pozwolił mi nczynić wiele dobrego i dla rządu i dla Bułgarów. Z rozczuleniem wspominać będę wszystkie dowody miłości i uznania ze strony Bułgarów. Wszędzie, gdzie byłem, widziałem twarze wesole i życzliwe i otrzymywałem błogosławieństwa. Nie wiem, jakie będą losy tego narodu, obdarzonego najcenniejszymi zaletami, lecz nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że powołany jest on do odegrania wcześniej czy później ważnej roli na Półwyspie Bałkańskim“.

Z ziemią naszą związane jest też imię największego poety polskiego, Mickiewicza. Pragnąc zapoznać się lepiej z emigracją polską w Turcji, ze słowiańskimi oddziałami Czajkowskiego i generała Władysława Zamoyskiego, a także chcąc obserwować zbliska wojnę krymską, poeta wyruszył do Carogrodu jesienią 1855 roku. Miał polecenie od rządu francuskiego, aby zbadać kulturę narodów słowiańskich w Turcji. W rzeczywistości jednak cel jego był bardziej polityczny, niż naukowy: projektował Mickiewicz stworzenie na Wschodzie silnego legjonu z Polaków oraz z chrześcijańskicj i żydowskiej ludności w Turcji. Legjon ten razem z Turkami i z pomocą Francji i Anglii miał walczyć o wyzwolenie Polski. Ale Mickiewicz w podróży swojej miał i cel specjalny: chciał poznać życie południowych Słowian, zbliżyć się do ich przywódców i ich nawzajem zapoznać z Polską i ze stanem, w jakim się naród polski znajdował. Armand Levy, który mu towarzyszył, pisze: „Chodziło o zabarwienie działalności politycznej misją literacką. Istotnie też Polacy, niepewni przyszłości, mogącej ich zawieść, starali się w tym czasie o zawiązanie stosunków

ze wschodnią słowiańszczyzną i przygotowanie gruntu do krzyżowania na Wschodzie knował swego wroga.“<sup>1</sup>

Ósmego października Mickiewicz staje po raz pierwszy i ostatni na ziemi bułgarskiej — w Burgas, gdzie stacjonowały oddziały Czajkowskiego, i pozostaje tam około dziesięciu dni. O Bułgarji i warunkach, jakie tam panowały, opowiadał mu bardzo dokładnie Karol Brzozowski, który się spotykał z poetą w Carogrodzie. Brzozowski znał dobrze nasz kraj i mógł zaspokoić ciekawość Mickiewicza. Z jego opowiadań Mickiewicz wnioskuje: „Szczepy słowiańskie pod berłem Turcji nie dorosły do tego jeszcze, aby same sobą pokierować mogły. Długo jeszcze trzeba z miłością matki wodzić na pasku i zwołna oczy otwierać. Bóg wie, dodał po chwili, na czym się ta wojna skończy — w każdym jednak razie droga do reform szeroko się otworzy.“<sup>2</sup> Miał zamiar zwiedzić Bułgarję i Serbję w początkach grudnia, ale śmierć mu przeszkodziła. Jeż w swoich wspomnieniach mówi o udziale licznej bułgarskiej kolonji w pogrzebie Mickiewicza. Pozwolę sobie przytoczyć ten opis w całości:

„Nie wiem napewno, czy istniał zamiar chowania Mickiewicza na Czyfliku; ni przypominam sobie nawet, do kogo zaadresowana została protestacja nasza. W dni parę później rozeszła się pomiędzy nami wiadomość, że stosownie do ostatniej nieboszczyka woli, ciało jego przeniesionem zostanie do Francji, i że na przeniesienie to nadeszło ze strony rządu francuskiego pozwolenie. Wiedzieliśmy, kiedy statek pocztowy do Marsylii odchodzi, wiedzieliśmy przeto zgóry o dniu eksportacji zwłok z domu, w którym Mickiewicz umarł, do portu. O tem zresztą zawczasu zawiadomiły publiczność dzienniki miejscowe, francuskie, greckie, ormiańskie i bułgarski — jedyny, jaki w czasie owym na Bułgarję cała w stolicy Turcji wychodził. Naznaczoną była na cel ten godzina przedpołudniowa.

O godzinie wyznaczonej, przed domem, w którym ciało leżało, zgromadzili się przebywający w Konstantynopolu Polacy. Zebralo się nas sporo eywilnych i wojskowych — ludzi kilkuset. Ze Skutary nadciągnął oddział piechoty pod bronią, z oznakami żałoby na karabinach, z bębnami, krepą osłoniętymi. Wąska a kręta ulica, zapchana była ludem, śród którego widzieć się nie dawał inny aniżeli polski żywioł. Wydawało się, że jedno sami Polacy odprowadzą pochodem pożegnalnym zwłoki poety swego, celem wyprawienia ich na spoczywanie wieczne. Czekaliśmy na karawan. Karawan nadciągnął i przede drzwiami się zatrzymał. Stałem nieopodał. Widziałem, jak wyniesiono z wysiłkiem niemałym trumnę wielką, przy której w mundurach czerwonych i w granatowych z wylogami kurtach obsługę czynili Służalski i Levy. Wyniesiono trumnę, okryto ją całunem, eskorta wojskowa uszykowała się we dwa, po dwóch stronach karawanu, szpalery, bęben się głucho odezwał, wóz ruszył. I w chwili tej na przodzie, przed orszakiem księży, słyszeć się dały tony ponure marsza pogrzebowego. Kolonja włoska ofiarowała się z popędu własnego, a bezinteresownie w sposób ten złożyć hołd i oddać usługę ostatnią nieboszczykowi.

<sup>1</sup> Wł. Mickiewicz: *Żywot A. Mickiewicza*, IV, 407.

<sup>2</sup> K. Brzozowski: *Moje wspomnienia o Mickiewiezu* (Kraj, 1885, Nr 46)

Dzień był grudniowy, posepny, mglisty — mgła niekiedy zmieniała się w drobniuchny deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalewało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depcząc błoto i moknąc, posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem, ulicami wąskimi wydobywał się z niziny jeniżerskiej, pod górę perotską, i, kiedy na górę wyciągnął, odsłonił się oczom naszym widok, o ile niespodziany, o tyle rzewny. Wydawało się nam, jakem rzekł wyżej, żeśmy sami Polacy. Pokazało się, żeśmy się mylili. Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnymi. Okiem ich ogarnąć nie można było; czoło kolumny tej nas dotykało, koniec gubił się gdzieś w dali niedojrzanej. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującym udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy. Uczcili oni w nieboszczyku genjusz poezji słowiańskiej.

Nie sami jednak oni, z pośród ludności Konstantynopola zamieszkującej, na eksportację się stawili. Nie było jeno Turków, ci nieobecnością świecili; okrom nich atoli, wszystkie zresztą narodowości miały swoich w orszaku pogrzebowym przedstawicieli. Widziałem: Serbów, Dalmatów, Czarnogórców, Albańczyków, Greków, Włochów, Bułgarzy zeszli się najliczniej... Szliśmy za trumną orszakem ogromnym przez Perę, Galatę, do Tephane, gdzie się znajdowała przystań dla kaików i łodzi, obsługujących statki, do Konstantynopola przybywające i z Konstantynopola odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, zawczasu na cel ten zamówioną; w łodzi ulokowali się ksiądz, w komeżce, z krzyżem w rękę, i osób kilka. Widziałem ją, jak odpłynęła, i żał mi taki serce ścisnął, jakby łódź ta uwoziła istotę, z którą istotą moją zżyłem się całkowicie. Czyż nie tak jest? Czyż wśród nas, obecnie nawet, po upływie lat trzydziestu od zgonu Mickiewicza, znajdzie się osobnik piśmienny, coby z nim zżyty nie był?

A przecież — Polak jeden, co o Mickiewiczu nic wiedział, znalazł się w Konstantynopolu. Kiedyśmy przez Perę ciągnęli, przechodziliśmy mimo drzwi sklepu jubilera i ze sklepu wyszedł właściciel onego, młody człowiek, były szkół galicyjskich uczeń, który, ujrawszy kondukt przez Polaków eskortowany, ze zdziwieniem mnie i idącego obok Hajmowskiego zapytał:

— Kogo to chowają?

— Mickiewicza — odrzekliśmy.

— Cóż to za jeden?

— Czyż nie wiesz! — odpowiedział któryś z nas.

— A... hm... tak: generał ten! — odezwał się.

Jakże wyraziście od okazu tego odbijały się tysiące Bułgarów, którzyby i ha generała żadnego od warsztatów i handlów swoich nie odeszli!

Manifestacja owa bułgarska, dokonana naturalnie, spokojnie, samoistnie a poważnie, zastępuje na to, ażeby ją przypomnieć i zaznaczyć. Była ona dla nas niespodzianką wielką, a skończyła się tak, jakby jej nie było. Powracając od przystani, widzieliśmy już w ulicach ruch zwyczajny. Bułgarowie niewzywani przyszli, niedziękowani odeszli, dopełniwszy względem przyświecającego słowiańszczyźnie genjuszu poetycznego powinności, jak powinność wszelką pełnić należy. Śród nich, z osobistości, które się wskutek wypadków ostatnich na wierach wydostały, przypominam sobie Dragana Cankowa. On ehwilę tę pamięta zapewne: wiedzmy i my o niej"<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Z. Miłkowski: *Szczegóły niektóre o śmierci i eksportacji zwłok Mickiewicza do Konstantynopola*. (Kraj, 1885, Nr 46).

Że Bułgarzy naprawdę już wówczas wiedzieli, kto jest Mickiewicz, o tem opowiada Jeż w swej powieści *W zaraniu*. Tam rewolucjonista bułgarski mówi swej kochance o Mickiewiczu i objaśnia jej, że to „jest „poeta słowiański największy“.

Po wyzwoleniu Bułgarji wzmacniają się znacznie węzły duchowe między dwoma naszymi narodami. Polska nie przestaje interesować się naszym losem politycznym. A i my też, w walkach o zupełną niezależność, o wyzwolenie się od politycznego wpływu rosyjskiego monarchizmu, zawsze liczyliśmy na współczucie Polaków. Nigdy nie zapomnimy sympatji, jaką ujawniły pewne polskie sfery w stosunku do naszej walki o zjednoczenie narodowe i wogóle dla naszego kraju. Między tymi, którzy pisali i mówili w obronie Bułgarji, wspomnę tu znanego orientalistę i literata Jana Grzegorzewskiego, który mieszkał długie lata w Bułgarji, był świadkiem całego jej rozwoju po oswobodzeniu. W szeregu gruntownych dzieł, osobnych książek i artykułów, będąc doskonałym znawcą najnowszej naszej historii, Grzegorzewski zapoznawał społeczeństwo polskie z naszą oświatą, literaturą, politycznymi prądami u nas. A podczas wojny bałkańskiej i po niej — stary już, lecz zawsze energiczny, z silnie rozwiniętym uczuciem słowiańskim i obywatelskim, z głęboką miłością do naszego narodu — Grzegorzewski nie przestawał pisać w polskich gazetach i czasopismach, przemawiał na zebraniach i w towarzystwach w ob. o- nie pokrzywdzonej Bułgarji.

Nie starczyłoby mi czasu, gdybym chciał wymieniać wszystkich polskich publicystów, pisarzy, uczonych, którzy zajmowali się naszymi sprawami, jak na przykład Tadeusz St. Grabowski, dzisiejszy poseł polski w Sofji, który tak energicznie od szeregu lat pracuje dla idei zbliżenia polsko-bułgarskiego, lub zmarły poeta Tadeusz Miciński, który przybył do Bułgarji po wojnie bałkańskiej, ażeby się zapoznać bezpośrednio z naszą rzeczywistością. Bliski przyjaciel naszego poety P. P. Sławejkowa, tłumacz jego dzieł, Miciński starannie studjował naszą nową literaturę, nasze pieśni ludowe, zachwycał się Sławejkowem i Jaworowem, i po powrocie do ojczyzny, w swoich artykułach i odczytach, przedstawił wszechstronnie życie nasze. Wspomniałbym wreszcie o kilku tłumaczach, którzy z zamiłowaniem przekładali na język polski utwory naszej literatury — jak na przykład Bronisław Grabowski, Józefa Ancowa, Grzegorzewski, Helena Sopoćkowa, Zygmunt Kłóśnik.

Szczególniej cieszy nas fakt, że coraz silniej ujawnia się pragnienie poznania Bułgarii bez uprzedzeń, obiektywnie i bezpośrednio. Na dowód przytoczyć mogę założone rok temu Towarzystwo Bułgarsko-Polskie w Warszawie, odczyty o Bułgarii tych Polaków, którzy niedawno byli u nas, wykłady publiczne i w szkołach dla młodzieży; dalej przytoczyłbym napisaną ze znajomością rzeczy *Historję Bułgarii* pani Natalji Gąsiorowskiej, żadedykowaną nauczycielom bułgarskim, przybywającym do Polski w roku 1923, i książkę St. Kozickiego p. t. *Bułgaria współczesna* (1910).

## 4.

Dotychczas mówiłem przeważnie o stosunku Polaków do naszego życia. A jak się przedstawiają stosunki Bułgarii do Polski, speejalnie do kultury polskiej?

Że u podstawy stosunku naszego do Polski leży niewątpliwa i głęboka sympatja, tego, zdaje mi się, nie potrzebuję dowodzić. O tych naszych sympatjach świadczy najlepiej emigracja polska w Bułgarii, która, jak już powiedziałem, znalazła wśród nas serdeczną, szczerą przyjaźń i współczucie. I przed i po oswobodzeniu Bułgaria dla emigracji była drugą ojczyzną. Cytowałem tutaj wyznania Czajkowskiego i Jeża, którzy tak wymownie przedstawiali uczucia Bułgarów dla bratniej Polski.

Powiedziałbym: każdy przedział między nami jest sztuczny — jest tylko nieporozumieniem. Tylko zła wola może tworzyć ten przedział — zła wola tych, którzy znają dobrze istotę rzeczy i umyślnie chcą ukryć prawdę — lecz także zła wola tych, którzy, bez żadnych realnych podstaw, dają się opanować przesądom i zbyt pośpiesznie uogólniają swe bezpodstawne wrażenia. Tu, w Polsce, niejednokrotnie słyszałem, jak się mówi, że język bułgarski wygląda na narzeczce rosyjskiego, że wzięliśmy alfabet od Rosjan, że nasza polityka, cała nasza literatura, poezja, oświata i wogóle kultrna jest odbiciem polityki i kultury rosyjskiej. To nieprawda. Wszystko to, jeżeli nie jest złośliwym wymysłem, napewno jest głęboką niezajomością faktów. Nie z miłości do rosyjskiego caryzmu uczymy się w Bułgarii języka rosyjskiego — a zresztą nie tylko rosyjskiego się uczymy. Język rosyjski, jak i każdy inny, był nam potrzebny przedewszystkiem do zapoznania się z kulturą obcą — w danym wypadku z rosyjską, aby przyswoić sobie to, eo jest w niej cennego, — tak jak staramy się przyswoić sobie to, co jest eennego w kulturze polskiej, fran-euskiej lub niemieckiej. I czyż u was mniej się interesną poezją i wogóle sztuką rosyjską? Moje bezpośrednie obserwaeye przekony-

wają mnie, że w najmłodszej poezji polskiej wpływ rosyjski odczuwa się bez porównania więcej, niż w bułgarskiej. Czyż trzeba objaśniać dalej, że nasz język jest najodrobniejszą, najoryginalniejszą ze wszystkich języków słowiańskich, — i jeżeli jest w nim wpływ rosyjski, to dotyczy — tak samo jak i wpływ francuski lub niemiecki — głównie strony leksykalnej, a nie jego form, ani istoty, — że pod względem morfologicznym podobieństwo pomiędzy polskim i rosyjskim jest daleko większe, niż między bułgarskim i rosyjskim. I czyż trzeba przypominać i to, że nasz alfabet jest naszym własnym, że Rosjanie wzięli go od nas, a nie my od nich?

Muszę się tu przeciwstawić jak najenergiczniej jeszcze jednemu przesądowi, który, jak mi się zdaje, nie jest jeszcze całkowicie w Polsce wykorzeniony. Mam tu na myśli przesąd, że Bułgarja jest krajem rusofilskim, że patrzy na Polskę przez okulary Rosji monarchicznej. Jest to wielką niesprawiedliwością w stosunku do naszej inteligencji — myśleć tak o niej. Nie będę ukrywał: w Bułgarji była jedna partja rusofiliska, która kierowała się wskazówkami rosyjskiej oficjalnej polityki. Leez czyż można utożsamiać jedną partję z całym narodem? Partja ta, najbardziej konserwatywna, dziś już nie istnieje. Dwie ostatnie wojny, bałkańska i europejska, pogrzebały ją ostatecznie. Cała nasza inteligencja — postępową bułgarską inteligencją — zawsze była przeciw tej zaślepionej partji, przeciw jej reakcjonizmowi, oburzała się zawsze na jej serwilizm względem rosyjskiego despotyzmu. Jeżeli potrzebne są dowody, mogę je dać. W roku 1910 zjechali się w Sofji, na kongres słowiański, przedstawiciele wszystkich słowiańskich narodów. Kongres, pod wpływem Rosjan, postanowił nie poruszać wcale sprawy polskiej i macedońskiej, nie dotykać stosunków rosyjsko-polskich. Rusofile bułgarscy — a tylko oni ze strony Bułgarji wzięli udział w kongresie — uchwalili to postanowienie. Wtedy przeciwko temu rosyjskiemu kongresowi wystąpiła cała bułgarska inteligencja z największym poetą Penezo Sławejkowem na czele. Odbył się olbrzymi meeting, na którym Sławejkow płomiennymi słowy bezlitośnie zdemaskował i napiętnował naszych rusofilów i ich rosyjskich inspiratorów. Otwarcie i śmiało powiedział, że nie może się nazywać słowiańskim kongres, który nie chce rozpatrywać sprawy polskiej i macedońskiej, że nie przyjaciółmi, lecz zdrajcami słowiańszczyzny są ci, którzy świadomie ignorują najboleśniej i najważniejsze zagadnienia słowiańskie, że nie tą drogą osiągnąć można porozumienie i jedność Słowian. Sławejkow przemawiał nie tylko w swoim własnym imieniu; jak powiedziałem, była z nim cała inteligencja bułgarska, wszystkie te żywioły, które tworzą kulturę naszego kraju.

O stosunkach naszej inteligencji do Polski, o jej politycznych poglądach na sprawę polską i równocześnie o jej bezgranicznych sympatjach dla narodu polskiego można sądzić również z wydanej w czasie wojny po polsku i po bułgarsku książki p. t. *Ankieta bułgarska w sprawie polskiej*, gdzie są zebrane głosy bułgarskich uczonych, pisarzy, artystów, wybitnych polityków.

Smutne jest, że trzeba ciągle jeszcze przypominać oczywiste fakty. Nie wątpię, że im lepiej pozna nas Polska, z tem większem zaufaniem odnosić się będzie do nas i tem lepiej będzie umiała nas ocenić.

Polska, ze swoją literaturą i sztuką, ze swoją nauką i oświatą, zawsze budziła wielkie zainteresowanie wśród naszego społeczeństwa. Bez przesady mogę powiedzieć, że w żadnym innym kraju słowiańskim literatura polska nie jest tak dobrze znana, jak w Bułgarii, i w żadnym innym słowiańskim uniwersytecie wykłady języka polskiego, polskiej historii i literatury nie są prowadzone tak dokładnie i z tak wielkiem oddaniem się sprawie, jak w uniwersytecie naszym. Z literatur słowiańskich najlepiej znane są u nas polska i rosyjska. Poeci nasi tłumaczą z polskiego, wielu z pośród naszej młodzieży — zwłaszcza wychowalców naszego uniwersytetu — czyta utwory polskie w oryginale. Przetłumaczone są najpiękniejsze utwory romantyzmu polskiego. *Pan Tadeusz* już dwa razy był tłumaczony; a teraz tłumaczy go jedna z naszych poetek — będzie to już trzecie tłumaczenie. Dawno już przełożono, jak wspomniałem, powieści polskie, których tematy wzięte są z historii bułgarskiej: powieści Jeża, Czajkowskiego, Brzozowskiego, Wołodźki i innych. Z pośród powieściopisarzy polskich najwięcej czytany i tłumaczony jest u nas, rozumie się, Sienkiewicz. Tak samo przetłumaczono mnóstwo utworów Kraszewskiego, Fredry, Orzeszkowej, Konopnickiej, Tetmajera, Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Micińskiego. Nasz znakomity poeta Wazow przetłumaczył wstęp do *Pana Tadeusza*, *Alpuhare* i parę *Sonetów krymskich* Mickiewicza. Pierwszy samodzielny rozbiór twórczości Mickiewicza dany był po bułgarsku przez P. P. Sławejkowa — jest to studjum, w którym nasz poeta zatrzymuje się głównie na *Panu Tadeuszu* i *Dziadaeh*. Sam Sławejkow uważa Mickiewicza za największego poetę słowiańskiego, dłuższy czas studjuje jego twórczość — i epepeję swoją *Krwawa pieśń* pisze do pewnego stopnia pod wpływem *Pana Tadeusza*. Mickiewiczowi poświęca on natchniony wiersz, pisany w Warszawie, w którym, mając na myśli Mickiewicza, przedstawia najwyższe powołanie poety wogóle i widzi w Mickiewiczu idealny obraz wieszczca narodowego.

W dziele rozpowszechniania kultury polskiej w Bułgarji duże zasługi położyło Towarzystwo Polsko-Bułgarskie w Sofji, założone w roku 1918. Towarzystwo może się poszczycić przedsiębiorczością i energiczną działalnością. Wydaje własny dwutygodnik, *Przegląd polsko-bułgarski*, który drukuje artykuły o polskim duchowym i politycznym życiu, artystyczne tłumaczenia, teksty polskie, przeznaczone dla tych, którzy uczą się języka polskiego. Oprócz tego Towarzystwo urządza odczyty publiczne o Polsce, kursy języka polskiego pod kierunkiem profesorów uniwersytetu i wystawy sztuki polskiej. Zwłaszcza cenna jest wydawana przez Towarzystwo *Biblioteka polska*, zawierająca przekłady polskich utworów i oryginalne prace z zakresu kultury polskiej. Dotychczas wydała ona w tłumaczeniu następujące utwory: Wyspiańskiego *Sędziów*, Krasińskiego *Irydiona*, Brodzińskiego *Wiesława*, Kasprowicza *Hymny*; wydana jest też obszerna antologia poezji polskiej od Mickiewicza do naszych czasów, we wzorowych przekładach, z charakterystyką poetów i obszernym wstępem. Przygotowane są w tłumaczeniu do druku, jako oddzielne tomy Biblioteki: *Nieboska Komedja*, *Anhelli*, *Pan Tadeusz*, *Śluby panięskie* Fredry, *Tamten* Zapolskiej, *Mogiła nieznanego żołnierza* Struga, *Gody życia* Dygasińskiego, *Historja Polski dla wszystkich* Rydla. Pierwszym tomem Biblioteki był *Duch dziejów Polski* Chołoniewskiego. Prócz tłumaczeń Biblioteka drukowała i oryginalne prace: monografię o Szopenie pióra prof. Ganewa, *Historję malarstwa polskiego*, bogato ilustrowaną, wrzście wydaną niedawno książkę *Polska, Bułgarja i Słowiańszczyzna*, zawierającą pięć odczytów bułgarskich uczonych i p. Tad. Grabowskiego o stosunkach politycznych i kulturalnych między Polską, Bułgarją i innymi narodami słowiańskimi. Na scenie naszej wystawione były sztuki Przybyszewskiego i Zapolskiej. Wielkie powodzenie miała *Halka*, po raz pierwszy wystawiona w Sofji pod kierownictwem polskiego dyrygenta i polskiej śpiewaczki w roli głównej. Utwory współczesnych polskich kompozytorów nieraz bywały grane na naszych koncertach symfonicznych.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Jaskrawo się uwydatnia stosunek Bułgarji do kultury polskiej na tle słów profesora rumuńskiego M. Jorgi, wypowiedzianych o stosunkach dwu sąsiednich narodów: „Polacy i Rumuni albo zgoła całkiem się nie znają, albo też mają o sobie wyobrażenia niezupełnie słuszne... Historia Polski nie jest u nas znana... Niema żadnej antologii polskiej po rumuńsku... W Warszawie odbył się wprawdzie niedawno cykl wykładów o literaturze bułgarskiej, o Rumunji jednak żaden tam jeszcze z rumuńskich profesorów nie mówił... Podróże Naczelnika Państwa, marszałka Piłsudskiego, i Pary królewskiej rumuńskiej, oraz kilka wycieczek studentów i dziennikarzy — na tem kończą się objawy wzajemnej przyjaźni“ (M. Jorga: *Polska a Rumunja* w *Przeglądzie Współczesnym*, czerwiec 1924, Nr 26, s. 383).

Nie będę się zatrzymywał dłużej na poszczególnych faktach, świadczących o naszym stosunku do Polski. Nie będę tu mówił o stosunkach gospodarczych między naszymi dwoma krajami, o możliwości wspólnej polityki gospodarczej, prowadzonej na podstawie samodzielnego rozwoju ekonomicznego. Podkreślam tylko, że do wzmocnienia tych węzłów warunki są jak najbardziej sprzyjające. Nie widzę żadnych istotnych przeszkód do jeszcze większego zbliżenia kulturalnego, ekonomicznego i politycznego. Z Polakami zawsze się rozumieli. Pomiędzy nami niema żadnych sporów i niechęci; przeciwnie — wiążą nas wspólne nieszczęścia, nieszczęścia w niedalekiej przeszłości, które wynikały z tego samego źródła. Jeżeli są Słowianie ciężko skrzywdzeni przez Słowiańszczyznę — to właśnie my i Polacy. Myśmy razem odczuli najmocniej na sobie wady i błędy Słowiańszczyzny i dlatego najskuteczniej mogliśmy pracować nad jej prawdziwym odrodzeniem, opartem na bardziej realnej podstawie: równouprawnienia, humanitaryzmu i wzajemnego szacunku, — mogliśmy wystąpić przeciwko narodowej megalomanji i zaślepienemu szowinizmowi, przeciwko przemocy i wszystkim chorobom Słowiańszczyzny, które wśród niej szerzą się zastraszająco.

Czyż trzeba przypominać i to, że dla Polski nie powinno być obojętne, jaki jest stosunek obcego — a zwłaszcza bratniego narodu — do jej kultury, — że rozszerzenie tej kultury poza granice polskie jest sukcesem, tak ważnym, jak i sukcesy polityczne — a może nawet ważniejszym, bo trwałszym. To, że do małej i dalekiej Bułgarii, do mało znanego tu narodu, który uporczywie walczy o swój byt, przenika kultura polska — niech ten fakt nie budzi tu tylko lekceważącego gestu.

Jako bardzo pomyślną podstawę do dalszego zbliżenia wskazałbym wzajemny stosunek charakterów polskiego i bułgarskiego. Trzeźwy, pozytywny, nadzwyczaj realistyczny charakter Bułgara i polski idealizm — w ogólnem znaczeniu słowa, nietylko w etycznym — polskie, że tak powiem, uduchowienie, bardzo dobrze się dopełniają nawzajem. To, co jest naszym prawdziwym skarbem, to jest nasza wola, nasza nieustanna i niezwyciężona siła twórcza. Z dzisiejszego stanu Bułgarii nie należy wyprowadzać wniosków o istocie charakteru bułgarskiego. Po niepowodzeniach wojny bałkańskiej a zwłaszcza europejskiej, po przeżytych ciężkich doświadczeniach, zaehwiały się bardzo podstawy naszego państwowego, gospodarczego i społecznego życia. W takich warunkach nawet najbardziej nieugięty charakter może stracić równowagę — na chwilę. Ale podkreślam: naród bułgarski nie ma skłonności do anarchizmu — zawsze słynął ze swej

pracowitości, swego ducha organizacyjnego, swej oszczędności i trzeźwości. Te jego ceune zalety nie zanikły. Na jakiegokolwiek próby wystawi nas los, nie przestaniemy praeować. Ci, którzy dzisiaj stoją nad nami i wyczekują, kiedy przestaniemy nawet oddychać, mogą nas dusić politycznie, mogą zabierać nasze zboże, nasz węgiel, nasze bogactwa narodowe — lecz jednego nigdy nie będą w stanie odebrać: tej woli i nieustannej energii. Zdajemy sobie sprawę, że musimy pracować obecnie z podwójną siłą, nie skarżąc się i nie poddając apatji i pesymizmowi.

Śpieszę jednak dodać, że ten charakter bułgarski, pelen woli i trzeźwego realizmu, powinien złączyć się i z innymi pierwiastkami, nie zatracając swej istoty. Bez wątpienia, realizm sam w sobie jest cenny jako zdrowa zasada życiowa — lecz nie wtedy, kiedy może się wyrodzić w krańcowość, w ograniczoną praktyczność i ciasny utylitaryzm. Dążenia nasze skierowane są ku wyższemu idealizmowi. Jak to już miałem sposobność zaznaczyć gdzieindziej,<sup>1</sup> mamy przed sobą określone cele, chcemy zżyć się z tem wszystkim, co może rozjaśnić i rozszerzyć uasze dusze. Oto dlaczego tak silnie pociąga nas kultura polska. Nasz stosunek do Polski nie jest wyrazem pustej ciekawości i bezmyślnego słowiańskiego sentymentalizmu, który właściwie zawsze był nam obcy. Jak już powiedziałem, stosunek ten świadczy o głębszej potrzebie — potrzebie duszy.

Idziemy — Bułgarzy i Polacy — każdy swoją drogą, lecz w rzeczywistości zbliżamy się do siebie: dążymy do wspólnego idealu — do zespolenia zdrowej i niezwyknięzonej woli z wyższym idealizmem, surowej energii z wyższymi wżłotami dueha. Ja zawsze wyobrażałem sobie doskonały naród — jako naród o duszy zarazem polskiej i bułgarskiej.

BOJAN PENEW.

---

<sup>1</sup> *Duch literatury bułgarskiej. (Przegląd Współczesny, Nr 21).*

P. S. Cytaty z pamiętników M. Czajkowskiego, przy których nie podano w tekście źródła, pochodzą z artykułu p. K. Suchodolskiej p. t. *Bułgarzy w pamiętnikach Sadyka-paszy* (po bułgarsku w *Zborniku Akademji Bułgarskiej*).

## MARCIN ANDERSEN NEXÖ

Czegokolwiek tknęły się ręce te, rośło i żyło, — i to właśnie było rysem rodu Mężów najznamienniejszym...

NEXÖ: *Ditta, Stworzenie ludzkie.*

Jakież to błogosławione ręce? Cóż to za ród tajemniczy? Gdzie gniazdo jego? Jakie są jego czyny?

Tablicy genealogicznej rodziny tej niema, — odpowiada Nexö — gdyż rodzina to liczna, „jako piasek morza“. Wywodzą się z niej wszystkie inne rody; z niej się wyłoniły, powróciły do niej, gdy wyczerpały się siły i rola Mężów była skończona. Pokolenie to podobne jest niejako morzu wielkiemu, którego „wody jasnym lotem wznoszą się ku niebu, by stąd ciężkim później spłynąć potokiem“. Wedle tradycji matką rodu była robotnica polna; syn jej był rolnikiem; uprawa roli od niego wzięła początek. Cechy typowe rodu: „mieli dwoje oczu, w pośrodku zaś twarzy — nos; mieli usta, które umiały całować i kąsać, oraz parę dobrze osadzonych pięści“. A cechy ich moralne? „Byli przeważnie lepszy od warunków, jakie nasuwało życie“. Mężów rozpoznawało się zawsze i wszędzie po tem, że „przywary ich najczęściej wywieść się dały z pewnych, określonych przyczyn, tego zaś, co było w nich dobre, uzasadnić było nie sposób. Były to rzeczy wrodzone“. Nexö zapewnia, że jest to cecha całemu rodowi wspólna.

I oto jesteśmy w państwie Andersena Nexö, w państwie, którego jest synem i władcą, jesteśmy w dzierzawach Pracy. Znój, szary, codzienny, tak powszechny, że niemal jnż niedostrzegalny, jest osnową całej pisarza tego twórczości. Znane nam są w literaturze europejskiej liczne dzieła, na tem tle malowane. Na to tło potężnym rozmachem rzucił Zola patetyczne malowidła swoje w *L'Assommoir* i *Germinalu*; na niem oparł się potężny fresk Hauptmanna; mamy wszyscy w pamięci wizje jutrzniarne Verhaerena, tragiczne cienie Heijermansa; kreśliłi obrazy te pisarze rosyjscy, przydając im grozy głośnym krzykiem barw; wyposażył je w akeenty przejmującego bólu talent Ady Negri; załkała w nich myśl Żeromskiego. Jest więc ten świat mozołu przed-

miotem zainteresowania licznych i znakomitych pisarzy od lat wielu. Nie jest Nexö pisarzem bez wielkiej już tradycji. Przeciwnie. Sam rodzaj twórczości, której granicami są linje bytu ludu Pracy, rozposzechnił i rozplenił się tak bardzo, że zdawałoby się mogło, iż w przedmocie tym powiedziane jest już wszystko. Naogół jest to rodzaj raczej mało ponętny i może nie bez wszelkiej racji nielicznych ma wielbicieli. Bo i cóż pociąga nas ku książce, jeśli nie ciekawość duszy ludzkiej, ciekawość odczytania, przy pomocy rąk wtajemniczonych, jednego bodaj rysu jej sfinksowej twarzy? Pociąga nas ku książce człowiek, jego radości i niepokoje, jego walki i zwątpienia, wzloty i upadki, jego miłość i nienawiść, jego zmagania się z sobą, z światem, z dolą, z Bogiem. W literaturze proletarjackiej z tego bardzo złożonego kompleksu zjawisk, tworzących życie i człowieka, zostaje zazwyczaj świat-wróg i dola-macocha. Studja nad twardymi prawami tego świata i nad przemyślnością niedoli, krok w krok idącej za nędzarzem, mogą być niewątpliwie bardzo ciekawe, i piękne, i wzruszające, o ile otrzymały chrzest talentu. Lecz są i pozostają fragmentem, wykrawkim z całości, której w wizerunkach tych niema, a do której świadomie lub podświadomie tęskni miłośnik książki, brat-samotnik, pragnący odnaleźć w niej brata.

Literatura ta, jak dotąd, mało wie bardzo o jakiejś analizie psychologicznej. Jej człowiek jest bądź typem klasy, bądź symbolem jej wierzeń i nadziei, bądź też sprowadza się do kilku instynktów pierwotnych, słabszych lub mocniejszych, które w grze z wrogimi siłami świata stają się cnotą Arystydesową, lub też występkiem czy zbrodnią. Czasem instynkty te milkną i głuchną, wlokąc się w jarzmie „doli“, jak konie ośleple w kieracie. Czasem, gdy mają moc żywotną, przeradzają się w namiętność. Odbywa się wszystko to niewątpliwie i nader prostolinijnie. Nie człowiek, jako taki, stoi w pośrodku tego rodzaju literackiego, lecz nędza jego. Jej wizerunek wypełnia całe ramy. I jest w tem, musi być oczywiście pewien fałsz, fałsz krótkowzroczności, niedowidzenia, przeoczenia jakoby najważniejszego sprawczynika, duszy ludzkiej. Z tego powodu cały ten rodzaj literacki staje często pod zarzutem tendencyjności. Z tego też powodu leżą nad nim szare, szare mgły monotonnaści i beznadziei.

Przedarl je rnhem potężnym i niezłomnym Marcin Andersen Nexö. I jego świat jest światem nędzy. Jest piewą tego tylko świata. Świat ten tak bardzo i tak wyłącznie wziął go sobie na własność i on sam oddał mu się tak niepodzielnie, że na rodzinnem pobrzeżu Bornholmskiem, wśród turni bezpłodnej półnoey, zarówno jak w Kopenhadze wytwornej, jak i pod roześmianem niebem Andaluzji ani na

moment nie opuszcza go świata tego obecność. Słyszy w Granadzie rytm Fandanga i La Joty, chłonie oddech rozkoszny beztroski południowców, nazywa go „trunkiem cudownym samozachowania“ (nowela *Pan a occho!*), stwierdza, że dzięki niemu życie w Andaluzji „łatwe jest i wspaniałe dla każdego, kto posiada dwa grosze na chleb“. Dwa grosze zaś posiada niemal każdy — w dobrych ezasach. „Teraz jednak“ — t. j. w chwili, gdy on sam znalazł się w Andaluzji — „czasy są złe“. Podniosła się cena chleba z ośmiu groszy za funt, na groszy dwadzieścia i nawet dwadzieścia cztery. Nie zobaczymy Granady, zapadną się w nicość wszystkie jej uroki. Nexö słyszy wołanie: *Pan a occho!* chleba po osiem groszy! — i wołanie to przykuwa go, jak zakłęcie. Jego świat jest wszędzie światem nędzy. Lecz rzucił na świat ten całe snopy barw, wszystkie zaś dobył z żywej duszy „stworzenia ludzkiego“, z żywej duszy nędzarza-człowieka. Ujął duszę tę mądrymi, dobroliwymi dłońmi i, ukazując ją jej samej, wieści: Takaś oto jest! Spójrz w siebie. Ujrzyj się! I zakwitają uśmiechy radości, żdziwienia, poznania i nadziei. Jest, jak była, zła doła, trud twardy, nieraz ponad siły. Ale jest i coś stokroć od nich większego: świętość życia, potęga serca ludzkiego, duszy nieśmiertelność.

Nexö jest więc pieśniarzem tego „pokolenia Mężów“ o którym wspomnieliśmy powyżej, jest piewcą rąk, pod których dotknięciem wszystko „rośnie i żyje“, jest bardem pewnej określonej klasy. Nazywa ją rodem, rodziną, pokoleniem, z zamierzchłych wyprowadza ją czasów. Zbiorowość ta pojęta jest bardzo szeroko. Wyposaża ją Nexö w cechy typowe. Typ, w najogólniejszych linjach, zachowa się, ale już oto jesteśmy widzami zjawiska nowego: w naszych oczach z typu rodzą się indywidualności i charaktery. Indywidualności tak bogate, charaktery tak złożone, że o zgłębienie ich pokusiłaby się nawet analiza Prousta. Dola-niedola schodzi jakby na plan drugi. Z oceanu jej wyłania się twarz człowieka. Jest to wielki czyn Andersena Nexö.

Wspomnieliśmy Prousta. Stoi on na biegunie przeciwnym. Jest on pisarzem starej rasy, analitykiem klasy najbardziej kulturalnej, porusza się z nielada mistrzostwem na szczytach intelektu. Znalazł tam wszakże bardzo dużo materiału przygotowanego i przemyślanego, znalazł już wiedzę o człowieku sfery oświeconej ołbrzymią. I nietylko to. Swann ma masę czasu, dzień powszedni nie żąda od niego żadnej daniny, troska nie dobija się do jego drzwi. Może godzinami i dniami całymi wpatrywać się w misterne kółka, znaczące drogę jego nastrojów, odczuć, myśli, akcyj i reakcyj uczuciowych, — może kółka te składać i rozkładać bez końca. Tak czyniąc, znajduje rzeczy bezcenne,

chwytła i ujmuje momenty niemal że nieuchwytnie i trzyma je, zakuwa je w kształt. W tej tropikalnej atmosferze wewnętrznej, której nie zwarzy żaden podmuch ostrzejszy, zakwita wegetacja nieprawdopodobnie bujna, nieraz może i przebujala. Jest kwestją otwartą, czy kwiat, wyjęty z ciepłarni Prousta i hodowany w zwykłych warunkach klimatycznych nie ukazałby się nam w kształcie nieco pomniejszonym?

Nexö wszedł na ugór. Ludzie, których objął sercem, nie mają czasu. Nie wiedzą o sobie nic prawic. Mija całe długie, długie życie, a nie daje chwili, w której mogłoby się przyjrzeć temu, co przeżyli, cóż dopiero nazwać imieniem jakimś przeżycia owe. Lecz, prawda, jest niemoc ostatnia, która przykuwa człowieka do łoża. U wezłowia stoi śmierć. Umiera Sören Mąż, kmieć dawniej, z kmieciów rodem, dziś — twór „ziemnowodny“, potrosze rybak, rzemieślnik potrosze, starzec, nędzarz. Do ostatniej chwili odgania, jak może, nędzę od chaty, od żony, Mareny, od wnuczki, Ditty. Umiera Sören Mąż.

...Czasu pierwszych dni tęsknił Sören nieustannie za dzieckiem, co chwila musiała mu Marena sprowadzać Dittę. ...Powoli wszakże zatracał... zainteresowanie dla dziecka i wogóle dla rzeczy dookolnych. Duch jego odwracał się od teraźniejszości, pomykał kn rzeczom odległym... Zakopał się w czas, który był niegdyś, odnalazł tam młodość, cofał się dalej coraz i dalej; niepojęte, ile to rzeczy żyło w jego pamięci. Przypominał sobie doznania z wczesnych lat dzieciństwa, doznania, które dotąd spoczywały w ukryciu... Nie bredził bynajmniej i nie zmyślał; odwiedzali go ludzie wsiowi, starsi od niego, i potwierdzali każde jego słowo. Dziwnie było przysługać się, jak wżera się w to życie minione, jak chłonie zeń wszystko do ostatka: za nim ostawała już jeno próżnia. Schodząc w dół po tej drabinie wspomnień, zapominał lata owe tak bez śladu, jakby nie było ich nigdy.

Gniewało to Marcnę. Przeżyli z sobą długie życie; wspólnoty było między nimi dużo; miło byłoby zatrzymać się jeszcze przy tem lub owem, zanim się rozstaną. Lecz, gdy szło o ich wspomnienia wspólne, Sören głuchy był jak pień. Natomiast pamiętał zagrodę na przylądku i ogród, zabrany przez morze, gdy miał lat pięć. Tak, to pamiętał. Jak rosły drzewa i jakie niosły owoce.

Gdy zaś nie było już, ku ezemu sięgnąćby mogła pamięć, zawrócił, począł majaczyć, był pastuszkciem i żeglarzem i Bóg wie, czem jeszcze.

W snach niespokojnych plątały się wszystkie przeżycia, radosne wyprawy młodości, praca i wysiłki. Już to był na morzu i żagle ścigał śród burzy, już mocował się z glebą oporną. Marena stała nad nim i z przerażeniem słuchała tych dziejów życia; zdawało się, że przyszło mu szerokim galopem przebyć jeszcze raz całą żywota przestrzeń. Jakież to straszne przeżył dzieje — złe i dobre — ona zaś nie wiedziała o nich nic. Przychodziło jej na myśl, że trzeba by się pożegnać...

...Rankiem dnia, w którym umarł, był znowu zupełnie inny, tak, jakby znów powrócił do chaty, aby wszystko ostatniem pożegnaniem; był słaby, lecz przytomny.. Od długiego czasu, po raz pierwszy, dźwignął się znów na łóżku, aby napić się kawy; ilekroć Marena podchodziła do łóżka, dawał jej leciutkiego klapsa.

Był jak duże dziecko, i Marena przyciągnęła ku sobie starą tę głowę i głaskała ją.

— Jakżeż dobrze utrzymałeś się, Sörenie! — rzekła, gładząc mu włosy. — Włosy twoje tak są niemal miękkie, jak wtedy, gdy byliśmy młodzi.

Sören opadł na poduszki; leżał znów, trzymając jej rękę. Tak leżał długo, patrząc na nią w milczeniu. W spłówaitych jego oczach ciche malowało się uwielbienie.

— Czy nie rozpuściłabyś włosów dla mnie, Mareno? — szepnął wreszcie szepem wstydliwym. Wydawało się, że ciężko mu było wyrzec tę prośbę.

— Co znowu! — odparła Marena, kryjąc twarz na jego piersiach. — Co znowu! Starzy przecież jesteśmy, Sörenie!

— Rozpuść włosy dla mnie! — wyszeptał raz jeszcze, bardziej natarczywi i wnet własnymi, choremi palcami począł rozplatać jej włosy.

Ze wspomnień Mareny wychylił się wieczór pewien, odległy, odległy: kóź, wyciągnięta na brzeg, na brzegu ukryci oni dwoje... Szlochając, rozplotła siwe włosy, tak, że opadły na głowę Sörena, kryjąc twarz jej i jego. Delikatnie dotykał się Sören włosów tych.

— Długie są i gęste — szepnął cichutko — skrywają nas oboje.

Brzmiały te słowa, jakby echo z dalekiej ziemi młodości.

— Nie, nie — zaprzeczyła Marena, płacząc — siwc są, rzadkie i twarde. ~~Wtedy~~ wtedy podobały ci się...

... — Nie płacz, Mareno, nie płacz! — wyrzekł. — Wyżywicie się obie z Dittą. Ale jeśli chcesz uczynić coś dla mnie, uczesz się, jak wtedy, w kościele. Dobrze, Mareno?

— Sama nie potrafię przecież, Sörenie, — odparła staruszka, znowu wybuchając płaczem... Ale Sören nastawał.

Wtedy śpiesznie pobiegła Marena do wsi... pobiegła śpiesznie do kobiety, która przystrajac umiała panny młode. I kazała upiąć sobie siwe, rzadkie włosy na sposób, w jaki upina się je pannom młodym. Sören leżał, zdjęty trwogą, lecz, ujrawszy ją, uspokoił się natychmiast; długo patrzył na nią, ona zaś, płacząc, siedziała przy łóżku jego i trzymała jego rękę...

Nagle rzekł głosem tak mocnym, jakiego nie dobył z siebie oddawna:

— Dzieliliśmy z sobą zło i dobro, Mareno — a teraz przyszedł kres. Czy chcesz mi pozostać wierną przez ten czas, który masz jeszcze przed sobą?

Wsparł się na łokciu, podniósł się i starał się przeniknąć ją oczami.

Marena otarła oczy, zamglone łzami. Wiernem spojrziała na niego spojrzeniem.

— Tak, — wyrzekła zwolna i z przekonaniem — nigdy nie miałem w myśli nikogo innego i mieć nigdy nie będę. Panem Jezusem świadczę się i możesz mi wierzyć, Sörenie!

Sören opadł na poduszki, zwarł powieki i po chwili ręka jego wysunęła się z jej dłoni.

Zewnętrzne życie tych dwojga szło nieubłaganie, po linii zawodów, w dół i wciąż w dół. Dla władz duchowych Mareny Sörena nie żywił nigdy poważania. Po dobremu i złemu nazywał ją „pleciugą“. I napewno nie miał czasu zastanowić się w ciągu życia, czy tem określeniem jasno i prawdziwie sformułował swój do niej stosunek. Powierzchności jej już nie widział zgoła, podobnie jak nie widział ścian

chaty, na które patrzył codziennie. Swarzyli się nieraz, do ostrych nawet przychodziło między nimi starć. Śmierć otwiera mu nieodmykane nigdy zakamarki prawdy przeżytej. Czyż nie zapomnieliśmy, że mamy przed sobą najnędnieszego z rybaków pobrzeża północnego i starą, jakże steraną, „pleciugę“? Czyż można sięgnąć głębiej do Sezamu odczuć ludzkich?

Ludzkie — arcyłudzkie — to jest kopalnia Ncxö'a

\*

Moc Andersena Nexö płynie z wielkiej miłości jego dla życia i człowieka. W dniach pierwszej młodości, kiedy, jako pomocnik murarski, stojąc na drabinie, cegłę i wapno podawał majstrowi, doleciała do niego i poczęła kiełkować w nim myśl o życiu innym, szerszym, pełniejszym, o którym wiedział, że jest, i do którego zapragnął dotrzeć. Z brzegu, na którym stał, widział ten łód obiecany — byle przepłynąć, wyciągnąć ręce. Tam leżał czarowny świat wiedzy, mądrości i piękna, zakłętogo w literę, kształt, dźwięk. Bardziej hardy od niego towarzyszy pracy rzuca od niechcenia pytanie: „Dłaczegóż nie potrafiłbym posiąść znawstwa muzyki lub mądrości książkowej, jeśli może je posiąść pierwszy lepszy urzędnik, czy handlowiec? W danych warunkach nie mam tylko czasu i pieniędzy“. Pomocnik murarski pracuje latem — zimę ma wolną. Jeśli szczęście posprzyja, można uzbierać, odłożyć trochę grosza i za zaoszczędzoną sumę pojechać do miasta. Można się o krok zbliżyć do przedmiotu marzenia, słuchając, na przykład, kursów na wszechniey ludowej. Tak uczynił Nexö. Nie rozczarował się widać, przeciwnie, umocnił się w przekonaniu, że to, po co sięgnął, rozszerza i wzbogaca życie, bo gdy, jako pisarz, roztacza obrazy nędzy, gdy skarży się, i naciera, i marzy, jasnym jest zawsze, że czyni to w imię owych wartości wyższych, których głód i brak czasu nie puszczają poprzez próg nędzarza. Jego złość do nędzy ma źródło w świadomości, że jest pomniejszycielką wartości duchowych człowieka, że obdziera z uroku cały jego byt na ziemi. Nietylko całunem zakrywa piękno świata, lecz pustoszy duszę, obsiewa ją ziarnem zła. Widzi ją wyraźnie w postaci Szatana. „Chciałabym wiedzieć — mówi Ditta, wspominając tragiczne koleje życia swego — czy wszystko, co jest w człowieku złe, rodzi się z nędzy?... Dzieci napewno nie są złe. Więc całą winę ponosi nędza?...“ Odpowiedź brzmi: „Prawie całą“. Przekonanie to powtarza się u Nexö'a w wielu warjantach. Dzieci nie są złe. „Lecz jeśli dzieci nie są złe, w jaki sposób złym staje się człowiek dorosły?“ — „Może także nie jest zły? Może to tylko warunki zmuszają nas do złych uczynków“.

Nexö koeha człowieka, na wadze miłości waży jego przewiny, usprawiedliwia, oczyszcza je niejako. Gdy nie znajduje dla nich usprawiedliwienia w nędzy, odnajdzie je w jakimś obciążeniu dziedzicznym, jak w opowieści p. t. *Odkupienie*. Leez jakgdyby sam czuł, że zagadnienie dziedziczności i wolnej woli pojął tu zbyt symplistycznie, odnajduje jeszcze w duszy „człowieka z Naesgaarden“ (w opowieści nie ma on imienia) potrzebę i moc naprawienia win popełnionych, moc „odkupienia“ ich, trwającego przez pół wieku. Dokonywa takiego oczyszczenia duszy w *Odkupieniu*, jednej z pierwszych swych opowieści, w potężnym epizodzie, poświęconym ojcu człowieka z Naesgaarden; dokonywa go na duszy „gratulanta“ w ostatniej swej powieści: *Ditta, Stworzenie ludzkie*. Obaj — to bankruci moralni, ludzie beznadziejnie upadli. Ojciec człowieka z Naesgaarden jest alkoholikiem, erotomanem, złodziejem. Ma na sumieniu zdrowie fizyczne żony, niedolę jej bezdenną, do pewnego zaś stopnia zdrowie moralne syna. Ojciec ukazany nam jest w postaci odrażającej satyra.

...W pewien letni wieczór wybrałem się do ogródka restauracyjnego. Miałem kolegów doświadczonych, przywołali więc kilka dziewcząt... Nagle spostrzegłem, że wzdłuż altan skrađa się ojciec mój i że zagląda do każdej z nich. Zobaczywszy mnie, chciał minąć naszą altanę, lecz rozmyślił się. Wszedł, z uniżonością powitał kolegów, prosząc, by mu pozwolono zająć miejsce przy naszym stole. Okazywał mi tyleż uprzejmości, co i innym, traktował mnie, jak obcego... Zapraszał mnie gorliwie do picia — miałem wrażenie, że chce mnie widzieć pijanym... Czynił dwuznaczne dowcipy i okiem znawcy przyglądał się dziewczętom. Rozpoznawał namacalnie przymioty dziewczyny, siedzącej obok mnie, i chwalił mój dobry smak...

Takim go widząc, niepodobna nie ucuć wstrętu. Lecz Nexö i w niego wierzy. Dopelnia się w opowiadaniu coś przedziwnego. Pojawiają się jakieś blaski, zapalają się światła, których dotąd nie było widać. Nic się nie zmieniło, a czuje się w powietrzu coś tajemniczego, coś nienazwanego. Ktoś może się ocknie, ktoś pokocha, przebaczy? Ktoś umrze? To poprostu chwila, w której niewiadomo już, co to jest dobry, a co zły człowiek. Jest człowiek zbłąkany, samotny, nieszczęśliwy; człowiek, który chciałby rozpocząć życie nanowo; człowiek, który odkrywa w sobie nietknięte dotąd źródła nczuć, chce wszystko wymazać, wszystko naprawić, chce b y ć s o b ą. Znaczy to w przekonaniu Nexö'a, że chce być dobrym. Ta właśnie chwila schodzi na ojca człowieka z Naesgaarden. Około północy zjawia się nagle u żony. Żona znać go nie chce. Ów nadrabia miną — ból, zakłopotanie pokrywa eynizmem. Wreszcie wybucha:

Świnie zachowują się jak świnie, zwierzę drapieżne rozszarpuje ofiarę, a gnojowisko cuchnie. Czegoż więcej żądać od nich można?... Lecz świnie, i gnojowisko, i zwierzę drapieżne nie żałują, nie muszą prosić przebaczenia...

On zaś m u s i. Żaluje, jakżeż gorzko żaluje! Coś go niewoli — jakby życie zawisło od tej jednej chwili. Nie zyskuje przebaczenia. Też nocy wieszka się, wieszka się w sposób okropny. Lecz znikł człowiek potworny, pod grymasem fauna ukazała się twarz nieszczęśliwego. Krzywdziciel pozostaje nam w pamięci jako skrzywdzony.

„Gratulant“ należy wręcz do odpadków ludzkich. Pamięta czasy lepsze, był niegdyś „u góry“. Spłynął wszakże do ogólnego morza nędzy, które opiewa Nexö, i przyjęło go ono w siebie. Nie ma na sumieniu niczyjej krzywdy, przeciwnie, powinna mu się noga, gdy przeciwstawić się chciał nieprawości, planowanej przez innych. Stracił posadę, odjęto mu możliwość zaczepienia się o jakąkolwiek pracę. W oczach żony jest tylko głupcem i niedołągą — żona rzuca go. Wychodzi potem zamaż powtórnie, zachowuje miejsce swoje i stanowisko w sferach, z których on sam jest wykluczony. „Gratulant“ — Kramer z nazwiska — kochał tę żonę. Jej wspomnienie jest w nim cierniem zawsze żywym. Posiadał niegdyś godność własną, ambicję. Staje się „gratulantem“, t. j. korzysta z jubileuszów, imienin, uroczystości u znanych mu potentatów, aby w dniu oznaczonym składać im życzenia. Pieniądze, w ten sposób otrzymane, przepija. Zakwaterowawszy się u Ditty, obciążonej dziećmi, pracą ponad siły, biedą, za izdebkę i śniadanie nie płaci, wyzyskuje jej dobroć bez skrupułów, jakkolwiek co do kwalifikacji postępowania swego nie ma cienia wątpliwości. Ale przychodzi na Dittę chwila czarna, chwila całkowitej bezradności. Wtedy Kramer zdobywa się na jedyne bohaterstwo, na jakie zdobyć się może, na bohaterstwo stoczenia się jeszcze o szczybel niżej, w sam dół. Gwoli Ditty, gwoli dopomożenia jej. Dawnej żonie swojej idzie wieszkać „rocznicy zaślubin“ z tym innym, którego nie przebołał. Ceną tej ofiary jest piętnaście koron, które poratują Dittę, ceną jej jest może życie, gdyż ma się wrażenie, że wyprawa ta złamała jego siły żywotne. Upadł, jak nie można niżej, jednocześnie zaś wzniósł się o całą wielkość ofiary.

Może Dickens jeszcze tak bardzo kochał człowieka, może — Orzeszkowa.

Kochając zaś życie i człowieka, Nexö ma czulość niezglębioną dla dziecka. Czulość to niemal religijna. Najpiękniejsze kartki pięciotomowej powieści jego *Ditta, Stworzenie ludzkie* poświęcone są dziecku. Powiedział jeden z pisarzy naszych: „Kochajmy dziecko, albowiem ono niesie pochodnię“. Ono jest przyszłością, życiem, będącem w drodze, życiem, które przyjdzie po nas, życiem wiekuistym. Tak pojmuje dziecko Nexö. Nikt miększymi dłońmi nie ujął jego duszy, nikt z równym mistrzostwem nie odczytał jej tajemnic. Pisarze północy za-

znaczyli się wizerunkami dzieci bardzo pięknymi, lecz ani Karen Michaelis, ani dużo subtelniejszy od niej Geijerstam nie dotarli do szycht, które otworzyły się kochającym oczom Nexö'a. Jego miłość życia nie znalazła bardziej wymownego wyrazu nad ów, w którym wypowiada się jego stosunek do dziecka. W tej dziedzinie jest poetą wybranym, jest wieszczem i odkrywcą. W tej dziedzinie jest też oskarżycielem bezwzględny i nieprześląganym sędzią. Lars Piotr, człowiek gołębiego serca, dobroci i ustępliwości bez granic, zakochany i zaślepiony w żonie swej do niepamięci, Lars Piotr, z palką w ręku, gotuje się do wymierzenia jej kary najśrodszej za to, że niesprawiedliwie skatowała dziecko. „Twarz jego była szara... Przed jego spojrzeniem Sörina cofnęła się aż popod zegar, wcisnęła się w kąt“... Ta twarda, zimna i silna kobieta drżała przed człowiekiem, którego dotąd owijała o palec. „...Dziecko cię oskarża — mówi Lars Piotr — cóż więc teraz będzie?“ Sörina drży. „Miała go za poczciwego durnia, jak wszyscy inni. Jakże straszny był w gniewie!... Na samo wspomnienie gniewu tego uczuwała mrowie. Bezpieczniej było nie drażnić go...“ Śmierć dziecka, które czasu bezlitosnej zimy i bezrobocia, na dworcu towarowym zbiera odpadki koksu i strwożone ukazaniem się policji pada ofiarą przejeżdżającego w tej chwili pociągu, staje się dla Nexö'a punktem wyjścia olbrzymiej demonstracji, nadciągającej jakby jakiś grozy pelen dziecń porachunków ostatecznych. Przypadek nieszczęśliwy wyrasta do potęgi symbolu, jest piętnem, które Nexö z fanatyzmem wyznawcy wypala na obliczu współczesności, w imię świętego i nietykalnego życia dziecka. Gdy myśli o krzywdzie dziecka, staje się gorzki, szyderczy:

...Jest półtora miljarða gwiazd na niebie — i — o ile wiadomo — jest półtora miljarða istot ludzkich na ziemi. Porówni!... W cennych obserwatorjach, rozmieszczonych na całej kuli ziemskiej, już w dolinach, już na szczytach wyniosłych — a liczba obserwatorów tych idzie w setki — siedzą uczeni niezwykłych zdolności i, zbrojni w przyrządy najsubtejniesze, noc w noc badają przestwór niebieski... Całe ich życie wypełnia myśl jedna: myśl o zdobyciu nieśmiertelności przez odkrycie gwiazdy nowej. Jeszcze jednej obok owego półtora miljarða, który już wiruje w przestworzu.

Każdej sekundy rodzi się na świecie jakaś dusza ludzka, Zapala się światło nowe, które palić się może będzie blaskiem szczególnie pięknym, a które mieć będzie w każdym razie własne, nie widziane nigdy widmo. Istota nowa, która rozsiewać będzie dokoła siebie genialność może, może piękno, całuje ziemię, staje się ciałem i krwią. Więc gdy zapala się nowe światło, dusza nowa, radość chyba schodzi między ludzi? Więc okrażają ludzie kolebkę nową z pytaniem w oczach, z pragnieniem przeniknięcia, co też kryje w sobie światło dotąd niewidziane?...

W przeubogiej chacie rybackiej Sörena i Mareny Mężów przychodzi na świat dziecko nieślubne córki ich Söriny, Ditta. Nikt ra-

dością nie wita pojawienia się jej w kregu życia. Przeciwnie. Zanim jeszcze ujrzy światło dzienne, już toczyć musi walkę o miejsce swoje na świecie, albowiem zarówno Marena, jak i Sörina bronią jej miejsca tego, chytre na jej byt obmyślając zasadzki. Dziecko — nieślubne, w chacie — nędza. Ditta jednak, „jako ten łoś, co płynie i przeciw prądowi“, zwycięża wszystkie przeszkody, mające unicestwić jej byt, rodzi się i, zjawiwszy się na świecie, próbuje zdobywać serca. Dla praw porządku społecznego jest intruzem: metryka chrztu raz nazawsze klasyfikuje ją jako dziecko nieślubne. Ojciec, który mieszka o miedzę, jest kmieciem i synem kmieciów bogatych; sumą dwustu talarów wykupuje się z ślubu i z wszelkich na przyszłość wobec dziecka obowiązków. Dla matki malutka jest przybyszką zgoła niepożądaną. Zostawia ją dziadkom i przyjmuje służbę daleko od chaty, w głębi kraju. Dla Mareny, która z piękną córką mierzyła wysoko, Ditta oznacza śmierć najczarowniejszych nadziei, „plamę“ oznacza dla obojga starych. Niemniej Marena odszukuje w śpichlerzu pradawną kołyskę, Sören zbija jej bieguny. I staremi opuchłemi nogami babka zaczyna się wprawiać w czynności puszczania kołyski w ruch.

Zwolna budzące się życie małej rozciąga urok swój nad starymi. Schodzi w chatę młodość. Mieli ośmioro własnych dzieci — wszystkie wyfrunęły z gniazda. Ostygło gniazdo. Teraz wraca tyłe powiązanych z przeszłością wspomnień. „Nieraz, gdy (Marena) trzymała malutką na rękach, zdarzało się, że dziecko błądziło usteczkami po jej szyi zwiedłej, rączką sięgało do jej piersi. Tak dziwnie patrzyły oczęta. „Jakże to mocno siedzi w niej instynkt!“ — mówił Sören. Marena jednak wybuchła płaczem, mimo łat swoich i rozsądku. Ośmioro po kolei wykarmiła piersią własną i, choć było to już tak bardzo dawno, wracało teraz wspomnienie“. Gdy po trzech tygodniach dziewczynka obdarza Sörena pierwszym uśmiechem, ten „mało nie oszał“. Gdy zaś zaczęła pojmować zabawę, „nie sposób było wziąć się do jakiegokolwiek innego zajęcia“. Oboje rozwój dziecka śledzą z wyczerpaną uwagą. Starają się przypomnieć sobie, czy zjawiska, które Ditta stawia im przed oczy, znane im są z życia własnych dzieci. Nie zastanawiali się nad dziećmi własnymi. „Nie mieli czasu“. Teraz jednak „musieli zamyślić się, nie mogli poprostu nie myśleć, choćby roboty było powyżej uszu“. Niepożądane przez nikogo dziecko staje się niewyczerpanym źródłem radości staruszków, „otwiera im oczy“, na uiejedno, rzuca błask na splowiełe ich dni. Rzuca błask na całe dzieło Nexö'a.

Życie malutkiej rozbudza nanowo rozum i wynalazczość Mareny, podsyca przez jakiś czas podupadłc bardzo siły Sörena. Lecz sił tych

jest już jednak za mało. Kończą się spacerzy staruszka z Dittą, ich rozmowy, zabawy i zwierzenia — Sören umiera. Ciężki zaczyna się dla Mareny czas. Wiedziała, że sąsiedzi nie płacili Sörenowi nigdy za roboty, które dla nich wykonywał, postanawia więc odebrać te pieniądze. Przypasawszy torbę, kosztur wzięwszy w rękę, zabiera dziecko i wędruje z niem od chaty do chaty. Dramatyczność tych wędrówek Nexö odtworzył z plastyką i siłą wyjątkową. Marena przychodzi po swoje, dopomina się jednak o należność w formie omówień i czyni tak z delikatności, powiedzielibyśmy, z dobrego wychowania. Dłużnicy jednak stwierdzają sprostą, że przychodzi „na żebrzy“ i odnoszą się do niej i do Ditty jak do żebraczek. Każą jej stać i czekać, czekać godzinami. „...Marena odczuwała poniżenie, poniżenie palilo ją; lecz nie kapitulowała“. Aby utrzymać dziecko i siebie, chwytą się odziedziczonej po matce, znachorce wiejskiej, wiedzy i leczy tych, którzy zwracają się do niej po poradę. Jest mądra, pomaga często. Najczęściej ludzie sami „podpowiadali jej, co ma rzec i uczynić!“. Korzystała z tych nieuchwytnych wskazówek. Lecz w ten sposób ustaliło się we wsi mniemanie, że jest czarownicą, wiedźmą ohydną, którą wzywano wprawdzie w potrzebie, lecz której bano się i od której stroniono bezwzględnie. Gdy i do wnuczki dociera wieść, że babka jest wiedźmą, Marena z wstrętem i goryczą odsuwa się od ludzi, rzuca znachorstwo. Z jej wpółosłepłych oczu palące płyną łzy. „Posługiwali się nią, gdy szło o łezzenie ich cierpień, lecz potajemnie jej właśnie przypisywali winę cierpień owych i gruntownie obkadzali izbę, gdy wychodziła za próg... Wiedziała, że bliźnim świadczy tylko dobro, a oto odnosili się do niej, jak do trędowatej, zatruli powietrze dokola niej tchórzostwem i nienawiścią... Płakała nad światem i nad samą sobą“. Jednego miała tylko przyjaciela, jedną duszę szczerze jej oddaną: Dittę. I Ditta, „bękart“, nikogo nie ma na świecie prócz „kochanej buńki“.

Spadnie jednak czasem i chwila lepsza. Marena otrzymuje pozwolenie na zbieranie chrustu w obszarze leśnym Ellebäk. Raz w tygodniu wolno jej jest zbierać tam paliwo. Wyprawy te przeistaczają się niemal że w majówki. Ale z kolei i Marenę opuszczają siły, traci wzrok, puchną nogi. Odtąd role zmieniają się: babka staje się dzieckiem, dziecko sześćioletnie obejmuje ster życia. Ditta sama wędruje do lasu po gałęzie. Niepodobna nie przytoczyć bodaj fragmentu jednej z takich wędrówek:

...Ditta nie bała się, ale trochę ją jednak strach łaskotał. Co chwila przystawała, nasłuchując; gdy zaś zatrzeszczało coś w gałęziach suchych, wzdrygała się, pełna zdziwienia. Tu nie nudziła się; mała jej osóbką tonęła po brzegi w naprężo-

nem zdumieniu; każdy krok niósł nowe zdarzenie, dreszczyk podniecający. Nagle coś rzucało się na nią z groźnem: haps! — głos wydając taki, jaki szedł z pieca, gdy babka dawała mu się napić nafty. Wtedy uciekała co sił, póki nie stawała znów na jakiejś jasnej polanie.

Podczas wycieczki takiej znalazła się raz nagle nad brzegiem potoku, nad którym zwisały się gałęzie drzew. Wydało jej się, że wszystka zieleń świata odpływa tą wodą. Cichutko, jak myszka, stała Ditta, zatopiona w podziwieniu i olśnieniu. Po tamtej stronie, na brzegu przeciwnym, leżało państwo Boga. Pilnie się wpatrując, ujrzała nawet w krzaku tarniny lica Jego, pełne blasku, siwą okolone brodą. Ale w jaki sposób można było natworzyć tyle zieleni?

Wbiegła w głąb lasu, brzegiem potoku, na zwiady. Nagle stanęły na jej drodze dwie panie... Chociaż nie było deszczu, drzewa zaś dawały cień, rozpięły nad sobą czerwone parasolki, na których słońce, przeświecając przez gałęzie, sprawiało takie dziwy, że kapało jakoby na nie złoto rozżarzone. Panie klękły przed Dittą, jak przed księżniczką jakąś, podniosły jej boscie nóżki, przyjrzały się stopom i poczęły wypytywać ją.

— Tak, na imię ma Ditta. Ditta-morus i Ditta-śliczności — a także stworzenie ludzkie!

Panie zaśmiały się do siebie i zapytały, gdzie mieszka.

— U Buńki, rozumie się.

— U jakiej Buńki! — spytały znów te niemądre panie.

— Ach, no u Buńki!. Co to nieraz ślepnie dlatego, że tyle się napłakała. I mojej drogiej Buńki.

Panie udały wtedy, że rozumieją już, i zapytały, czyby też Ditta nie poszła z niemi trochę do domu. Ditta z całym zaufaniem podała rączkę jednej z pań i poszła z niemi. Miała ochotę dowiedzieć się, czy też nie mieszkają po tamtej stronie potoku — u Pana Boga. W takim razie byłyby to anioły. Spotkała anioły.

Szły wzdłuż potoku... Lecz oto doszły do kładki, rzuconej ponad wodą w kształcie łuku. Tuż widniały drzwiczki okratowane... Panie odemknęły furtkę... i Ditta znalazła się nagle w najpiękniejszym ogrodzie. Wzdłuż ścieżki rosły kwiaty w zagonach, błękitne osobno, osobno czerwone; prześliczne ich główki były w ciągłym ruchu; zaś znowu osobno, na niskich krzaczkach, zawieszono były niebywałe duże, ponsowe jagody, których nie widziała Ditta dotąd nigdy.

Ditta wiedziała napewno, że znajduje się w raju. Z ustami, pełnymi jagód, przytuliła się do jednej z pań i z nie dającym się zgłębić wyrazem w czarno-niebieskich oczach zapytała: — Czy umarłam już?...

Wycieczka ta w „krajną bajki“ będzie najpiękniejszym przeżyciem jej dni i tak głęboko wryje się w pamięć, że z całego namułu życia przedrze się i zajaśnieje jeszcze w godzinie śmierci. Lecz rychło zgasną światła dzieciństwa. Sörina wyszła za mąż za Larsa Piotra Hansena, z rodziny „Hyclami“ zwanej, za kupea wędrownego, o „niezszczęśliwych“, jak to powiadają, rękach. Niezrównana to postać. Dickens uściskałby go, jak rodzzonego syna. Któryś z jego krewniaków był ponoś katem; u kata ojciec jego, jako wyrostek, pełnił czynności pomocnika. Później został oprawcą. Niemniej wierny sobie Nexö nie

omieszka zaznaczyć: „Ręce moje dotykały się wielu rzeczy brzydkich, (mówi oprawca) lecz nie zaciążyła na nich nigdy krzywda bezbron- nego“. W przesądnej świadomości kmieci i rybaków nad pokoleniem Larsa zawisła klątwa i krew. Na chacie jego, nędznym baraku, „sroc- czem gniazdem“ przewanym, oczy wszystkich widzą złowróbnego ptaka. On sam nie widzi go. Z ufnością dziecka uśmiecha się do ży- cia, rozpoczyna je po każdej klęsce nanowo, cieszy się najmizerniej- szemi jego darami. Jego pojawienie się jest drugim z rzędu wielkiem i świetlanem przeżyciem Ditty. Zdobyła ojca. W „sroczech gnieździe“ rodzą się dzieci, Sörina potrzebuje pomocy w domu, zabiera Dittę do siebie! Ambiwna z natury, potrzebuje też pieniędzy, dużo pieniędzy na wybudowanie chaty nowej. Babka chowa dwieście talarów — okup kmiecia — cały majątek Ditty. Pewnej straszliwej nocy Ditta, przez nikogo nie widziana, nieświadoma rzeczy, które się dzieją o ścianę, będzie świadkiem mordu. Chciwe ręce Söriny duszą „buńkę“, pory- wają lup.

Po tem wstrząśnieniu dusza dziecka zamyka się w sobie. Nie- dowie się od Ditty nikt, co się stało w chacie babki. Napróżno Sörina usiłuje przeniknąć, czy Ditta wie, co wie. Z jakąż niewątpliwą prawdą, z jakimże mistrzostwem psychologicznym przedstawia Nexö zobo- pólny ich stosunek po zbrodni! Wieść wszakże oskarża Sörinę. Gdy pod nieobecność Larsa żandarmi przyjeżdżają pojmać ją i zabierają ją z sobą, gdy Sörina woła rozpaczliwie: „Ditto!“ — Ditta milczy. Jest to jedyny wypadek, kiedy nie pośpieszyła człowiekowi na ratunek. Gdy Lars Piotr, wróciwszy, szykuje się znów w drogę do miasta, aby wyjaśnić „pomyłkę“, „nieporozumienie“, gdy w ostatniej chwili, utwierdzić się chcąc w nadziei swojej, zwraca się do Ditty z zapyta- niem: „Ty wiesz przecież najlepiej, Ditto, co i jak? Będziesz chyba świadczyła za matką?“ Ditta milczy. „Odpowiedzi nie było“.

„Natenczas (Lars) wólno nawrócił wóz ku szopie i poczał wy- przęgać“.

\*

Zatrzymaliśmy się dłużej nad temi „dziejami dzieciństwa“, gdyż stanowią one, jak dotąd, najdoskonalszy wyraz talentu Nexö'a, są pięknem samem. W toku dalszego opowiadania, w tomach następnych, przebogaty w obserwację niezawodną, w tłum postaci, których prawda zawsze prawie narzuca nam się z neodpartą mocą (wątpliwą dla nas jest właściwie jedna tylko postać Karola, przyjaciela Ditty, którego przemiana nie jest dostatecznie uzasadniona), w tomach następnych są czasem chwile przygasłe, są rozwlekłości pewne, jest na- wet trochę rezonerstwa zbytecznego, z dziedziny „propagandy“. Są

to momenty, lecz są — i mając dzieło sztuki jako takie. Niemniej i w tych dalszych tomach odsłaniają się coraz inne, coraz bogatsze zasoby potężnego tego talentu. Jest w tomie trzecim opis zagrody kmiecej Bakke'ów, której przewodzi gaździna-siłaczka, Messalina wiejska, Karen. Widzimy ją i jej zagrodę, oddychamy dosłownie oparami jakiegoś niesamowitego erotyzmu. Zatajenia czają się w każdym kącie. Jesteśmy jakby pod złym czarem tajemnicy strasznej, jakichś złowróżbnych misterjów. Ten nastrój stworzony jest po mistrzowsku. Spotykają nas też zadziwiające niespodzianki. Ton opowieści, nawskroś współczesny, przechodzi nagle w melodię sagi, jakiejś kłechdy pradawnej, owianej niby podmuchem z dzierżaw Selmy Lagerlöf. Wreszcie wystopniowanie tomu piątego *Ku gwiazdom* jest dziełem wielkiego artysty. Objęci mrokiem i zwątpieniem, zwolna, zwolna wznosimy się w sferę światła coraz przejrzyściego, które w kartkach końcowych płonie jak głorja, rozsiewa blaski Apoteozy. Gdy porównać kunszt tak wysoki z dawnymi, bardzo licznymi nowelami tego Duńczyka, niepodobna oprzeć się zdumieniu nad olbrzymią drogą, której trudności zmógł tak zwycięsko. Powieścią *Ditta, Stworzenie ludzkie* pisarz ten, nie od dziś rozgłosną cieszący się sławą, wysunął się na ezolo autorów duńskich, stanął ramię o ramię z najpierwszymi twórcami literatury europejskiej.

Już w *Dziejach dzieciństwa* rysuje się z wyrazistością przejmującą istota Ditty, jej serce pełne czułości, jej potrzeba kochania, potrzeba oddzielenia innych skarbnymi swej tkliwości. Rozwinie się po tej właśnie linii swojej natury. Mus wewnętrzny rozkaże jej otaczać opieką słabszego, wnikać w braki cudzego życia, pocieszać, pomagać. Nie potrafi słyszeć głosu płaczącego dziecka, aby go nie utulić. „Było to jej znamie boskości“. To też garną się koło niej dzieci, własne i cudze, i ich obecność — jakże różnorodna! — czyni może, iż w powieści, po brzegi wypełnionej najczarniejszą niedolą ludzką, nie jest czarno, że nie milknie w niej nigdy prawie śpiew skowronkowy nadziei. W srogich kolejach krótkiego życia Ditty rys wspomniany stanie się niejako jej losem. Ten rys i ręce jej — szorstkie, twarde, lecz zawsze pomocne, wyrażające przez trud, przez pracę ofiarną, najgłębszą treść jej duszy, sprawiły, że tak gorąco pokochał ją Nexö.

W dwudziestym piątym roku życia jest już zupełnie wyczerpana. Umiera z wyczerpania, w chwili, gdy odbywa się demonstracyjny pogrzeb jej dziecka przybranego, ukochanego Piotrusia. W czasie choroby i przymusowej bezczynności, ręce jej wygładziły się, wydelikatniały.

— Czy przypominasz sobie [mówi do człowieka, który ją kocha], że skarżyłam się, iż niepodobna utrzymać rąk w porządku, gdy spełnia się niemi tyle grubej roboty? Ucałowałeś je wtedy i rzekłeś, abym się rąk swych nie wstydziła, gdyż one są glejtem moim w niebie i ua ziemi. Nie rozumiałem cię wtedy, byłam tylko zawstydzona; lecz teraz rozumiem. Dziś zaś w nocy śniłam, że i Pan Bóg ucałował ręce moje. Czy to nie dziwne? Stał w raju, tam, gdzie przychodzą wszyscy, którzy są umęczeni, aby wypocząć; lecz tamci nie chcieli mnie wpuścić. Młoda jest, mówili, śmiało może jeszcze popracować trochę. Lecz Pan Bóg ujął ręce moje, przyjrzał się im, i wyrzekł: „Dość się natrudziła. Moje ręce nie były bardziej spracowane, gdy ukończyłem dzieło Stworzenia“. A potem ucałował ręce moje; ja zaś zawstydziałam się strasznie, bo nie były przecież ładne. Ale właśnie dlatego ucałował je...

Ręce i serce Ditty... Powierzył im Nexö własną swą miłość dla życia i człowieka, oparł na nich najdroższe nadzieje. Nie wierzy już, aby „mędrca szkielek i oko“ zmienilo postać świata, nawet wtedy, gdyby bój z porządkiem ustalonym okazał się zwycięski. Na gasnące serce Ditty rzuca snop światła mistycznych, wysyła je w przestworza, by przed trybunałem dusz wyzwolonych stało się orędownikiem maciuczkich, by za jego i ich przyczyną zakwitła w całym przepychu łąka życia nędzarza. By rozżarzyła się jego dusza, albowiem „raz rozżarzona nie gaśnie nigdy“.

Lecz jakgdyby czuł, że w świecie „szkiełka“ misja Ditty i cały ten mit serca spotka się z uśmiechem sceptycznym, mówi: „J e s t e ś m y szaleni. Dlatego przyszłość jest nasza“. I mówi jeszcze z uśmiechem: „Bornholmcy wszyscy mają jakiegoś fiola“...

On sam wierzy. W imię wiary tej walczy. Lecz jeśli mużę jęgo jest Nike, w jej zaróżowionych od zorzy skrzydłach szeleści mu najuroczniej Serca zwycięstwo.

MARJA ZABOJECKA

## POLE MARSOWE I NOWY BELWEDER.

Jedyna od czasów średniowiecza aż po wiek XX stylowo rozplanowana dzielnica Warszawy jest dziełem epoki Stanisława Augusta: to dzielnica między placem Trzech Krzyży a Mokotowem. Zaprojektowana w duchu klasycznym, ma układ przejrzysty i regularny; lubuje się szczególnie w placach okrągłych z gwiazdisto rozchodzącymi się ulicami (plac Mokotowski; plac Zbawiciela; plac na zbiegu al. Ujazdowskiej z al. Szucha, ul. Nowowiejską i Koszykową; plac projektowany na skrzyżowaniu ulic Mokotowskiej i Koszykowej; plac w dolnej części Agrykoli; place okrągłe w Łazienkach). niesforne zabudowanie Warszawy w XIX w. zatarło wiele pomysłów w subtelnym rozplanowaniu tej dzielnicy, a wiele niepowrotnie zniszczyło. I wyraźniej, niż dzisiejsza rzeczywistość, mówią o niej stare plany Warszawy, zwłaszcza te, które pod koniec panowania Stanisława Augusta zdejmowali kadeci pod kierunkiem Józefa Łęskiego.

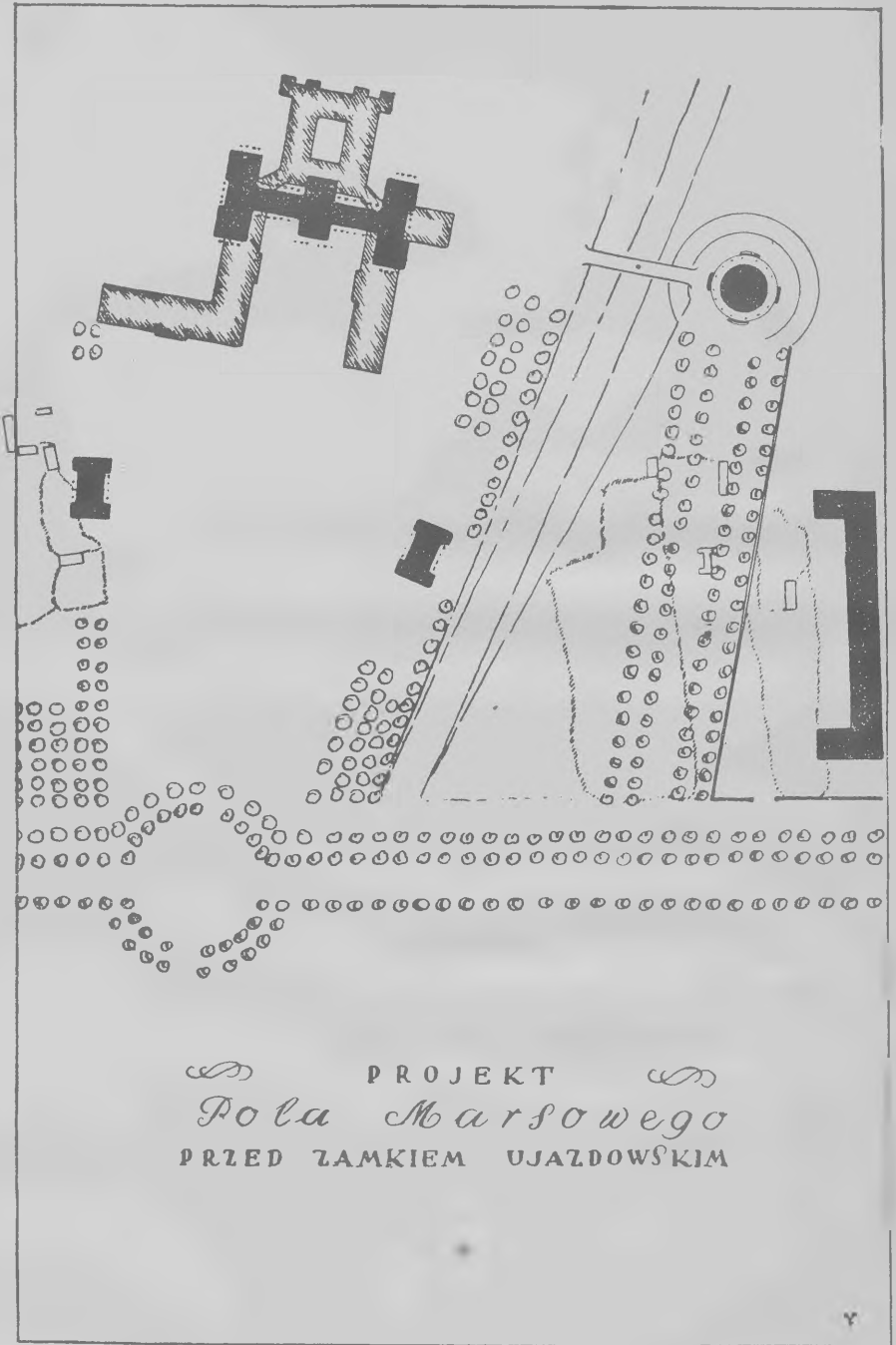
Poza ogólnym planem dzielnicy, według którego przeprowadzono ulice, Stanisław August i jego planiści projektowali tu jeszcze szereg ważnych uzupełnień i ulepszeń. Przedewszystkiem, zamierzone były — ale już nie przeprowadzone — dwie zmiany, dotyczące głównej arterji: Alei Ujazdowskiej. Opodal Alei miało, mianowicie, powstać Pole Marsowe i miał stanąć nowy Belweder.

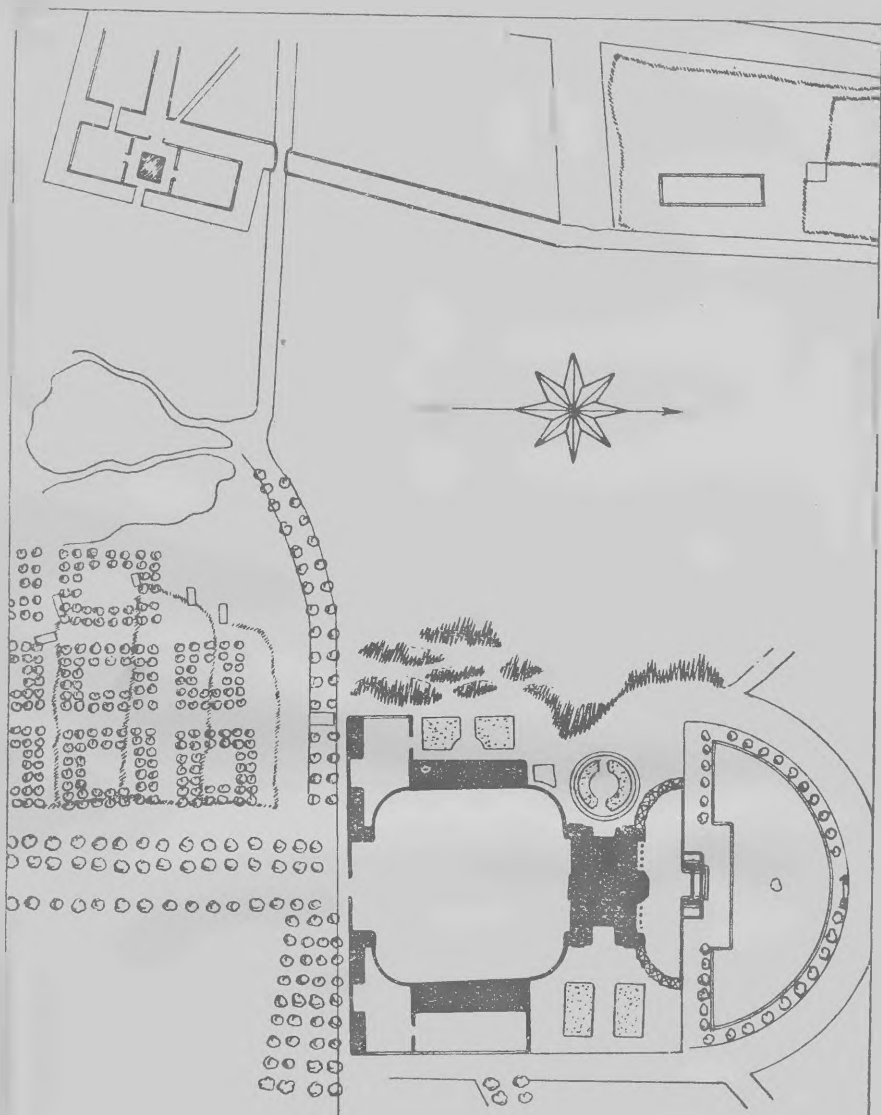
O zamierzeniach tych wiemy dzięki projektowi, który od czasów stanisławowskich przechował się w papierach po architekcie Mintrze, a obecnie należy do zbiorów p. Dominika Witke-Jeżewskiego. Projekt ten, pochodzący z r. 1781,<sup>1</sup> nosi napis ręką królewską: *Plan général du Champ de Mars et des plantations depuis la barrière d'Ujazdow jusqu'à celle de Belveder, y compris le projet du nouveau Belveder*<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Projekt nie jest datowany, ale datę można ustalić przez porównanie z projektami przebudowy Belwederu, znajdującymi się w Gabinecie Rycin Stanisława Augusta, teka 187.

<sup>2</sup> Projekt ten, obejmujący Aleje Ujazdowskie w całej ich długości i to w dużej skali, nie nadaje się do reprodukcji; podajemy tu natomiast dwie jego najważniejsze części w zmniejszonym przerysie, wykonanym przez p. Witolda Wyszynskiego, asystenta Politechniki Warszawskiej.

Dla wyjaśnienia rycin należy zaznaczyć, że ciemną płaszczyzną oznaczone są budowle projektowane, a niewykonane: nowy budynek,





PROJEKT  
NOWEGO BELWEDERU

Pole Marsowe, wielki plac dla rewij wojskowych, miało być umieszczone przed Zamkiem Ujazdowskim. Miejsce było wybrane jak najświetniej: placu nie trzeba było formować, bo uformował się sam przez się, między Aleją Ujazdowską a Zamkiem, który stanowił jedną stronę placu i zasadnicze dlań oparcie. Architekci Stanisława Augusta zamierzali jednak zastąpić stary Zamek przez nową budowlę; zapewne odstraszały ich szczególnie jego nieregularne skrzydła (później doprowadzone do symetrii, a w XIX w. całkowicie rozebrane). Projektowano na miejsce Zamku nowy gmach ściśle regularny, klasyczny w stylu, ubrany dokoła kolumnami. Aby dać placowi ograniczenie i oparcie z boków, projektowano dwa symetryczne pawilony, dostosowane w stylu do nowego budynku głównego. Pawilony miały stać pod kątem rozwartym do tego budynku: pole nie miało być prostokątne. Liczono się bowiem z układem terenu, którego naturalną granicą jest wąwóz Agrykoli, odchodzący pod kątem od Alei Ujazdowskiej; trzeba przyznać, że teren, raczej niewdzięczny, chciało wyzyskać w sposób pomysłowy i efektowny.

Pole Marsowe miało, według projektu, być połączone z Kościołem Ujazdowskim, który obmyślano już od wczesnych lat panowania Stanisława Augusta, zanim w r. 1792 postanowiono go nazwać Kościołem Opatrzności i nadać mu znaczenie pamiątki Konstytucji. Kościół ten widoczny jest na projekcie jako okrągła, obwiedziona kolumnadą świątynia. Gdy dziś ogląda się ruiny fundamentów kościoła, ukryte w głębi Ogrodu Botanicznego, nie łatwo jest pojąć, gdzie i jaki miał być doń dostęp. Otóż z naszego projektu widać, że dostępy miały być aż dwa: jeden, przez poezworną aleję, od Alei Ujazdowskiej, drugi — od Pola Marsowego przez most rzucony nad Agrykolą<sup>3</sup>.

Nowy Belweder miał wprowadzić bardziej doniosłą zmianę w wyglądzie dzielnicy: miał zamknąć Aleję Ujazdowską. Stary pałac Belwederski stał w tem samym miejscu, gdzie dziś stoi rezydencja Prezydenta Rzeczypospolitej; był to właściwie nie pałac, lecz dwór, stary i zrujnowany. Od 1776 r. król myślał o tem, aby go odnowić i przero-

---

który miał zająć miejsce Zamku Ujazdowskiego (mury zamku, oznaczone są jaśniej), pawilony po bokach Pola Marsowego, okrągły Kościół Ujazdowski (w obecnym Ogrodzie Botanicznym), podłużny budynek cieplarni z bocznymi ryzalitami, wreszcie, na drugiej rycinie, kompleks gmachów, który miał zwać się Nowym Belwederem. W górnej części drugiej ryciny widoczna jest część Parku Łazienkowskiego, a mianowicie Biały Domek i otaczające go wówczas a dziś zasypane kanały.

Aleje, sadzone za Stanisława Augusta i zaznaczone na rycinach, przeważnie zachowały się. Aleja Ujazdowska widoczna jest jako potrójna linja drzew, przebiegająca poziomo obie rycinie. Niema dziś natomiast poczwórnej alei, łączącej Aleję Ujazdowską z Kościołem Ujazdowskim: w tem miejscu znajduje się obecnie Ogród Botaniczny.

<sup>3</sup> O moście tym podałem wiadomość w Nrze 25 *Przeglądu Warszawskiego*.

bić; architekt królewski, Kamsetzer, przygotował szereg pomysłów projektów przebudowy. Ale ostatecznie architekci orzekli, że budynck nie nadaje się już do przebudowywania, i w r. 1781 powstała myśl zburzenia starego Belwederu i wzniesienia nowego. Ten nowy miano wznieść już na innem miejscu, opodal starego; chciano mianowicie wystawić go tak, aby zakończyć nim Aleję Ujazdowską. Projekt Belwederu poczęty był w wielkim stylu. Pałac główny, stojący właśnie w perspektywie Alei, obszerny, nakryty pośrodku kopułą, z czterema alkierzami po rogach, z portykiem od strony miasta i otwartą loggią od ogrodu, miał być połączony kolumnadą ze stojącymi symetrycznie oficynami i kordegardami. Wniosłe położenie, któremu i dzisiejszy Belweder zawdzięcza znaczną część swej urody, miało być uregulowane przez nasypy, a nieporównanie świetnicj wyzyskane: pałac miał stanąć nad samym brzegiem urwiska, które otaczałoby go wachlarzem z trzech stron, zostawiając dojazd tylko od strony miasta.

Projekty powyższe nie były urzeczywistnione: Pole Marsowe nie zostało utworzone, Nowy Belweder nie został wybudowany. Na miejscu, gdzie Stanisław August chciał mieć Pole Marsowe, Rosjanie wzniesli w XIX w. cerkiew prawosławną; idea króla poszła w zapomnienie. Stary Belweder został zburzony za Królestwa Kongresowcego, a na jego miejscu architekt Kubicki wznosił pałac obecny, ale wznosił go na miejscu starego, nie licząc się ze stanisławowskim projektem przeniesienia go na wylot Alei.

Ale dziś projekty Stanisława Augusta zdają się znów stawać aktualne. Cerkiew jest rozebrana, i plac przed Zamkiem Ujazdowskim jest znów wolny. A projekty regulacji Warszawy zamykają Aleję Ujazdowską gmachem monumentalnym tam, gdzie król chciał mieć swój nowy Belweder. Przy dalszem kształtowaniu tej dzielnicy słuszną będzie niewątpliwie rzeczą słuchać głosu ludzi, którzy tę dzielnicę stworzyli. I specjalnie w sprawie przeniesienia Belwederu myśl ich byłaby godna zapamiętania: w mieście, w którym ani jedna perspektywa nie jest architektonicznie zakończona, w którym, jeśli gmach jaki stoi na wylocie ulicy, to napewno nie stoi w osi tej ulicy, w mieście tem dobrze byłoby mieć dla jednej przynajmniej arterji architektoniczne zamknięcie.

Wszclako należy brać wzór z epoki stanisławowskiej tam, gdzie tworzyła, a nie tam, gdzie chciała burzyć. Można nauczyć się od niej kształtu Pola Marsowego i pomysłu pawilonów symetrycznych na bokach Pola, ale nie trzeba za ich przykładem myśleć o burzeniu starożytnego Zamku Ujazdowskiego. Pomysły, dotyczące Belwederu, należy przyjmować ostrożnie jeszcze i dlatego, że obecnie stan rzeczy nie

jest tu już ten sam, co za Stanisława Augusta: wtedy Alcja Ujazdowska była daleką zamiejską drogą, dziś zaś jest przejściem do dzielnicy gęsto zaludnionej i będącej zapewne dzielnicą przyszłości. Co więcej: Belweder, który wypadłoby jeśli nie zwalić, to w każdym razie zasadniczo przerobić dla zamknięcia w tem miejscu Alei, to nie stara rudera, która stała tu za Stanisława Augusta, lecz pałac nie pozbawiony zalet architektonicznych, a bogaty w historyczne wspomnienia. Kto zajmował się dziejami Warszawy, ten wie, że ilekroć miał stanąć gmach nowy, tylekroć musiał być zwalony jakiś gmach stary, aby nowy stał na jego miejscu; wolnych placów było zawsze podostatkiem, ale na nich nikt nie chciał budować. Z tą tradycją warszawską należy zerwać. Cieszy każdego myśl o rozbudowaniu dzielnicy Łazienkowskiej; ale i w tej dzielnicy wiele jest jeszcze wolnej przestrzeni, i niema racji, aby nowe budowle projektować na miejscu i kosztem istniejących zabytków, kosztem Zamku Ujazdowskiego lub Belwederu.

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

## ARTYKUŁY EPIKURA.

I. Szczęsna i niezniszczalna istota nie ma żadnych trosk i żadnymi troskami nie obarcza innej. Nie zna też żadnych gniewów ni żadnej wdzięczności. Zaprawdę, wszystko to lęgnie się z niemocy.

II. Nic nas nie obchodzi śmierć! Oto nie ma czucia, co zostało rozprószone, a co nie ma czucia, nie ma z nami nic wspólnego!

III. Kresem, po który sięga przyjemność, jest wyparcie wszelkiego bólu. A gdzie jest przyjemność, tam, jak długo ona jest, niema ni bólu ni smutku ni obu ich razem.

IV. Ból nie wczasuje w ciele ustawicznie, lecz jeśli jest bardzo wielki, to dręczy bardzo krótko, a jeśli jeno przemaga radość cielesną, to trwa przez dni niewiele; przewlekłe znowu niedomagania mają zawsze więcej radości cielesnej, niż bólu.

V. Nie można żyć przyjemnie, nie żyjąc rozumnie, zacnie i sprawiedliwie, ani też żyć rozumnie zacnie i sprawiedliwie, nie żyjąc przyjemnie. A komu brak jednej z tych rzeczy, naprzykład życia rozumnie, to choćby żył zacnie i sprawiedliwie, nie może żyć przyjemnie.

VI. Względ na bezpieczeństwo od ludzi uczynił naturalnem dobrem to wszystko, dzięki czemu można je sobie zapewnić.

VII. Niektórzy zapragnęli sławy i podziwu w nadziei, że w ten sposób ubezpieczą się od ludzi. Jeżeli tedy ich żywot jest bezpieczny, to zdobyli dobro naturalne. Jeżeli nim nie jest, to nie mają tego, czego zrazu zapragnęli, idąc za głosem natury.

VIII. Żadna przyjemność nie jest złem, jako taka. Wszelako środki, jakimi się zdobywa niektóre przyjemności, sprowadzają wielokrotnie od nich większe strapienia.

IX. Gdyby każdą przyjemność doprowadzić do stanu najwyższego nasilenia, gdyby każda przyjemność trwała w tym stanie i ogniskowała się około całego ustroju, lub głównych części natury, to poszczególne przyjemności nie różniłyby się pomiędzy sobą.

X. Gdyby przyjemności w guście rozpustników uwalniały od strachów umysłu przed zjawiskami na niebie, śmiercią i cierpieniami, a przytem uczyły kresu żądz, to nie mielibyśmy im nic do przygany,

jako pełnym po brzegi przyjemności i nie mającym nigdzie ni bólu, ni smutku, co właśnie jest złem.

XI. Gdyby nam nie dolegał brak pewności wobec zjawisk na niebie i wobec śmierci, zali też nas ona istotnie nie dosięga, a przytem brak tego uświadomienia, że bóle i żądze mają swoje granice, tobyśmy nie potrzebowali fizjologii.

XII. Nie można było wyzbyć się strachu i to w sprawach największej wagi, nie znając natury wszechcałości, lecz rojąc coś wedle guślarskich wymysłów. Nie można więc było zażywać niezamąconej uciechy bez fizjologii.

XIII. Na nic było zapewniać sobie bezpieczeństwo od ludzi, wobec braku pewności w tych rzeczach, które są nad ziemią, pod ziemią i poprostu w bezkresach.

XIV. Po względnem zabezpieczeniu się od ludzi przy pomocy jakiejś siły, zdobywa się, żyjąc spokojnie i schodząc z drogi tłumowi, zupełne bezpieczeństwo i błogi spokój.

XV. Rzeczywiste bogactwo ma granice i jest łatwe do zdobycia: urojone przepada w bezkresach.

XVI. Przypadek gra bardzo małą rolę w życiu mędrca. O największych i najważniejszych sprawach stanowi w niem zawsze rozum.

XVII. Sprawiedliwy żywot wolen jest od wszelkich burz, niesprawiedliwy kłębi się w jednym strasznym zaburzeniu.

XVIII. Przyjemność cielesna, skoro raz zostanie usunięty ból z powodu braku, nie wzrasta, lecz się jedynie urozmaica. Kres umysłowej przyjemności stanowi znowu wymiarkowanie tych właśnie rzeczy, tudzież im pokrewnych, a mianowicie tych wszystkich, które największą grozą napawały umysł.

XIX. Czas nieskończony ma taką samą przyjemność, co skończony, o ile się wymierza jej kresy rozumem.

XX. Ciału dostały się nieokreślone kresy przyjemności i zadowolilby je tylko czas nieskończony. Umysł jednak, pojawiwszy cel i kres ciała, oraz rozprószywszy obawy, odnośnie do wiekuistego bytu, uczynił żywot doskonałym i już nic potrzebował zgoła nieskończonego czasu. Zaprawdę, przyjemności się nie wyrzeka, a kiedy bieg wypadków sprowadza koniec, nie kończy, jakby pozostawiając jakąś resztkę najlepszego żywota.

XXI. Wie ten, co uświadomił sobie kresy żywota, że łatwo zdobyć to, co usuwa ból z powodu braku i co czyni całe życie promiennem. Więc się nie kusi o nic takiego, co się piętrzy mżożkami.

XXII. Trzeba pamiętać o ostatecznym celu i o wszelkiej jawności,

na której gruntujemy nasze wyobrażenia. W przeciwnym razie wszystko się zaćmi i zmieni.

XXIII. Zadając kłam wszystkim wrażeniom zmysłowym, nie będziesz miał na czym oprzeć wyroku i o tych nawet wrażeniach, które nazwiesz kłamliwymi.

XXIV. Jeżeli lekkomyślnie odrzucisz jakiegokolwiek wrażenie i nie oddzielisz mniemania, które czeka przytwierdzenia, od tego, co już jest we wrażeniu, w uczuciach i poproście w całej umysłowej treści doraźnego wyobrażenia, to swoim obłudnym mniemaniem przyprowadzisz o zamęt także pozostałą resztę wrażeń zmysłowych, tak, że odrzucisz całe wogóle kryterjum. Jeżeli zaś utrwalisz w pamięciowych wyobrażeniach zarówno to, co czeka przytwierdzenia, jak to, co go nie czeka, to nie zabezpieczysz się przed kłamstwem, tak, że zachowasz wszystko, co podkopuje i co waruje wiarę w rzetelność lub niezręczność.

XXV. Jeżeli, zamierzając cokolwiek uczynić, nie uświadomisz sobie w każdym poszczególnym wypadku ostatecznego celu natury, lecz mu się sprzeniewierzysz i swą ucieczkę, względnie pościg, uzależnisz od czegoś innego, to twoje czyny nie będą w zgodzie z twojemi słowami.

XXVI. Pragnienia, nie sprowadzające bólu, jeżeli nie zostaną zaspokojone, nie są koniecznymi pragnieniami, lecz dają się łatwo rozwiązać, skoro napotkają na trudności, lub skoro się wyda, że są szkodliwe.

XXVII. Ze wszystkich rzeczy, które mądrość gromadzi na szczęście całego żywota, najcenniejszym nabytkiem jest niewątpliwie przyjaźń.

XXVIII. Ten sam błysk świadomości napęłnił otuchą, że żadne zło nie jest wieczne, a nawet długoczesne, oraz odkrył, że i przed tem doczesnem złem najlepiej ubezpieczają związki przyjaźni.

XXIX. Jedne pragnienia są naturalnymi i koniecznymi, drugie naturalnymi, ale nie koniecznymi, a inne wreszcie ani naturalnymi ani koniecznymi, jeno urojonymi pragnieniami.

XXX. O ile w pragnieniach naturalnych, ale nie sprowadzających bólu w razie niezaspokojenia, ogniskuje się cała energia, to polegają one na urojeniu i nie dają się rozwiązać nie z powodu swojej natury, lecz tylko z powodu głupoty człowieka.

XXXI. Istotę prawa naturalnego stanowi korzyść, płynąca z układem, aby nie krzywdzić i nie być krzywdzonym.

XXXII. Nic nie było prawem ani nicprawem dla tych wszystkich stworzeń, które nie potrafiły ułożyć się pomiędzy sobą, by innych

nie krzywdzić i nie być krzywdzonymi, a tak samo u tych wszystkich ludów, które nie mogły, albo nie chciały ułożyć się pomiędzy sobą, by nie krzywdzić i nie być krzywdzonymi.

XXXIII. Sprawiedliwość nie istniała nigdy sama przez się, lecz polegała zawsze na pewnym układzie, aby krzywd nie zadawać i nie ponosić, który się wyłaniał ze stosunków gromadzkiego obcowania w danej miejscowości.

XXXIV. Zbrodnia nie jest złem sama przez się, lecz z powodu strachu, który rodzi niepewność, zali się też ona ukryje przed ustanowionymi mścicielami rzeczy takowych.

XXXV. Ten, co pokryjому narusza w czemkolwiek wspólne przymierze, by nie krzywdzić i nie być krzywdzonym, nie może być pewny, że się ukryje, choćby się ukrył i tysiąc razy narazie, albowiem aż do ostatniej chwili pozostaje wątpliwem, czy się istotnie ukryje.

XXXVI. W ogólnem znaczeniu było prawo tą samą rzeczą dla wszystkich, a mianowicie było czemś ogólnie pożytecznem w stosunkach wzajemnych. Swoistość jednak kraju, tudzież najrozmaitsze inne jeszcze względy sprawiły, że nie ta sama rzecz jest prawem u wszystkich.

XXXVII. To, co sobie świadczy swoją użytecznością dla potrzeb społeczeństwa, posiada piętno prawa bez względu na to, czy będzie tem samem u wszystkich, czy nie tem samem. Jeżeli natomiast ktoś ustanowi prawo, a ono nie wychodzi na korzyść społeczeństwu, to nie ma ono natury prawa. I choćby jakieś prawo przestało być pożytecznem, przez czas jednak jakiś odpowiadało swemu wyobrażeniu typowemu, to niemniej było ono przez ten czas prawem w oczach tych przynajmniej, którzy się nie duszą czczemi słowami, lecz patrzą na rzeczy.

XXXVIII. Tam, gdzie stosunki nie uległy żadnej zasadniczej zmianie, a ustanowione prawa okazały się na mocy doświadczenia nie odpowiadającemi swojemu wyobrażeniu typowemu, prawami one nigdy nie były. Tam zaś, gdzie nastąpiły nowe stosunki i gdzie dawne prawa przestały nieść pożytek, były one prawami, jak długo wychodziły na korzyść wzajemnemu obcowaniu obywateli. Później dopiero, kiedy przestały wychodzić na korzyść, przestały być prawami.

XXXIX. Kto z nieufności zewnętrznej zdał sobie sprawę najlepiej, ten to, co się dało, uczynił sobie powolnem, a co się nie dało, przynajmniej nie wrogiem. Z czem zaś nie mógł ni tego dokazać, do tego przestał się mieszać i wytężył wszystkie siły, by się stać jak najużyteczniejszym.

XL. Wszyscy ci, co potrafili zapewnić sobie ufny spokój przede wszystkim od najbliższych, żyli dzięki tej pewności w najserdeczniejszych stosunkach wzajemnych, a zebrawszy plon najszczerzej życzliwości, nie biadali, jakby dla wzbudzenia żalu, nad przedwczesnym zgonem zmarłego.

Przełożył

ADAM KROKIEWICZ

---

Tłumaczenia dokonałem na podstawie tekstu Usenera (H. Usener: *Epieurea*, Lipsiae 1887, p. 71 sqq). Ten tekst zmieniłem w Art. XXIV (czytam τετηρηκώς, codd.; Usener czyta ἀνηρηκώς), w Art. XXIX (por. Usener: *Wiener Stud.* X (1888), p. 179) i w Art. XXXIX (czytam ἐξηρέσατο, codd.; Usener czyta ἐξηρέσατο).

## PORTRETY PRZYJACIÓŁ.

*Domowe bogi moje, druhów wizerunki!  
Nocy mych pracowitych milczący świadkowie!  
Czar słodki, jak przyjaźni czyste pocatunki,  
Żyje zaklęty w waszej tajemniczej mowie.*

*Smutny byłem i żalu pełen i niechęci,  
Jak człowiek, co przed czasem ciszy śmierci wzywa,  
Wzrokiem powiodłem po was — i z gruzów pamięci  
Wstała przeszłość cudowna, młodzieńcza i żywa.*

*O wargi wiecznokwitłe, karmione milczeniem!  
Bezsenne oczy, jeszcze boskim tchnące szalem!  
Ty, którego już zastał nieśmiertelnym cieniem,  
Arcymistrzu! wy inni, których zgon plakałem!*

*Wy, których głos szlachetny ścichł w wojennej wrzawie  
A których jeszcze dzisiaj przestrzeń mi zazdrości,  
Manolo mój serdeczny! krwi moja, Zdzisławie!  
Dalekie światła widne w mgle pospolitości:*

*Oto na głuchych polach mej śnieżnej ojczyzny,  
W obliczu gór, znów namiot rozbiłem samotny,  
I otrząsnąwszy z pyłu drogie podobizny,  
Odnalazłem w mem sercu wasz uśmiech stokrotny*

*I już jutro, z nieznanym losem pogodzony,  
W każdej myśli wysokiej, w każdym strun napięciu  
Wami świadczyć się będę, śpiewem uniesiony,  
Żem nie przestał być godny łaski siostr dziewięciu!*

TAN MIECZYŚLAWSKI

## Z POETÓW FRANCUSKICH.

### FRAGMENT Z „NARCYZA“.

O! jak błyszczysz gonitwy mej przejrzysty kresie!  
Dziś wieczór, — jak jelenia bieg ku źródłu w lesie  
nie ustaje, aż padnie wreszcie między trzciny —  
żądza mię powaliła na brzegu głębiny.  
Lecz ażeby ugasić miłości ciekawość,  
boję się zmącić toni tajemniczą łzawość.  
Nimfy, jeśli kochacie mię, to śpijcie długo!  
Najmniejszy ruch w powietrzu dreszczu biegnie smugą  
nawet, gdy dla słabości z cieniów wytracony,  
liść nieprzytomny muśnie strumienia zasłony,  
wraz zbudzi, odczaruje cały świat z uśpienia.  
Sen wasz jest koniecznością mego zachwycenia,  
co lęka się dla toni dreszczu piórka, a wy  
zachowajcie mi długo tę postać dla zjawy,  
jaką jedynie boski bezruch począć zdola.  
Śnie nimf! o niebo martwe i wszystko dokola!  
śnijcie, o śnijcie o mnie! bez was, piękne źródło,  
nieznane mi piękności i cierpienia moje.  
I co mam najdroższego, szukałbym daremnie,  
zmacona płynność ciała dziwiłaby we mnie  
i moje smutne oczy, nie znając mej chwały,  
dla innych a nie dla mnie tżyby wylewały.

A możecie czekały, wy beztwarzy twarzy?  
Wy ciche, którym zawsze liść lub kwiat się marzy;  
wyżyn niepokalanych oddane widokom,  
o nimfy! lecz posłuszne zachwyconym stokom,  
które nie znają ku wam dróg trudnych pośpiechu,  
ścierpcie piękne odbicie człowieczego grzechu.  
O szczęsne ciała płynne, wód głębin kryształe!

*sam jestem, jeśli bogi, westchnienia i fale,  
 o ile Echa nimfy pozwalają obie,  
 sam, lecz jam jest, który zbliżam się ku sobi  
 idąc na brzeg, gdzie liści chyli się całunek*

*Wiatry przezczystych szczytów skończyły rabunek,  
 źródłu głos o wieczorze mówi mi z kolei,  
 wielka cisza mię słucha, ja słucham nadzici.  
 Słucham, jak ziele nocy w świętym cieniu rośnie  
 zdradny miesiąc zwierciadło odbija ukośnie,  
 aż do tajni najgłębszej wygasłego źródłu,  
 do tajni, której nie chcę poznać niepokoju,  
 aż do tajników własnej istoty miłości,  
 nic nie ujdzie wieczoru przedziwnej cichości.  
 Noc idzie, że ją kocham, szepnąć mojej zjawie,  
 jej głos świeży życzeniom mym sprzyja łaskawie  
 i nawet lekkim wiatrom już nie kłamie prawie.  
 Tak drżenie tajemnicze tej ciemnej świątyni  
 z ciszą wielką ustroni tajną znowę czyni.*

*O jakże słodko przeżyć jest dnia siłę złotą,  
 gdy odchodzi miłości rumiana ochotą,  
 jeszcze nieco płonąca, omdlała, bogata  
 skarbów naręczem, który ją przygniata  
 wspomnieniami, od jakich śmierć jej się rumieni.  
 Dla nich to ona w szczęściu kłęka wśród płomieni,  
 pochyła się, topnieje, płony swe rozsiewa,  
 gaśnie w śnie, w który zwołna wieczór się rozlewa.*

*Jaką ztratę w sobie daje ustron błoga!  
 duch aż do znicestwienia chyli się dla boga,  
 pyta fał pustki za nim, wzywa fał orędzia,  
 o połysku tak gładkim jako ślizg lądźdia.  
 W tej fałi nigdy żadnej nie pojono trzody.  
 Inni zbłąkani cieńby znaleźli ochłody  
 i w czarnej ziemi tutaj jasny grób otwarty.  
 Niestety! jam pokoju tego snąć nie warty,  
 więc drżący Narcyz jeno udrękę znachodzi.*

*Odpychając noc wicczną w lasy, skąd się rodzi,  
 wszystko woła, przykuwa do białości ciała,  
 którą zawrotna cisza wód wyczarowała.*

Złorzeczę tobie, blasku czysty i ponury,  
 zdroju, który otoczony jest miękko przeze mnie,  
 gdzie oczom podawały śmiertelne lazury  
 oczu duszy zdziwionej ich te same ciemnie.

Głębio! o głębio cicha! sny, które patrzycie  
 we mnie, jakgdyby w inne życie,  
 mówcie, czy o mnie wasza zawrotność dumala?  
 waszego pragniecie li ciała?  
 Rzućcie, o ciemne duchy! trud trwożnej tęsknicy,  
 co rodzi się z ducha czujności,  
 nie przenikajcie duszy lub nieb tajemnicy,  
 przekleństwa swej doskonałości.

Spojrzenie, a ciała piękno znajdziecie w krynicy...

PAUL VALÉRY.

### WINNA LATOROŚL.

Ausim vel tenui vitem committere sulc  
 Georg. II. 289.

Latorośl, która wiąży snów naszych oplata,  
 Luba, zawsze mieć będzie młode soki lata,  
 Choć nie zanurza ramion w glebę jak osika,  
 Co krętymi drogami w głąb ziemi przenika,  
 Nie idzie w dół, lecz słodko na wiązach się wiesza

Latorośl, co czaruje, która nas pociesza  
 W snach, przez jakie dwie lekkie dusze nasze płyną,  
 Stóp swych węzlistych lepką nie okrywa gлина,  
 Lecz bierze wód ożywczych i soczystych soki  
 Z przestrzeni, w której grają światła i obłoki,  
 Gdzie z kielichów leciuchne ulatują wonie.  
 Ogień naszej radości zalewa ją, płonie,  
 Ku łaknącym korzeniom łatwo, wolno płynie.  
 Powietrze syte wonią (barwią je glicynje)  
 Zatapia widnokregi serc naszych, w kamienie

*Gleby wsiąka, całuje węźliste korzenie,  
Latorośl, co na naszej wieszce się pogodzie.*

*Przyjdź, wgrzyź się w grono, gdzie wre słońce i twarz w wodzie  
Tej odbij, gdzie się stada przeglądają z rana:  
Patrz! na wargach twych splotywa nasza krew zmieszana.*

Tłum. ANNA LUDWIKA CZERNY.

RÉNÉ SALOMÉ.

## DUMA.

Długie już chwile lampa wysoka i milcząca kładzie bursztynowy krąg światła na stół zasłany papierami, z którego dywan jasny zwiesza się ku najniższym półkom z brunatnego drzewa dębowego, idącym wzdłuż ścian, gdzie ciągną się w kapryśnym szeregu książki o smukłych grzbietach, szarych, niebieskich i żółtych. Połyskują w rodzącym się wiecznie cieniu oprawne w szkło akwarele i nagie linje szkiców gwałtownych. Błądzące oczy odgadują w szczelinie mroku, na której spoczną przez chwilę, nieruchomą płamę sztychu na jasnym tle papieru. I wszędzie naokół, nawet na brzegu kominka, na dnie głębokich foteli, na półeczkach rozproszonych po kątach, wszędzie pyszną się albumy i zeszyty w zamkniętej chwale kształtów szerokich.

Człowiek tu jest. Dziesięć lat przygód, snów groteskowych i marzeń naiwnych po nocnych wędrówkach ulicznych, wyzwoleń przeradosnych i zaciekłych wysiłków kwitnie tu, w tem zamkniętem muzeum książek, sztychów, cacek i papierów. Przez lat dziesięć marzył, drżał, cierpiał i szedł ciągle naprzód z płonąca skronią i wyciągniętymi rękami lub pięściami zwartymi, sylwetka heroiczna a czasem nędzna karykatura, wlokąca ze sobą wiecznie ten sam kapelusz przez zbyt wiele deszczów ulewnych.

Ludzie śmiali się wówczas. Oficjalni tchórze i dyplomowane próżniaki, niezdecydowani i praktyczni, paskarze i głupcy, ci, którzy dobrze żyją a źle umierają, ci, którzy nie zechcieli, nie odważyli się lub nie zdołali, sąsiedzi i przyjaciele wygwizdali go śmiejący i oczerzili z całego serca. Cóż sobie roil ten poczciwy młody człowiek równie daleki zapleśniałym cieplarniom, gdzie integralizm koziołki wywraca, jak podstępny kasernom, w których bonzy o zębach spróchniałych uczą tajników wygodnych synekur jutra i nieśmiertelnych błędów każdego dnia? Życia nie można wyśpiewać. Jest to splot zawikłań do rozcięcia, to syfilis do wybielenia. Czegoż chciał on zatem po tylu innych, których piosenki dzieci już tylko bawić mogą w przedziwnej usypiania godzinie pod kojącem światłem księżycy? Czegoż pragnął on jeszcze?...

W liljowym zmroku, gdy wije się i rozkwita znikoma wstążeczka papierosa, marzy on o tem wszystkim i palce jego kładą się z podzięką na cudotwórczy papier, a oczy pieszczą mały skarbiec książek, przytulonych do siebie; a gdy je ostrożnie popod lampą rozłoży, śpiewać w nich poczną i tętnić ballad starych oktawy, i rytmy skazek miłosnych, i dźwięczny odlot pieśni nadziei i żalu.

Ale oto drzwi się rozwarły i zadrgał płomień pod oddechem nocy bliskiej. Cięż jakis wsunął się cicho i zasiadł na fotelu głębokim, gdzie tomy *in quarto* drzemią w oprawach z ziarnistej skóry.

— Nie lękaj się. Znam równie dobrze jak ty czar zbytkownego druku i japonsu podobnego pociętym kryształom. Niczego nie zgniotę — bądź spokojny. Marzyłeś. Przychodzę ci dopomóc. Cicha jest chwila i tytoń twój wonieje. Miły Boże! Ileż to fajek ohydnych wykurzyłem, wędrując wzdłuż hałaśliwych strumyków! Lecz to się już skończyło, dla ciebie przynajmniej. Doszedłeś doń wreszcie, do twego raję. Ale — przypomnij sobie — znałeś inne, biegunowo odmienne, które go jednak były warte. Nie przecz. Byłem w nich wraz z tobą, choć nie przeczuwałeś mnie nawet. I wiem wszystkie dni twoje i wszystkie noce. Jakże często spaliśmy razem gdzieś, w zaułkach lub pod mostami w towarzystwie wszelakiej biedoty, cuchnącej piwnicą i wódką, z żebrakami woniejącymi czosnkiem. Daleko to było, w niskiej dzielnicy południa; galery białe od cementu i naładowane cegłą pełniły straż przed milczącymi domami. Żałośliwy a słodki zakątek świata! Masz tu gdzieś jeszcze zapewne haniebane rękopisy, gniotące się wówczas po twych kieszeniach wraz z tomem wierszy Verlainę'a, któryś pożyczył potem i którego ci do dziś nie zwrócono. Widzisz, że wiem wszystko, wiem wszystko. Upomnij się o niego, bo kiedyś nie jadleś dwa dni, by móc go kupić, a deszcz wielekroć posieklł stronnic *Ingénues*. Tydzień później ucickałeś chylkiem kopnięty w brzuch i zgięty we dwoje z podejrzanęj wódko-dajni, przykucniętej za szpitalem. Byłeś z kolegami w beretach i bójka się poczęła z jakimiś ludźmi w czapkach robotniczych. Piłiśmy zrazu i śmiali się hulaszczco, a potem... a potem to ja cię przecież wiodłem do domu poprzez wrogię ulicę. Ranil cię bruk twardy, a nie dałem ci jęceć głośno. Czy zle to wspomnienia? Być może. Ale ileż dobrych zarazem!...

Rozsłonecznione ulicę, wieczory tryumfalne, poranki błękitne i złote, cale śpiewne bijącemi dzwoniemi, okna otwarte i papierosy leżące bezładnie wśród kwiatów na stole.

A potem, naraz, ruszaliśmy dalej. Czyściło się paznokcie lancem — i w drogę. Twój kij, twój kapelus. Daleko od zbyt ciasnego

pokoju i sal ogrzanych o szybach migotliwych drobną stałą i tawern, pełnych mrowia ludzkiego, gdzie piękne dziewczyny piją słodkie napoje, śmiejąc się biało; wędrowaliśmy, gdzie oczy poniosą, przez długie milczące drogi, na których słońce rozpała pyły drobno tłuczonych krzemieni, i przez kręte ścieżyny, akacjami i leszczyną cieniste, a tak rzeźwe mrokiem błękitnym i gwarnym. A zawsze z piosenką na ustach, z tuzinem ballad w zapasie lub czułym sonetem dla ofiarowania pierwszej spotkanej dziewczynic, co nam jajecznicę niosła na wyszczerbionym talerzu w łada karczmie przydrożnej.

Piękni byliśmy wtedy — nie śmieć się. Richepin tak mówił, a ty mu wierzyłeś przecież. I wierzysz mu jeszcze — nieraz cię bowiem widziałem zamykającego oczy i milczącego długą chwilę; i odkładasz wtedy, poważny naraz i smutny, jego śpiewające baśnie, by serce nie przypominało dni minionych. Kochałem go również i w niejedną noc, gdyś szedł zgięty i znużony śmiertelnie, gotów na wszystko, na te więzy nawet, które udostępniają drogę do dymiących półmisków, otwartego łóżka i ciężkiego pugilaresu, szeptałem ci jego wiersze do ucha, i skuteczniejsze były aniżeli kieliszek Canadian-Club'u, na który nie mogłeś sobie wówczas pozwolić.

Wzdłuż murów złowrogich i zgaszonych wystaw sklepowych tłum hałaśliwy i gwarny powracał z *Manon*, z Pindara i z Pathé-kinematografu. Wesoło szła do domów wszelaka fauna biurowa i sklepowa. Panowie ci podniecali bohaterstwo przywiedłych nieco zmysłów, ściskając zlekka połowice, których ramiona raz jeszcze tryumfowały przed chwilą w olśniewającym blasku zwierciadel magistrackich. Kobiety o zapałach dobrotliwych lub zrezygnowanych na wszystko szły dostroić się na chwilę do chimerycznego wzruszenia owego wieczoru; a młodzieńcy w ostatnich knajpach zapóźniali się przy podniecających likierach.

Ty od dwóch dni nie miałeś papierosa w ustach: spragniony byłeś i głodny miłości. Nagle zawahalo się serce twoje: gdybyś tylko powiedział „tak“, mógłbyś palić i pić i tulić ciało świeże i zasnąć spokojnie, drwiąc sobie ze mgły, mógłbyś upić się do utraty zmysłów rozleniwieniem, sytością i zwilgłemi członkami kobiecemi. „Tak“ — i wszystko stanęłoby otworem: szacunek oszczerców i kolana ich małżonek, stoły hułaków i salony poważanych rodzin. I wtedy krzychałem „nie!“ biorąc cię pod ramię — podnosiłeś nos w górę i warczałeś coś krótko a groźnic. Całe to szczęście, takie łatwo dostępne, topniało w mgnieniu oka i ruszałeś ostro w dalszą drogę, daleko od stada kołtunów, ku cudownym ogrodom, ku rajom twoim, gdzie płomieniły się królewskie kochanki, klęczące, by łachmany twe ca-

lować, i oczekujące niewońniczo pieszczot, którychbyś jednym uśmiechem żądał.

Z cienia chodników, z pomrocznych załomów ulic, z nocy poddaszy, powstawała w tej wędrówce twojej mściwa horda niezadowolonych wróżów i wieszczów przeklętych, których nędza uświęca, a krzyżuje wstręt. Nieśmiertelna chwało włóczęgów!

Miałem słuszność. Ty jesteś dzisiaj zwyciężcą. Słuchaj, patrz, i czytaj: znieważają cię. Pogarda ustąpiła wściekłości. Nie gwizdzą już, lecz obszczekują. Wiedzą oni dobrze, ci wszyscy, że chybili cię że im się wymykasz, że już cię pojmać nie zdołają. Gaśnie nadzieja, byś wrócił kiedy ze zgarbionym grzbietem i zdartymi łokciami żebra, ich moralności i żreć doświadczenie — łakocie pocieszenia. Nie poklepią cię więcej po ramieniu, płacąc przed ironicznym kelnerem twój rachunek. To ich dławi. A straciwszy nadzieję przyklejenia ci swych godeł, wściekają się, że ci żon swoich pożyczyć nie zdołali, by móc cię tytułować: „mój drogi“. Głupcy. Posłuchaj, co teraz mówią: wszyscy cię znali, gościli, żyli z tobą w serdecznej przyjaźni. Wkrótce zjawią się pewnie, dobroduszni, tłuściutcy i płaczkliwi i zadzwonią do drzwi twoich, by przypomnieć się laskawej pamięci i zachwycać nawet podeszwami butów twoich, które już dawnych bagien nie znają.

Nadewszystko nie otwieraj im. Pracuj, śnij i pał papierosy, a jeśli cię to bawi, rozbij któremu z nich od czasu do czasu głowę dobrą książką, ciśniętą przez okno. Lecz jeżeliby kiedyś przyszła ku tobie litość, podla litość lub gnuśne zapomnienie, zawołaj mnie. Przyjdę dzwii twoje oczyścić, tak jak niegdyś oswobadzałem drogi twoje... Do widzenia.

Wim, WITOLD MOGILNICKI

RÉNÉ MARIE HERMANT

# MISCELLANEA

## LATA UNIWERSYTECKIE WYSPIAŃSKIEGO<sup>1</sup>.

### II.

Uchwycenie samego choćby tylko zjawiska życiowego i typu duchowego Wyspiańskiego — poniekąd poza artystą twórcą — jest niezwykle pociągające. Odkrywa się bowiem to, co było dotąd o Wyspiańskim niewiadome albo zaledwie domyślne, to, czego raczej widzieliśmy skutki, czego nieraz zgadywaliśmy przyczyny. Ale nie znaliśmy procesu psychologicznego, tego procesu formacji, w którym rozwijają się i ustalają pierwiastki pojęć, zasad, dzieł późniejszych. Zbyt długo wyobrażaliśmy sobie przeobrażenia duszy Wyspiańskiego ogólnie, raczej na domysł, bez uzasadnienia i objaśnień. — Z tego też powodu tradycyjna charakterystyka Wyspiańskiego zmienia się w miarę coraz to nowych o nim studjów, szczególnie biograficznych, dzięki którym musi on być oceniany jako jeden z artystów już nie tylko najbardziej żywiołowo-twórczych, ale również jako jeden z najbardziej świadomych w ujmowaniu swego natehnienia i w swych dążeniach malarskich i literackich.

Decydujące w wewnętrznym życiu Wyspiańskiego, rozwijające ostatecznie i kształcące jego duszę znaczenie posiada uniwersytet. Jesteśmy w tem szczęśliwym położeniu, że do tych jego lat posiadamy źródła, uczynające nam całego szeregu wiadomości bezpośrednich i zasadniczych dla poznania rozwoju duchowego przyszłego autora *Wyzwolenia*. Czerpiemy je z rodowodów uniwersyteckich (kart wpisowych) Wyspiańskiego, zawierających obok cennych personaljów własnoręcznie sporządzony wykaz wykładów, ćwiczeń i seminarjów, na które uczęszczał<sup>2</sup>. Są to zarazem oficjalne świadectwa jego nauk uniwersyteckich, jedyne zresztą, bo studja przeważszy, świadectwa z ich ukończenia (t. zw. absolutorjum) — nie otrzymał. — Wybór tych wykładów może dać pewne pojęcie o dziedzinach wiedzy i kierunkach, jakie narzucały się myśli Wyspiańskiego. A chociaż ten urzędowy wykaz nie obejmuje zbyt szerokiego kompleksu zagadnień — w tej mierze zwłaszcza uderzający jest brak zupełny jakiegokolwiek wykładu z filozofii ścisłej, — to jednak sięga z pewnością głęboko do pokładów psychiki młodzieńczej wielkiego pisarza. Wraz z danymi, wcześniej już ogłoszonymi, dają te źródła pewną orientację co do tego, jaką sumę wiadomości osiągnął Wyspiański w ciągu kilkoletnich studjów uniwersyteckich.

<sup>1</sup> Ob. *Lata uniwersyteckie Wyspiańskiego. I.* (*Przegląd Warszawski* Nr 27, grudzień 1923).

<sup>2</sup> Rodowody te znajdują się w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego dyrektorowi, p. dr. Adamowi Chmielowi, składam podziękowanie za laskawą pomoc w ich odszukaniu.

Stale, głównym i umiłowanym polem zainteresowań naukowych Wyspiańskiego — o czym już najwcześniejsze mówią wskazówki — była historia sztuki, której poświęcił poważną część swej ciągle rosnącej, ogromnej energii pracy. Zanim jednak przystąpimy do wyliczania jego w tym przedmiocie postępów, musimy się zastanowić nad wylaniającym się dalszym pytaniem: jak Wyspiański z tego zasobu wiedzy i pracy korzystał, jak go przetwarzał, co zeń odrzucał? Musimy ustalić stanowisko Wyspiańskiego, jako teoretyka i historyka sztuki. Na pytanie to usiłował odpowiedzieć p. Wacław Borowy, twierdząc, że Wyspiański „drobnostkowych zainteresowań historyczno-archeologicznych nie posiadał. Interesowało go życie społeczne i osobiste, problemy artystyczne, a z przeszłości to tylko, co się z tem życiem społecznym i z temi problematami bezpośrednio łączyło; rzeczy widziane rozważał w związku z dzisiejszym ich znaczeniem lub z tem, co w danym momencie odczuwał, a nie w związku z ich dziejami”<sup>1</sup>. Twierdzeniu temu przeczą dramaty greckie Wyspiańskiego, przepełnione całą masą — czerpanych zawsze z dobrych i pewnych źródeł — szczegółów, na każdym kroku świadczących, jak wiele nici wiązało twórczość poety z kulturą starożytną; przeczy szereg rozpraw z zakresu historii sztuki, będących zarazem pierwszym objawieniem jego wyjątkowego talentu pisarskiego; a przecież są to zaledwie ułamki tego wszystkiego, co przemyślał i uczynił swoją własnością młodzieniec, obcujący duchowo zarówno z Matejką, jak z Dürerem, ze średniowieczną sztuką krakowską i z największymi artystami Odrodzenia. — Prace drukowane o *Dawnej polichromji kościoła św. Krzyża w Krakowie*, o *Św. Krzyżu*, o *Witrażach dominikańskich* — posiadają wysokie a niedość oceniane znaczenie; złożył w nich Wyspiański dowody, jak głęboko odczuwał wartość zabytków artystycznych, jak znakomicie umiał wnikać w ich ducha, zgłębić i określić jego istotę, zbadać wpływy, jakie nań działały — oświetlając to wszystko swoim twórczym umysłem w sposób nieraz nicoczekiwany, błyskawiczny. Podstawą swej metody uczynił bezpośrednie obcowanie z dziełami sztuki i samoistne zgłębianie ich zagadnień; nie krepował wyobraźni własnej więzami metody ściśle naukowej lub jakkolwiek tradycją; co sobie uświadomił subiektywnie, temu zawsze pozwalał odnosić zwycięstwo. Ale tę jasnowidzącą intuicję łączył z pedantyczną, bezwzględną w swej konsekwencji myślą. Daleko odbiegłszy od metod i podstawy naukowego myślenia, daje jednak dowody pierwszorzędnej nawet kompetencji w zagadnieniach, dotyczących historii sztuki; szczegółową jej znajomość wyniósł z lat uniwersyteckich, gdy pracował pod kierunkiem prof. Marjana Sokolowskiego. W pracach Wyspiańskiego, gdzie tok myśli tego rzeczywiście wymaga, spotykamy się nieraz z faktami, świadczącymi niezbicie, że i zmuszone poszukiwania naukowe nie były mu obce, przeciwnie, że je nawet cenil, o ile tylko rzucały światło na wartości estetyczne, potęgowały lub pomagały uświadamiać sobie wrażenia, jakie z dzieł sztuki odnosimy. Trwale tedy zapisał się Wyspiański w dziejach badań nad historją sztuki w Polsce; wzbogacił ubogą literaturę tego przedmiotu, reprezentując ów typ prac, którego jej najbardziej brak, a który się wylania z zespolenia intuicji i wiedzy. Metoda zaś jego, choć płynąca tylko z subiektywnych potrzeb

<sup>1</sup> Por. W. Borowy: *Łazienki a „Noe Listopadowa“ Wyspiańskiego*, Warszawa 1918, str. 39.

dustry artysty, zgadza się jednak z określeniem zadania historii sztuki, jak je stawia August Schmarsow: „Nie wystarcza — mówi on — nasze zabytki zachować w całości i powstanie ich historycznie objaśnić; musimy je przetworzyć niejako na nowo, aby je naprawdę posiadać. Spełniamy tylko święty obowiązek względem naszych bliźnich, jeśli zabytkom sztuki nadajemy najbardziej osobisty wyraz, lub gdy w nich szukamy jedynie oddźwięku nas samych, na który znajdujemy tam zawsze pełną odpowiedź“<sup>1</sup>. — A o to przecież głównie Wyspiańskiemu chodziło!

Rodowody Wyspiańskiego są również bardzo ciekawe dla poznania jego stosunku do historii, stanowiącej poboczny przedmiot studjów poety na uniwersytecie. Utwierdzamy się w mniemaniu, że interesował się szczególnie „szkołą historyczną krakowską“, której dziełom od wielu lat już jako chłopiec poświęcał baczną uwagę, zanim niektórych z twórców tej szkoły poznał bliżej w lektorjach uniwersyteckich.

Narówni z historją sztuki pociągała również Wyspiańskiego krytyka literacka. Wyspiański nietylko jako twórca nie uznawał żadnych granic między rodzajami sztuki, ale obdarzony niezwykłą wrażliwością, ogarniającą wszystkie gałęzie wiedzy, zawsze bronił poglądu, że historia sztuki jest częścią filologii. Mimo więc, że program jego studjów uniwersyteckich nie odznacza się zbytnią obfitością przedmiotów, że wykazuje raczej tendencję do specjalizacji w historii sztuki, — dosyć przecież znajdujemy w nim pozycyę „literackich“, świadczących o pierwszych zainteresowaniach poety w tym kierunku.

\*

Zapisawszy się na uniwersytet (6. X. 1887 r.), wybrał Wyspiański w pierwszym i drugim roku swych studjów następujące wykłady i seminarja:

R. 1887/8. Semestr I: Wineenty Zakrzewski: *Historja wielkiej rewolucji*, 5 godz. tygodniowo; Marjan Sokołowski: *Historja sztuki Odrodzenia*, 3 godz.; *Ćwiczenia praktyczne w Gabinecie Historji Sztuki*, 2 godz.; Stanisław Smolka: *Dzieje Polski w wieku XIV*, 3 godz., *Rozbiór Polski*, 2 godz., *Seminarjum historyczne*, 2 godz.; Bronisław Dembiński: *Historja Rzymu od Grakchów*, 2 godz.; Stanisław Tarnowski: *Literatura polska w XVIII w.*, 3 godz. (wykład ten został jednakże wykreślony); Anatol Lewicki: *Albrecht Wallenstein*, 1 godz.; Teofil Ziemia: *Dante*, 1 godz.

Semestr II: Marjan Sokołowski: *Historja sztuki Odrodzenia*, 2 godz., *Ćwiczenia na pomnikach Krakowa*, 2 godz., *Ćwiczenia ze sztuki greckiej*, 1 godz.; Stanisław Smolka: *Czasy trzech pierwszych Jagiellonów*, 3 godz.; Stanisław Tarnowski: *Milosc w poezji polskiej*, 2 godz.

R. 1888/9. Semestr III: Marjan Sokołowski: *Dürer i Holbein*, 2 godz., *Historja rzeźby greckiej*, 2 godz.; Stanisław Smolka: *Czasy Jagiellońskie*, 3 godz.; Stanisław Tarnowski: *Literatura za Stanisława Augusta*, 3 godz.

Semestr IV: Stanisław Smolka: *Czasy Zygmunta I-ego*, 4 godz., *Trzeci rozbiór Polski*, 1 godz.; Marjan Sokołowski: *Malarstwo niemieckie epoki Odrodzenia*, 2 godz.; Stanisław Tarnowski: *Schyłek złotego wieku*, 3 godz.

<sup>1</sup> A. Schmarsow: *Kompositionsgesetze in der Kunst des Mittelalters*. Lipsk-Berlin 1915, t. I, str. 1 (w wydaw.: *Forschungen zur Formgeschichte der Kunst aller Zeiten und Völker*, herausgegeben von Eugen Lühgen, t. II).

Już z końcem roku drugiego, z powodu zajęć przy polichromji kościoła Marjackiego, przerwał właściwie Wyspiański swe studia uniwersyteckie<sup>1</sup>. W następnym roku (1889/90) na uniwersytet wogóle nie uczęszczał. A dnia 2 marca 1890 roku, gnany potrzebą wrażeń, wyruszył w dłuższą podróż, mimo szczupłości środków, jakimi rozporządzał. Zapiska w rubrykach, dotyczących personaljów rodowodu z II półrocza 1888/9 r., określa je bliżej: „Pobiera stypendjum Żubowskiego w ilości 150 złr., udzielone mu przez prezydenta m. Krakowa, pod dniem 4 kwietnia 1889.“

Z Krakowa wyjeżdżał Wyspiański tem chętniej, że życie studenckie nie przedstawiało dlań szczególniejszego uroku; rzadko odwiedzał wykłady uniwersyteckie<sup>2</sup>, a co do ich ilości, to ograniczał się do przepisanych 10 godzin wykładów tygodniowo.

Po sześciu latach, po powrocie z Paryża na stale już do Krakowa, zapisał się Wyspiański znów na uniwersytet, celem kontynuowania przerwanych studiów; zamierzał uzyskać doktorat i habilitować się.<sup>3</sup> Ponieważ przypadło to w ciągu roku szkolnego, musiał najpierw postarać się o zezwolenie na wpis spóźniony, które też otrzymał dn. 2. XII. 1896 roku.

Wykłady w r. 1896/7 wybrał następujące: Marjan Sokołowski: *Historja malarstwa włoskiego*, 4 godz., *Ćwiczenia praktyczne w Gabinetie Historji Sztuki*, 1 godz.; Jerzy Mycielski: *Dzieje rzeźby we Francji od wieków średnich do czasów najnowszych*, 3 godz.; Stanisław Tarnowski: *Literatura polska od r. 1830 do 1850*, 3 godz.

Skończyło się wprawdzie na samych tylko zamiarach, ale owe aspiracje naukowe świadczą, jak bardzo wgrzył się Wyspiański w historję sztuki, skoro myśl o katedrze uniwersyteckiej nie wydała mu się zbyt śmiałą; jak wielkie, wprost życiowe znaczenie miała dla niego historja sztuki. Było to do pewnego stopnia ironją losu artysty, że, jak trafnie zauważono<sup>4</sup>, w studjach nad historją sztuki przeszkodziła mu sama Sztuka.

Tak wyglądają pierwsze punkty zetknięcia się Wyspiańskiego z historją: powszechną, historją literatury, przedewszystkiem zaś — historją sztuki. Rzucają one dużo światła na wykształcenie i zamiłowania estetyczne poety: od uwielbienia dla wszystkiego, co się wiąże z kulturą starożytną (uwielbienie to zawdzięcza Wyspiański już wpływom szkoły średniej), aż do najbliższego istocie jego twórczości artystycznej zajęcia się polskim i francuskim gotycyzmem.

JAN DÜRR.

<sup>1</sup> Por. *Lata uniwersyteckie Wyspiańskiego I.* (Przeł. Warsz. Nr 27, str. 410).

<sup>2</sup> Por. Tadeusz Sinko: *Antyk Wyspiańskiego.* Wyd. drugie. Warszawa 1922, tr. 39.

<sup>3</sup> Tamże, str. 40.

<sup>4</sup> Tamże.

# KRONIKA

## HISTORJA LITERATURY POLSKIEJ.

Gabrjel Korbut: *Wstęp do literatury polskiej* (Zarys metodyki badania literatury). Warszawa, 1924. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. — Aureli Drogoszewski: *Pozytywizm polski* (Encyklopedia wychowawcza, tom IX, zeszyt 10). Lwów-Warszawa, 1923. Książnica Polska T. N. S. W. — Marjan Szykowski: *Współczesna literatura polska, z wypisami* (1863—1923). Poznań, 1923. Spółka Pedagogiczna.

Po trzech tomach *Literatury polskiej* prof. Gabrjela Korbuta zjawia się obecnie **Wstęp** do tego dzieła, będący równocześnie zarysem metodyki historyczno-literackiej i wprowadzeniem do naukowych badań historii literatury polskiej. Charakter podręcznika informacyjnego — jak sam autor określa swoją *Literaturę* — nosi również i ten *Wstęp*. Informuje rzeczowo, zwięźle, z świetną znajomością przedmiotu o „zasadach badania literatury metodą filologiczną”. Po kilku ogólnych uwagach, dotyczących nauki literatury, stosunku piśmiennictwa i literatury pięknej, nauk pomocniczych i metodyki badania literatury, autor przechodzi do bardziej szczegółowego omówienia następujących kwestyj: ustalenie tekstu, ustalenie daty powstania utworu, miejsca powstania utworu, autorstwa, dalej geneza utworu, analiza estetyczna i psychologiczna, synteza, historia literatury a krytyka literacka, stan badań nad literaturą polską, poszukiwanie źródeł historyczno-literackich.

Co się tyczy ogólnego charakteru tej książki, to powiedzieć można, że wieje z niej tradycyjny, solidny duch pierwszych naszych badaczy historyczno-literackich. Przypominają się czasy Małeckiego, Nehringa, Pilata z ich erudycją filologiczno-historyczną, z ich surowością i powagą naukową, z całym światem ich przedstawień i pojęć. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby prof. Korbut nie posunął się poza stanowisko tych początków naszej wiedzy historyczno-literackiej i nie uwzględnił nowszych zdobyczy na tem polu — przeciwnie, niektórym dawniejszym teorjom, metodom i zamiłowaniom przeciwstawia się wyraźnie, niektóre nowsze punkty widzenia natomiast akceptuje. Ale to, co nazwałem duchem jego książki, to, co stanowi istotę jego poglądów — opiera się na owej solidnej i poważnej, niekompromisowej, surowej i sztywnej nieco tradycji. U podstaw jej leży bezwzględna, niczem niezachwiana wiara w naukę i naukowość badań historyczno-literackich, w bezwzględny obiektywny odpowiednio wyszkolonego nmysłu badawczego, w obiektywną prawdę, którą umysł taki produkuje, o ile trzyma się zakreślonych sobie granic i operuje odpowiednią metodą. Stąd najważniejszą sprawą będzie naturalnie kwestja granic, których przekroczenie grozi niechybnie runięciem w nienaukowość, i kwestja metody, która powinna być jedna, jedyna i nienaruszalna, gdyż ona tylko

do świątyni prawdy prowadzi. Prof. Korbut, wierny swoim założeniom, zakreśla owe granice i wskazuje owe metody w sposób ogromnie jasny i prosty, a przytem twardy i nieustępliwy, nie pozwalając pod żadnym warunkiem na jakieś w tym względzie dowolności. Poza niemi bowiem leży przepaść, najeżona skałami subiektywizmu, impresjonizmu, niemethodyczności, otwierają swe paszcze największe wrogi nauki: powierzchowność, blaga i feljetonowość. Naturalne skłonności umysłu ludzkiego ciągną go ku tym przepaściom — wpaść w nie łatwo, a wydobyć się trudno; stąd konieczna jest ciągła czujność i ostrożność.

Jest mojem najgłębszem przekonaniem, że w tem stanowisku ogólnem prof. Korbuta i wypływających zeń wskazówkach i przestrożach leży ogromna wartość pedagogiczna jego książki. Jeżeli przeznaczył ją przedewszystkiem dla „młodych pracowników w dziedzinie historii literatury polskiej“ (choć niewątpliwie i starsi wiele z niej skorzystają), to zaiste nie mogli oni otrzymać bardziej pożytecznego daru. Zyskują tu bowiem pewnego, doświadczonego, na zupełne zaufanie zasługującego przewodnika, który ich mocną ręką powiedzie w dziedzinę badań nad literaturą ojczystą i ustrzeże przed grożącymi niebezpieczeństwami. Stawi im przedewszystkiem przed oczy powagę i odpowiedzialność ich pracy, nauczy bezwzględnie oddania się jej (sam będąc pod tym względem trudno doścignym wzorem), nauczy sumiennosci, rzeczowości, uczciwości intelektualnej, ostrożności i krytycyzmu, skrupulatności i dokładności, trzymania na wodzy fantazji i skłonności do kuszących, a niedostatecznie uzasadnionych pomysłów i hipotez, nakaze nieustanną a czujną kontrolę konstruującego umysłu, wytepi wszystko to, co grozi mu zejściem na bezdroża. Nie trzeba chyba podkreślać, że są to podstawowe, kardynalne cnoty, które trzeba przedewszystkiem w młodych pracownikach wyrobić i utrwalić. Później dopiero przyjdzie czas na krytyczne spojrzenie na same owe cnoty, na ich podstawy, źródła, możliwości i granice, przyjdzie czas na zastanowienie się nad teoretycznymi podstawami i założeniami nauki, poznania naukowego, prawdy, obiektywizmu i innych kanonów, podawanych do wierzenia, oraz nad stosunkiem do nich indywidualnego, poznającego umysłu. Może wówczas i granice jego wiedzy się rozszerzą, może i zagadnienia metodyczne staną się zagadnieniem bardziej indywidualnem, t. j. wyszukiwaniem sobie samodzielnie najodpowiedniejszego narzędzia do opracowania danej kwestji. Ale i wówczas, oczywiście, wiele z tego, co zdobyła przeszłość i utrwaliła tradycja, pozostanie nienaruszone.

Poza temi ogólnemi orjentacjami, książka prof. Korbuta jest zbiorem różnorodnych i obfitych informacji i wskazówek teoretycznych i praktycznych. Omawia poszczególne działy pracy naukowej i poszczególne jej stadja; wskazuje, jak się do niej zabierać, jak ją prowadzić, gdzie i jak szukać pomocy i jak z niej korzystać. Mamy tu więc rozmaite sposoby ustalania w rozmaity sposób zepsutego tekstu, sposoby badania daty i miejsca powstania utworu, wykrycia autora — kwestje wpływów i reminiscencyj, estetyki i psychologii twórczości, monografie historyczno-literackie i rozmaite ich rodzaje, opracowywanie dziejów całej literatury lub poszczególnych jej okresów czy rodzajów literackich i t. p. Bardzo pouczającym jest rozdział p. t. „Stan badań nad literaturą polską“, w którym wskazano, co już zostało zrobione w tej dziedzinie, a co jeszcze (i jak wiele!) do zro-

bienia pozostaje. Równie interesująca i pouczająca jest próba przedstawienia stanu badań nad *Odą do młodości*.

Z tem wszystkim, pomimo całego bogactwa poruszonych tu zagadnień i opracowania niektórych z nich w sposób wyczerpujący, ma się wrażenie, że autor, krępowany szczupłością miejsca, zmuszał się do wielkiej zwięzłości i treściwości i dał tylko część tego, co dać mógł. Stąd niektóre ważne kwestje, jak np. piśmiennictwo a literatura piękna, nauki pomocnicze, teorie Taine'a i Hennequina, literatura porównawcza, stosunek historii literatury do poetyki i t. p. są zaledwie zaznaczone; inne znowu, jak np. sprawa analizy estetycznej, domagałyby się obszerniejszego omówienia. W następnym wydaniu należałoby również zająć się trochę (pominiętym tu zupełnie) działem badań nad autografami oraz metodą ich opracowywania i wydawania — wyjaśnić, jak odróżnia się tekst pierwotny od kopji (str. 8); uzupełnić ustęp o rekonstruowaniu tekstów (gdyż niezbędne tu jest nie tylko zglębienie psychologii głównych osób, ale również samego problemu, budowy, akcji i t. p.); wyłączyć J. St. Bystronia z rzędu psychoanalityków (str. 56), gdyż praca jego o wyobraźni artystycznej Prusa nie ma nic wspólnego z psychoanalizą; włączyć do czasopism literackich (str. 107) *Przegląd Warszawski*; wśród seminarjów historyczno-literackich (str. 84) wymienić seminarjum prof. Windakiewicza. Również pożądanym byłoby uwzględnienie w większej mierze literatury naukowej obcej, zwłaszcza w dziedzinie teorii nauk historycznych i ich metodologii. Dilthey, Rickert, Windelband nie są przez prof. Korbuta nawet wymienieni, a sądzę, że zaznajomienie młodych pracowników z ich teorjami jest konieczne, gdyż należy to do podstaw wykształcenia historycznego; innych, jak Seignobosa, Lansona, Paula i t. d. wymienia wprawdzie autor, ale tylko w bibliografji, bez wydatniejszego wyzyskania ich prac w swojej książce<sup>1</sup>. Wogóle — jak już wspomnieliśmy — zasadom metodologii poświęcono w tej książce zbyt mało miejsca (ob. str. 6—7), a zdanie, że „zasady metodyki badania literatury są mniej więcej te same, co zasady metodologii historii“ (str. 6) wywołuje grube wątpliwości. — Tak samo trudno zgodzić się z poglądem, jakoby osoba autora i jego psychika miały podrzędne znaczenie w badaniach literackich. Prof. Korbut dopuszcza badanie tych spraw o tyle tylko, o ile one mogą rzucić światło na samo dzieło. Sądzę, że niema takiego dzieła, na które znajomość życia i psychiki autora nie mogłaby rzucić sporo światła. Trudno poprostu te sprawy oddzielać od siebie; badając dzieło, bada się tem samym jego autora i naodwrot. Badacze dzieł Homera i Szekspira muszą obchodzić się bez znajomości ich życia i przeżyć, ale można twierdzić z wszelką pewnością, że znałoby te dzieła lepiej i rozumieli gruntowniej, gdyby znane im było życie i psychika ich twórców. Co innego jest rekonstruowanie biografji z dzieł — tutaj jak największa ostrożność jest oczywiście bardzo wskazana. Ale i tu nie można mieszać kwestyj biograficznych z kwestją np. poglądu na świat, zasadniczych cech umysłowości autora, jego stosunku wobec życia i t. p. Te ostatnie bowiem można (a czasem i trzeba) z dzieł jego odtworzyć, oczywiście postępując subtelnie, ostrożnie i nie kusząc się o szczegółowe przedstawienie rzeczy.

W tym wypadku właśnie prof. Korbut oddała się znacznie od trady-

<sup>1</sup> To samo dotyczy wymienionych na str. 42 dawniejszych i nowszych estetyków

cyjnego sposobu traktowania biografii; ale zdaje mi się, że idzie nieco za daleko: eo innego są bowiem dawne monografie, które były właściwie przeważnie opowiadaniem o życiu autorów, a dzieła ich usuwały na drugi plan — co innego zaś traktowanie dzieł w związku z psychiką i życiem twórców. — Przy sposobności wspomnieć się godzi także o innej sprawie, którą prof. Korbut traktuje szerzej i bardziej po nowoczesnemu, niż dawniejsi nasi badacze; jest to mianowicie kwestja wpływów i analogij literackich. (ob. str. 34 i następne).

Na zakończenie podnieść pragnę jeszcze jeden rys tej książki, a mianowicie żywość i rozmach jej ustępów polemicznych. Różne sprawy są w tych polemikach poruszone, głównie jednak chodzi o tych historyków literatury i krytyków, którzy obarczeni są owymi grzechami głównymi przeciwko naukowości, o których mówiliśmy na początku. Trzeba przyznać, że autor wymierza ciosy dotkliwe rozmaitym impresjonistom, feljetonistom i zwyczajnym blagierom (Dr. Bębenek!), że jest konsekwentny, bezlitosny i odważny w sądach (ob. zdanie o prof. Kallenbachu, str. 60); ale jest też czasami zbyt bezwzględny i wtedy robi krzywdę np. Chlebowskiemu, którego pracom odmawia wartości naukowej, a jemu samemu miana historyka literatury (choć równocześnie godnością tą obdarza tyle miernot!), przyznając mu tylko laskawie, że był wybitnym pisarzem i wychowawcą narodu, — albo i St. Brzozowskiemu, wymieniając go tylko pomiędzy innymi krytykami „impresjonistami“, którzy — wszyscy razem wzięci — do pięt mu nie dorogli.

Okazuje się więc, że nawet w tej ewangelji obiektywizmu — jaką jest książka prof. Korbuta — znajdują się sądy, zatracające „subiektywizmem“. Sam autor przyznaje się do jednego takiego wykroczenia na str. 58. Nie można mu tego mieć za złe. Ale czyż szanowny autor nie obawia się, że przez to zachwieje się jeden z głównych jego kanonów, według którego rzeczą historyka literatury jest stwierdzanie faktów, ich opis i analiza, a nie wydawanie sądów?

\*

Szczupłą naszą literaturę o okresie pozytywizmu powiększyła praca prof. Aurelego Drogoszewskiego p. t. **Pozytywizm**, zamieszczona w IX tomie *Encyklopedji Wychowawczej*. W literaturze tej mieliśmy dotychczas właściwie tylko jedną podstawową i ważną pozycję, t. j. Chmielowskiego *Zarys najnowszej literatury polskiej* (1864—1897) — poza tem zaś tylko rzeczy przygodne, ogólne lub nieobejmujące całości tego prądu. Książka Chmielowskiego, zawierająca bardzo bogaty materiał faktyczny i bibliograficzny, tem cenniejszy, że zebrany przez świadka i uczestnika ruchu pozytywistycznego — ma jednak jeden zasadniczy brak: jest raczej kroniką, aniżeli syntetycznie ujętą historją pozytywizmu polskiego, cierpi na nagromadzenie szczegółów, brak przejrzystości i genetycznego wyjaśnienia oraz powiązania poszczególnych cech i objawów tego prądu.

Zalety te natomiast posiada w znacznym stopniu wyżej wymieniona praca Drogoszewskiego. Ze względu na szczupłe jej rozmiary i przystosowanie do charakteru i celów encyklopedji nie można jej nazwać historją pozytywizmu. Jest jednak syntetycznym, doskonale informującym, na samodzielnych i gruntownych studjach opartym zarysem tego prądu. Ujaw-

niają się w nim cenne zalety umyslowości tego wybitnego a niedostatecznie ocenionego pracownika na polu naszej historii literatury: sumiennosc i gruntownosc, wnioskowanie ostrozne i krytyczne, a oparte zawsze na pewnej podstawie faktycznej, umiejetnosc zgłębiania zagadnień, oryginalnego ich oświetlania i, co więcej, dostrzegania ich tam, gdzie inni nic nie widzą albo też bardzo mało, czujny zmysł historyczny, pogłębiony żywym odczuciem przeszłości i piękna, ujmowanie zagadnień literackich na szerokiej podstawie kulturalnej i społecznej.

Studjum jego o pozytywizmie stanowi cenne uzupełnienie książki Chmielowskiego: grupuje fakty i zjawiska, wykazuje ich pokrewieństwa i różnice, wywodzi źródła i związki wzajemne, daje wreszcie treściwy i jasny pogląd ogólny na całość ruchu pozytywistycznego ze stanowiska historycznego. Mamy więc naprzód wyjaśnioną kwestję samego terminu „pozytywizm polski“ i wskazane nieliczne punkty styyczne z nauką Comte'a. Słusznie zwraca przytem autor uwagę na to, że określenie „pozytywizm warszawski“ jest nieściśle, gdyż ruch podobny ujawnił się nawet wcześniej w zaborze austriackim. Dalej zajmuje się jego genezą i poszczególnymi ideami, jak: praca organiczna, praca u podstaw — teoretycznym uzasadnieniem tych idei, pozytywizmem konserwatywnym, stosunkiem tego ruchu do fantazji i uczucia, programowością literatury pięknej i jej tendencjami realistycznymi, sprawą kobiecą, sprawą wychowania (rozdział ten specjalnie obszerny ze względu na charakter Encyklopedji) wreszcie zanikiem pozytywizmu w ostatnich dwóch dziesiątkach lat ubiegłego wieku.

Jak z tego przeglądu treści widzimy, rozprawka ta porusza wszystkie najważniejsze zagadnienia, związane z ruchem pozytywistycznym. Ponieważ charakteryzuje ona syntetycznie całość tego ruchu, więc literaturze pięknej tego okresu poświęca tylko tyle miejsca, ile zajmują ona, jako jeden ze strumieni ogólnego prądu. Zjawiska literackie zaś ujęte są i związane bardzo umiejetnie z tym ogólnym prądem i umiejscowione w poszczególnych jego fazach (Kraszewski, młody Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka i t. p.). Szkoda, że autor nie mógł tym sprawom poświęcić więcej miejsca; powinien to jak najrychlej uczynić w innej, obszernej pracy, poświęconej nowoczesnej literaturze polskiej. Wśród dzisiejszych historyków literatury nie widzę osoby bardziej do tego zadania powołanej.

\*

Potrzeba prac o współczesnej literaturze polskiej musi być widocznie odczuwana, jeżeli w ostatnich czasach zjawily się dwie nowe książki tej literaturze poświęcone, a Feldman ukazał się w VII wydaniu. Z wydawnictw nowych pierwsze miejsce należy się **Współczesnej literaturze polskiej** prof. **Marjana Szykowskiego**. Rodzaj opracowania, włączenie wypisów i inne cechy tej książki wskazują, że ma ona mieć charakter popularny. I istotnie, posiada duże zalety przystępności, jasności i treściwości. Szkoda tylko, że u nas „popularnie“ zbyt często znaczy „powierzchownie“, mimo świetnych wzorów, jakie pozostawił w tej dziedzinie nieodżałowany Konstanty Wojcicchowski, który umiał o rzeczach trudnych mówić przystępnie, prosto i jasno, i rezultaty swoich badań naukowych użytkować świetnie w wydawnictwach popularnych. Prof. Szykowski

stoi widocznie na innym stanowisku — uważa, że w pracach, nie ściśle naukowych, lecz przeznaczonych dla szerszej publiczności czy dla młodzieży, nie można się posuwać zbyt daleko poza zewnętrzną, powierzchowną stronę zjawisk literackich, nie można tykać problemów i zagadnień bardziej skomplikowanych, nie można nawet pozwolić domyślać się, że one istnieją. Trudno się z takim stanowiskiem zgodzić. Popularyzacja bowiem polega chyba na uprzystępnianiu wiedzy, a nie na ukrywaniu jej głębszego oblicza, które łatwo zmienić się może na tego oblicza wykrzywienie i zniekształcenie. Otóż prof. Szyjkowski często w swej książce ukrywa właściwą fizjognomję rozpatrywanych przez siebie zjawisk literackich i twórców, zadowolając się ukazaniem ich zewnętrznych znaków czy profilów przez obfite charakterystyki, streszczenia i t. p. Mają one przeważnie charakter ogólnikowy i sumaryczny, zaznajamiają dobrze z treścią utworów i z fakturą twórczości poszczególnych pisarzy. A pisarzy tych jest tu uwzględnionych całe mnóstwo, od najwybitniejszych do zupełnie podrzędnych — co znowu, z punktu widzenia popularyzacji, nie wydaje się pożądane. Może lepiejby było dokonać tutaj pewnej selekcji, ważniejszych autorów omówić obszerniej i dać z nich więcej wyjątków — pisarzy zaś *minorum gentium* pominąć zupełnie. Tak, jak jest, niema wśród nich odpowiedniego ustosunkowania stopni wartości, a w całej książce perspektywy.

Dzieli się ona na dwie wielkie części (całość liczy 621 stron), zatytułowane: Pozytywizm i Młoda Polska; w każdej z tych części omawia autor kolejno powieść, poezję i dramat. Pozytywizm nie jest niestety zdefiniowany dokładnie (a pozytywizm zachodnio-europejski zbyty kilkoma zdaniem i nazwiskami; podobnie rzecz się ma z modernizmem) — zato zakreślony, jeżeli chodzi o literaturę polską, bardzo szeroko, stąd figurują tu również Rodziewiczówna, Weyssenhoff, Faleński, Gomulicki, Zapolska! Podział zaś na owe trzy rodzaje literackie nie wydaje się zbyt wygodny, gdyż czasami okazuje się potrzeba omawiania jednego i tego samego pisarza dwa, a nawet trzy razy. Materiał ograniczony jest ściśle do dziedziny twórczości literackiej — krytyka literacka pominięta zupełnie.

W sądach swoich autor stara się stać na stanowisku obiektywno-sprawozdawczym, i przeważnie mu się to udaje aż do wpadania w ton suchego referowania ustalonych, ogólnie przyjętych i niewątpliwie pod pewnym względem „prawdziwych“ poglądów. Niezawsze jednak można z nim się zgodzić i niezawsze zrozumieć dobrze jego myśl, np. ów dualizm, który jest „najogólniejszą, niemniej jednak zasadniczą normą rozwoju literatury europejskiej“ (str. 8), albo ów romantyzm, który przeżył się „wydawszy szereg arcydzieł, nie ulegających zmiennomu programu“ (str. 10), albo związek pomiędzy *Irydjonem* a pozytywizmem (str. 12), kojarzenie „prawdy i piękna“ przez Sienkiewicza (str. 87), wartości historyczne *Quo vadis* (99—100) — „żmudne badanie użyteczności publicznej różnych warstw narodu“ przez Weyssenhoffa (121) — *Mistrz Twardowski* Staffa „przetłumaczony werbalizmem“ (410), Berent, jako „piewca dekadentyzmu“ (462). Jeżeli chodzi o powieść „psychologiczną“, to istniała ona u nas chyba przed Szyrmerem i Żmichowską (19) — *Lalka* jest przedstawieniem całokształtu chyba nietylko wielkiego miast (60) — genezy *Krzyżaków* nie można sprowadzać do chęci przedstawienia nad-

użyć idei Chrystusowej (104) — rzekomy „liryzm“ Zapolskiej (117) jest właściwie melodramatyzmem — i t. d.

Tak samo trudno jest podzielać niektóre zachwyty autora i uznać za słuszne niektóre jego zestawienia. Oto np. Rodziewiczówna „przypomina“ Orzeszkową, a „wraz z Dygasińskim też ma równe prawo do miana polskiego Kiplinga“ (112—113) — przesadne są również zachwyty nad *Panem Balccrem* Konopnickiej (194—5) — oraz nad owym rzekomo „potężnym obrazem wstrząsających chwil przedśmiertnych państwa polskiego“, jaki stworzył Reymont w *Roku 1794* (499). Z drugiej strony znowu krzywdą się dzieje Orkanowi, gdy mu się poświęca niewiele więcej miejsca, niż Germanowi (437) — albo Nałkowskiej, którą się wspomina tylko przy sposobności Walewskiej-Wielopolskiej (492). Podobnych rzecz możnaby wyliczyć znaeznie więcej.

Daty bio- i bibliograficzne niezawsze są zupełne i dokładne. Przy jednych autorach wymienione są ich poszczególne dzieła — przy innych tylko zbiorowe wydania; w tym ostatnim wypadku czasami, ale niezawsze, znajdujemy owe szczegółowsze daty w życiorysie czy charakterystyce danego pisarza. Są jednak i tacy, którzy prawie żadnych dat nie mają, np. Asnyk, Konopnicka, Świętochowski. W podawaniu znowu dat nie widać żadnego systemu: raz podaje się datę ukazywania się jakiegós utworu w czasopiśmie (np. dzieła Orzeszkowej, Prusa *Placówka* i *Paraon*) — innym razem znowu czas wyjścia książki (np. *Lalka*, *Emancypantki* i t. p.). Wprowadza to chaos i dezorientację ludzi, którzy chcieliby korzystać z tej bibliografii, zwłaszcza, że nigdzie nie jest zaznaczone, która data co oznacza. A są i błędy, np. data urodzenia Konopnickiej, powieści Kraszewskiego (str. 18), Jeża (str. 20), Orzeszkowej (str. 36), Weyssenhoffa (119) i wiele innych.

Korekta również bardzo wiele pozostawia do życzenia, a może czasami nietylko korekta: znana praca ks. Krupińskiego nazwana jest „Romantyzm i jego skutek“ (str. 13), z wyliczenia na str. 15 wynikałoby, że ks. Stojałowski wydawał dwa pisma: jedno *Wieniec*, a drugie *Pszczółka*, — nowela Prusa nazywa się tu *Przygody Stasia* (54), w *Lalce* występuje rodzina *Mindów* (61), *Emancypantki* są gloryfikacją „genjuszu uczenia“ (71), Junosza-Szaniawski figuruje jako autor *Lazarza* (zam. *Łaciarza*, str. 111), Młoda Polska wstrząsana jest „rytmem z m o ż e n i a“ (289); sensacyjnie wprost brzmi tytuł komedji Kaweckiego: *Balwierz zakochanej* (523); *Sędziowie* Wyspiańskiego nazwani są „tragedją karczemną“ (544), *Złoto Renu* Wagnera — *Złotem Runem* (546).

Nie miałem już możności sprawdzenia tekstów zamieszczonych w tej książce wypisów — ale przypuszczać można, że i tu znalazłyby się niedokładności i błędy.

MANFRED KRIDL.

## PRZEKŁĄBY I STUDJA Z LITERATUR OBCYCH.

LITERATURA FRANCUSKA. — *Liryicy francuscy*. Wybór poezyj od XII do XX wieku. Wybrał i przypisami opatrzył Leopold Staff. Warszawa, 1924. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“. — Tadeusz Żeleński (Boy): *Molier*. Warszawa, 1924, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“

**Liryicy francuscy.** — Jesteśmy posiadaczami najbogatszej literatury przekładów; nie dlatego, byśmy byli z gruntu nieproduktywni, ale dlatego, że energia nasza w braku innych dziedzin chodziła na podbój krainy marzenia, przyczem odłam społeczeństwa najkulturalniejszy i za wcześnie dojrzały upodobał sobie rozkosz piękna, tej religii schyłkowej intelektualistów. Jutro może herold czynu praktycznego odwoła nas od biesiadnego stołu; tymczasem niepodobna nie delektować się, gdy p. Leopold Staff, szafarz hojny jak sam Veronese, zastawia nam kosz owoców przedziwnego smaku i aromatu. Zbiór niniejszy, to cała wielka połać literatury, jeżeli nic od samych pierwocin — bo te wkraczają już w dziedzinę folkloru, — to od epoki wyrobionych doskonale form artystycznych. Można by zapewne zarzucić, że wykluczono lirykę staro- i nowo-prowancką; historycy literatury (Gaston Paris) liczą ją do dorobku francuskiego, czyniąc to pod hasłem *Elargissez la France!* — ale to znaczyłoby powiększać książkę do rozmiarów przesadnych<sup>1</sup>. Nie zaszkodziłoby jednak jej charakterowi artystycznemu kilka wzorów wczesnej pieśni w tonie ludowym: *retrouenge, reverdie, ehanson de la mal-mariée, ehanson à toile, pastourelle*. Zarzut natury bardziej zasnuczej dotyczy samego pomysłu: antologje odrębnych rodzajów literackich, mogą być snadnie uważane za anachronizm; wyłuskiwać lirykę z całokształtu twórczości narodowej i żądać równocześnie, aby reprezentowała epoki, jest to stawiać w cień rodzaje bardziej dla pewnych okresów reprezentatywne; jest to przeoczać charakter np. romansu średniowiecznego z przeważnym (jak w *Trystanie*) żywiołem patetycznym lub charakter romantyzmu, który wołał o mieszanie rodzajów; jest to wreszcie przeoczać dążność naczelną poezji nowej, jaką jest szukanie syntezy bodźców emocjonalnych i środków ekspresji. Wyobrażam sobie „autologję“ idealną, tak jak ją na szerszą jeszcze miarę złożył niegdyś wydawca *Obrazu literatury powszechnej*: wybór nie dorywczy wedle rozporządzonego materiału, ale planowy, utworów najznamienniejszych, w doskonałych przekładach, choćby przyszło uzupełniać wiele. Antologja obecna chroma poniekąd pod tym względem wybora; czerpano poczęści z różnych zbiorów, przyczem odrzucono zbyt mało. To dało powód innemu jeszcze nieporozumieniu: warunkiem, aby dany utwór był „reprezentatywny“, jest, aby w przekładzie oddtworzono znamiona indywidualne zarówno epoki, jak autora — słowem ich „styl“, a zatem, aby nie używano form i tropów zastępczych, obcych danej epoce; aby nie fałszowano psychiki oraz manieri pisarskiej twórców, ale starano się wglębić w nią intuicyjnie i stać się ich echem. Tym wymaganiem dziwiliby się dawni tłumacze, dbali jedynie o powtórzenie treści w mniej więcej „udatnych“ rytmach i rymach. Na szczęście w regulach

<sup>1</sup> Podpisany ma w tece nową redakcję *Antologii prowankkiej* (z 1887 r.), przeznaczoną do ogólnej *Historji literatury średniowiecznej*.

lepszey sztuki wzrosli mistrzowie nowi, a jest ich w ksiázce bardzo wielu. Dzieki im, dzieki przede wszystkim p. Staffowi, który wsparty erudycją i znawstwem ułożył plan i poszegował swoich autorów jak biegly wódz na przegładzie, a co najcenniejsza, dorzucił spory procent przekładów kapitałnych, — „Wybór liryków“ przedstawia się impoująco.

Podejdzmy bliżej: 109 autorów, 68 tłumaczy starych i młodych, zmarłych i żywych, głośnych i dobijających się sławy. Wybrani według osobistego temperamentu i skłonności, co byłoby zadatkiem znakomitym na różnolitość tonu; szkoda, jak się rzekło, że niektórzy, wychowani w tradycji konwencjonalnego stylu literackiego, owe cechy indywidualne swoje i swych wzorów zacierają. Przerzucam po kolei karty książki; zatrzymuję się przy autorach znakomitych; notuję spostrzeżenia, jakie mi temat podsuwa; przyczem, jeżeli tu i owdzie wyglądam ujemnie, nie chciałbym, aby cień od nich padający zdołał uszczuplić cokolwiek z radości napawania się pięknem, które stanowi ton dominujący dzieła.

Chatelain de Coucy, Thibaud de Champagne są na miejscu; dziwno, że brak największego z twórców: Chretien de Troyes; prawda, że o autentyczność jego pieśni trwa spór, ale co do kilku najpiękniejszych jest ona prawie że uznana. Gace Brulé w przekładzie obecnym mógł być bez szkody usunięty; fatalnie wygląda metafora „sobola“ w wierszu: „O nie sróz na mnie twej brewki sobolej“, — z dalszym, okropnym w ustach truvera, rymem „gramoli“. Nieobecni Blondel, przemily truver Ryszard Lwie Serce, Colin Muset byłiby sympatyczniejsi. Równie Emil Deschamps, który napisał 1 100 ballad i 2 000 rond, winienby za tę płodność być nagrodzony bodaj jednym przekładem. Ale nadewszystko żal, że nie znajdujemy tej naiwnej, namiętnej pieśni, niezwykle prostej śród tysiąca sztucznych, jaką poetka znana pod imieniem Dame du Faël śle za morze do kochanka krzyżowca, skarżąc się: „On piękny, ja urodziwa; gdyś nas stworzył jedno dla drugiego, czemuś nas rozdzielił, Boże! Gdy wiatr zawieje od tamtych stron, obracam ku niemu twarz i czuję kochanka mego blisko siebie, jakby tuż przez szary płaszcz“. Pożądany byłby również Alain Chartier, poeta, który wiąże najbujniejszy barok średniowiecza z barokiem nowożytnym i może (wbrew Brunetierowi) służyć za dowód, że w rozwoju tematów i form lirycznych nie istnieje *solution de continuité*. Przytem jest tak niezmiernie charakterystyczny przez swe alegorje i przenośnie; dzieki jemu dopiero rozumie się sztukę Karola Orleańskiego. Ten ostatni, mimo że nazwisko jego na parnacie naszym jest dość głośne, został naprawdę pokrzywdzony. Te utwory (mimo zgrabne rondo Staffa) nie odbijają rysów najbardziej właśnie znamiennych arystokratycznego „szkolarza pani Melancholji“. Występują one najwdzięczniej w takich balladach jak: *Mon eueur est devenu hermite — En l'ermitaige de Pensée* albo *J'ay fait l'obsequie de ma Dame — Dedans le moustier amoureux*: „Sprawiłem pogrzeb mojej Pani w klasztorze ukochania; mszę i pacierze za jej duszę odmówił Smętek mój bolesny; a gromnicami do świeczników były me jęki i westchnienia. Trumnę jej pokrywała kapa ze złotej lamy i szafirów, bo szafir klejnot jest wierności...“ etc. Wiotka, delikatna tkanina uśmiechniętego przez łyzy sentymentu, co ją tak sobie upodobał Verlaine, a przed nim inny cygan literacki, Villon, figurujący w albumie księcia, śród rzeszy paniąt szlacheckich w Blois, własną balladą: *Je meurs de soif auprès de la fontaine*.

Łączy się z nią cała historia turnieju poetyckiego; szkoda, że o niej zapomniano.

Tłumacz Villona nie pogńiewa się, jeżeli do jego fenomenalnej skądinąd sztuki translatorskiej przyłożę miarę skrupulatniejszą. Nie miałem okazji pisać o jego tomie villonowskim, więc tutaj zauważę, że jeżeli gdzieś indziej tekst Villona można traktować z pewną koleżeńską swobodą, to ballada *des Dames du temps jadis* przeszła do legendy i winna pozostać nienaruszalna. Tymczasem nimfa Echo, wymieniona w oryginale, *Qui beauté ot plus qu'humaine*, t. j. posiadająca urodę nadczłowieczą, przeszła w tłumaczeniu na informatorkę, której pytają co się stało z resztą dam... Nieproszona (dla rymu) dostała się tam Lija Labanówna, owa co była „ciekących oczu“ (Gen. 30, 17), nie tyle urodziwa, ile płodna. Zbyt znane wiersze: *Et Jehanne, la bonne Lorraine — qu'Englois brulerent à Rouen*, zastąpiono przez: „Joanna, co Angliczan gnała precz szcregi“<sup>1</sup>. W głośnym *Nagrobku* także kilka dowolności: zdziwιά ornitologa „sępy“ w Paryżu na Montfaucon; w oryginale są prozaiczne „sroki“; na spółkę z wronami dziobią ciała wisielców, tak, że „wyglądają jak naparstki“.

O wybór z Małgorzaty królowej Nawarry się nie gniewam, choć w zbiorach *Marguerites* i *Dernières poésies* są piękniejsze, niż tutaj podane. Ale Marot, ów wesoly, zgrabny piosenkarz wypadł nadto ckliwie; nie odgadłoby się, że to on. Czytamy o ludziach sprzeniewierających się „wszetcznie“, rozstających się z „żorotą“ (?). Wszystkie „h“, wszystkie „wždy“ nie czynią stylu archaiczniejszym. — Wiernością i wdziękiem, z których też wynika ton właściwy, górują Ronsardowe sonety p. Mieczysławskiego. W wierszu *Do Marji* wytknąłbym „drobne przy uszach loczki poskręcane“, co jest niezgodne z modą ówczesną; oryginal ma: *tortillés autour des oreilles*. Zato Du Bellay, jakkolwiek od tworzony, zwłaszcza u p. Kościelskiego, z istic renesansową elegancją, odsłania przed czytelnikiem zaledwie jedną stronę, sentymentalną, swej natury. szarpiające się gdzieindziej w skurczu bolesnym i tragicznym; przykładem sonety rzymskie ze zbioru *Regrets*, np. ów: *Si je monte au Palays*, wyraz wstrętu, oburzenia i żalu na widok ruiny moralnej i materialnej wiecznego miasta, także pod względem formy istne arcydzieło. — O pomstę pewnie będzie wołać popędliwa a wymowna „kobieta z temperamentem“, Ludwika Labé; jeden sonet i to złożony z antytez petrarkicznych źle zaleca i objaśnia fałszywie tę fenomenalną poetkę, jedną z pomiędzy *grandes amoureuses*, szczerą tak, że aż niewstydliwą. Taką jest czy to w *Ele-gjach*, kiedy skarży się, że już od 16 roku życia nosi w sercu miłość i żar i prosi Amora, aby ten, którego kocha, poczuł tak samo jak ona „ogień w kościach i we krwi“; czy to w *Sonetach*. Ciekawy np. jest sonet V, treścią spotykający się z mickiewiczowskim: „Tak cały dzień przcześnie; gdy na łożę padnę W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę, Serce ogniste mary zapala w mej głowie“:

*L'endure mal tant que le soleil luit:  
Et quand je suis quasi toute cassée,  
Et que me suis mise en mon lit lassée,  
Crier me faut mon mal toute la nuit.*

Coprawda trudności rymu są w tej balladzie omal nie do zwalczenia.

Prześliczny jest zwłaszcza sonet XIII: Poetka pragnie połączenia z kochankiem: „A skoro obwinę go ramiony, tak jak bluszczowa wic obwija pień drzewa, niechby śmierć przysła, o mą rozkosz zazdrosna.” — Pomiędzy długi szereg pomniejszych, wprowadzonych gwoździ pełni obrazu; mimo małość nie tracą interesu dzięki delikatnemu dotknięciu pióra Staffowego; jeszcze raz podziwiamy intuicję, z jaką ten poeta-erudyta umie utrafić w styl raz wraz odmienny a zawsze właściwy. Aż spotykamy znów mocarza wyobraźni, piewce grozy, dzierżyciela satyrycznych i karzących gromów, — Agryppę d'Aubigné. Niestety, epitety powyższe nie pokrywają się z ilustracją poetycką, ograniczoną do 3 utworów; między innymi fragment z *Les Tragiques* jest zbyt ogólnikowy, aby dał wyobrażenie o geniuszu twórczym wspaniałego pamphlety. Po dantejsku pomyślany jest np. ustęp z *Sądu ostatecznego*, kiedy to żywioły i twory ziemskie przybywają przed tron boży ze skargą na ludzi. „Dlaczego“, powiedzą rzeki, „zmieniście w krew srebro moich fal?“. „Dlaczego“, powiedzą drzewa „z naszych powabnych gałęzi porobiliście wstrętne szubienice?“ i t. d. — Przekład Maynarda, wsunięty znowu przez Staffa, uwypuklił doskonałość formy tego ostatniego z precjozystów.

Wiek XVII, najmniej liryczny, został przymusowo i bez przekonania wyobrażony głośnie nazwiskami przedstawicieli innych rodzajów: Corneillem, Racinem, Molicrem, Lafontainem etc. Wstępując do XVIII-go, chciałoby się, aby Voltaire był mniej czuły i aby nie używał metafor, trzeźwej jego muzie nieznanych: „rozprósz (!) zmierzch życia“, albo: „głód wrażeń duszę szarpał“. Opis „błogich“ pierwocin świata w *Wieku złotym* Gresseta nie licuje z figlarną epopeją o papużce Ver-Vcrt w klasztorze mniszczyk, a to właśnie jest jego utwór „kapitałny“. — Lefranc de Pompignan, zdmuchnięty z widowni śmiechem Voltaire'a, mógł pozostać zapomniany. — Le Brun, gwiazda pindaryczna pseudoklasycyzmu, w poprawnym przekładzie Rosolowskiego, myśzką trącącym, jest zupełnie na miejscu; Parny w interpretacji Staffa objawia piękności pierwszorzędne. — Delille wart Le Bruna; jego także nie mogło zabraknąć w antologii. — Przebóg, *Marsyljanekę* Rougeta odnajduję we własnym, rozpędliwym, studenckim przekładzie... i prędko mijam. A. Chéniera są tylko 3 utwory — stanowczo za mało.

Z wśród romantyków Lamartine streszcza się wszystek w śpicwnej melodyjności i jedwabistej elegancji wiersza, w melancholijnym, narcyzowym przypatrywaniu się własnej pięknej duszy, bujającej między biegunami bytu; przybliżają ku nam tę jego poza liczne strofy słynnego *Jeziora* w tłumaczeniu Miriama. — A. de Vigny *Mojżesz* należy, jak wiadomo, do najświetniejszych objawień odtwórczych zdolności Miriamowych; dobrze, że ten utwór, precyzujący najdokładniej pesymistyczną teorię „genjuszu“, dostał się literaturze polskiej w tak doskonałym kształcie. Polemizować można jedynie o wyrazy refrenu: „samotny, choć silny“ (w oryg. *puissant et solitaire*), co zmienia znacznie i poważnie sens skargi Mojżesza: potężny duchem, więc osamotniony. Poza tem, skoro de Vigny jest uważany za „jedynego filozofa“ wśród romantyków, należało dorzucić jeszcze utworu *Mort du loup*, zawierający jako rezultat rozmyślań wskazówkę etyczną w pogardliwie dumnym nakazie: „Cierpieć i umrzeć w milczeniu“. — V. Hugo jest objaśniony przeważnie poemacikami refleksyjnymi lub żartobliwymi,

co za słabo markuje wielostronność tej zawrotnic bujnej natury poetyckiej; próżno np. szuka się wyjątków z *Orientales*, arcytypu jego stylu i manieri. — Z A. Barbiera pożądańsze byłyby namiętne *Jamby*, np. ów na rewolucję lipcową p. t. *La curée*: „*C'est que la liberté n'est pas une comtesse...*“, albo *L'Idole* z przekleństwem rzuconem Napoleonowi, albo *Varsovie* na powstanie listopadowe; w przekładzie zginęłyby szorstkości wiersza a pozostałyby genialna brutalność. — Musset tłumaczony poprawnie w obfitym wyborze; dziwna, jak żałe tego poety nad samozawinionem nieszczęściem już dziś nie wzruszają. Ze spuścizny T. Gautiera — „boskiego Theo“ — oczekiwalibyśmy więcej lub inaczej; wszak to mistrz precyzji plastycznej, kołorystycznej, archeologicznej. *Portyk* nie ze wszystkim przypomina oryginał; niema w nim *rosaces frères* ani *anges accoudés portant des écussons*, ani *l'acanthé et le lothus*; pozostaje smętne kiwanie głową nad grobem. *Życie w śmierci* nie ma tutaj racji bytu; jest to drobny fragment ogromnej całości *Comédie de la mort*, gdzie najznamienniejszy dla poety rozmiłowanego w kontrastach i wizjach makabrycznych jest *Dialog trupa z robakiem*! Typowo Gautierowski jest dopiero utwór *Sztuka*, po mistrzowsku tłumaczony przez p. A. Langego, istna *l'Art poétique* gwoździ przyszedłszy Parnasu. Z ujmą wodza młodych wyznawców „sztuki dla sztuki“ pominięto cykl *España*, a co gorsza, cykl stanowiący pełny tom p. t. *Emaux et camées*. — Leconte de Lisle (*Weranda*, *Prerjja*, *Sen Kondora*) wyszedł godnie z pod pióra p. Rychłowskiego; zato rozkłwił się pod dotknięciem dłoni przeznaczonej do lirenki a nie do bicia w gongi spizowe. Piewca tropikalnej tężyzny nie poznałby się w wierszach z utworu *Berniea* (nie *Bernina*): „w kielichu powojów śpi b ł o g o trzmiel; — ucho s ł o d k o tnie w cichych wód poszmerze“; „po gałązkach drga promień u r o c z y“, a „dusza upojona tą chwilą szczęśliwą Czarodziejskich uroków z ł o t y wątek plecie...“ O wspaniały „pasterzu słoniów“, czemużeś, gdy tak nieegzotycznie marzyła zacna pani Seweryna, nie wypuścił na nią swego stada? — Ludwika Ackermann, głośna pacyfistka, znalazła najgodniejszą odtwórczynię w Marji Konopnickiej. Baudelaire jest uczynony z należytą hojnością dwudziestoma utworami; wyjąwszy łamańce słowne jednego tłumacza a rymy: o c z y — u r o c z y drugiego, wszystkie cenne; p. Lange i Brzozowski, zwłaszcza ostatni, przełali w przekłady pełną treść swych indywidualizmów, pokrewnych poecie szukaniem wzruszeń wyrafinowanych. Owe mniej cenne możnaby było jednak zastąpić utworami bardziej typowymi: wiadomo, że jak u innych twórców dominują wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe, tak u Baudelaire'a olfatyczne. Lubuje się w woniach dla zwykłego „burżuaz“ wstrętnych i czyni sobie z nich biesiadę. To jego szczególne upodobanie należało załustrować. — Dierxa *Lazarz* w głęboko odczuciem tłumaczeniu p. Ostrowskiej nie wystarcza, aby oddać wielostronność mistrza, niesłusznie w cień zasuwanego. — Sully Prudhomme w 15 utworach przeważnie mdłych podzielił los Leconte'a; niecierpliwą „słodkie czary“ i „sny złote“ i „Och“ i „Ach“, w których topi się jego beznamiętna surowa metafizyka; nie byłoby fałszywszego sądu, niż ten, jakiby się wydało o tym intelektualistcie na podstawie źle dobranych przekładów, mimo że są w nich bardzo piękne, np. p. Karskiego *Prośba*. — Jean Richepin, dość banałny krzykacz, byłby znośniejszy w przykładach z *Chansons des Gueux* lub *Les blasphèmes*. Przedziwny Heredia, niedościgły mistrz rzeźbiarskiej pozy i epicznego ruchu

w granicach 14 wierszy nakształt soczewki skupiający wizję poetycką, w przekładzie 3 pierwszych utworów doczekał się bladej, niedociągniętej prozy, przeplatanej konwencjonalnymi ozdóbkami. Np. w sonecie I przepadł ruch grobów, które się „zaniepokoiły“ pod światłem księżyca. A dalej, gdzie tłumacz widział, aby przepaski mumji się „zwieszały“? Skąd wziął „dumne“ pospieszanie i „otchłań snów“? I skąd, skąd wziął swoich „murzynów“? Krytyk, porównujący sumiennie przekład z oryginałem, czyni czasem zabawne odkrycie i to jest jego najmiłszą nagrodą. W ostatnim tercecie sonetu *Wizja Khem Anubis* ze spżu „Nieruchomy stoi wśród żarkiej rozkoszy I niemym pyskiem ku słońcu szczeka.“ Tłumacz, snąc nie pojmujący, jak można szczekać niemym pyskiem, z bożka Anubisa (o mordzie szakala) zrobił Nubijczyka (!) który „pije ciepło, a dziwna radość w nim się budzi“.

Verlaine wystąpił niezgorzej mimo ogromu trudności, jakie przedstawiła wiersz w prostocie swej doprowadzony do granic, gdzie wyraża się i pokrywa całkowicie odpowiednikiem emocjonalnym i wizyjnym. Nie pomoże wszelka sztuka Staffa; „Łkanie bezsennej skrzyпки jesiennej“ i t. d. to jednak coś innego niż: „*Les sanglots longs Des violons De l'automne...*“ Może jedyny *Psalm* p. Langego budzi tę samą nabożną grozę, co oryginal. Z tem wszystkim karty poświęcone Verlaine'owi można zaliczyć do klejnotów antologii — Rimbauda *Statek pijany* w klasycznym przekładzie Miriama, niegdyś utwór „sztandarowy“, jest nadto znany, by wartości jego podkreślać. Mallarmé równie pozostał monopolem Miriama; zanim wydano komentarze, nikt u nas prócz niego nie umiał go interpretować. Dlatego pożądałoby się przekładu *L'après-midi d'un faune*, gdzie jest utajona cała doktryna poetycka tego ultra-symbolisty. — Rodenbach to uosobiona nadwrażliwość, biorąca podniętę ze zjawisk innemu obojętnych lub zgola niedostrzegalnych; tłumaczka jego, Kalenkiewiczowa, pisarka o wysokiej inteligencji artystycznej, posiada dar rozumienia tych najbardziej wiotkich wzruszeń, co je poeta sam nazywa „odcieniami“; dzięki temu prawie nic u niej nie ginie z wybrednych piękności oryginału. Wytknąłbym w *Życiu komnat* III: „Szlak mu przypadł gwieździsty“, może błąd drukarski, zam. „przepadł“. W *Krajobrazach miast* I — zamiast „tęsknotą szare domy wstrząsa“ (nb. wichura), winno być: „omdłałość (*langueur*) domów wstrząsa“. W cyklu *Z nurtów duszy* VI, zamiast „Prócz tego, co jej drogie“, winno być: „Prócz rzeczy zgodnych z jej odcieniem“ t. j. odcieniem jej natury. Tamże zamiast „W głosie tych marzeń błogich (!)“, ma być: „wybranych“ (*triés*), co jest objaśnione dalej analogją przyrody. — Potężny Verhaeren został uczczony przystojnie przez najceńszych wirtuozów jak p. Ostrowska, pp. Lange i Rychłowski. Jednak miłośnikom tego władcy królestwa symbolu zbyt wiele tu niedostaje; niedostaje pełnego obrazu twórczości, jak się objawiała w kolejnych cyklach, poczynszy od *Les Flamandes*, poprzez *Moincs*, *Soirs*, *Villes*, *Villages illusoires*, *Débauches*, *Flambeaux noirs* aż po okres wojenny i tragiczną śmierć na dworcu kolejowym w Rouen. Gdzie ten pierwszy, bujny i szumny malarz krajobrazów i wnętrz w guście Teniersa, Brauwera, Steena; i ten drugi, odtwórca przerażającej zachłanności miast portowych i fabrycznych, szermierz rewindykacji socjalnych; i ten trzeci, na progu obłądu, który jednak — zjawisko fenomenalne — jest równocześnie szczytem jego siły twórczej, wypromienionej w symbolizmie już prawie transcendentnym utworów jak: *Les lois* lub *Les Nombres*? Jakżeby się chciało ująć

książce z dziesiątek wierszy blahych, aby wymościć miejsce dla tego moca-rza! — Laforgue'a ton zasadniczy: obrzydzenie, nuda, żart gorzki z życia trafnie odbrzmiwa w tłumaczeniu p. Cz. J. Kozłowskiego. — Niewyczerpana twórczość wytwornego H. de Regnier jest reprezentowana szeregiem poemacików; najpyszniejszy z nich *Wazon* p. Langego. — Pod rubryką Maeterlincka brak okazji z *Serres chaudes*; wszak ich przekład Miriamowy stanowi datę w historii „Młodej Polski“, owej krzepko „młodej“ dobrych czasów. Sonety Samaina, trudne do ujęcia z powodu nadmiaru materji poetyckiej wydzierającej się poza formę, ulegają kornie mądrej rzeźbiarce, jaką była Zawistowska. Pozorny *Vers libre* Pawła Forta i jego próby „poetyckiej prozy“ tłumaczą się jasno w przekładach p. Ostrowskiej i p. Rychłowskiego. Rytm Claudela w odzie: *Poległym pod sztandarami Republiki*, który pędem swym marsowym i patosem wyrazu przypomina Carduceiego, odbija się dzielnie u p. Mogilnickiego. Kończy się zbiór neo-klasycznym Pawłem Valérem.

Oba końcowe działy: Parnasistów i Symbolistów (str. 349—601) wy pełniają prawie połowę książki; przegląd ich, pelen upojnych wrażeń i radosnej dumy, to jakby przegląd szkoły młodych mistrzów, ku zdumieniu coraz to bieglejszych, coraz to władniejszych szczytnego rzemiosła, tak, że już niewiadomo, jak się ta misterność słowa obróci i ku jakim polską sztukę powiedzie zwycięstwom.

\*

Tadeusz Żeleński (Boj): **Molier**. — Książka złożona z dwu części pod tytułami: 1. Życie i twórczość; 2. Molier w swoich utworach, — jest powtórzeniem wstępów i komentarzy, umieszczonych w wydaniu zbiorowym tłumaczeń. Właściciele kompletu Moliera, a jest ich niezawodnie wielu, nie powinni o to wytaczać procesu, gdyż otrzymują obecnie w systematycznie ułożonej monografji to, co wprzód było rozdzielone między poszczególne tomy. Rację układu, pozwalającą na przeniesienie bez zmian dawnej materji w poczytniejszą formę, autor znalazł szczęśliwie przez zachowanie zasady chronologicznej, przyjętej w przekładach; pozwoliła mu zarówno w życiorysie, jak w przedstawieniu twórczości zastosować teorię ewolucji i ukazać linię rozwojową charakteru człowieka i artysty. Ukazał więc, jak z lupiny beztroskiego, wędrownego komedjanta wyluszczała się powoli twarz tragiczna pourego myśliciela i gorzkiego satyryka; jak pod jego palcami tworzył się teatr nowy: z dawnej farsy i komedji intrygi, improwizowanej, kosmopolitycznej, powstawała komedja narodowa typów i charakterów; jak wreszcie w tym dorobku Moliera leżą utajone wszystkie przysze możliwości dramatyczne.

Autor, wielki erudyta, skwapliwie uprzedza czytelnika, że po niezliczonych studjach o Mołierze nie trzeba szukać w książce objawień nowych; nie tai też, że skoro przeczytał „mniej więcej wszystko, co we Francji mądrego w tym przedmiocie napisano“, wiele mogło przylgnąć do jego pamięci i stopić się z własnymi myślami tak, że źródeł już nie wyróżnia; niemniej pozostało wiele miejsca dla świetnych określeń, trafnych żartobliwych spostrzeżeń, na których autorstwie każdy się pozna; jak że w *Chorym z urojenia* Molier „przygotowuje jakby swój pogrzeb“ i że śmierć jego sama wydaje się czemś „skomponowanym“; alho, gdy chodzi o rzekome tendencje mora-

lizujące, że dzieło Moliera to „najweselszy rachunek sumienia“. Błyskotliwość i wdzięk podobnych powiedzeń, Boyowi zwyczajnych, nadają jego studjom literackim nieodpartą powab. Uwielbienie dla „swojego“ autora, w którym zawsze jeszcze można odkrywać piękności równe, odbijają się w tonie żarliwym i w twierdzeniach, posuwanych czasem aż do paradoksu, jak np. to, że Molier jest „kamieniem węgielnym nowoczesnego społeczeństwa“ (str.4) rzekomo dlatego, że znosił granice i dynastje „jak Napoleon“. Wprawdzie autor osłabia jasność tego zdania dodając, że Molier potężnie jak nikt inny „p r z y c z y n i ł się do ewolucji nowego życia w duchu światła i postępu“, ale i w tej formie teza powyższa się nie ostoi, bo ani świadomym „działaczem“ ani nawet nieświadomym czynnikiem rewolucyjnym w dziedzinie społecznej, obyczajowej, naukowej Molier nigdy nie był i żyłoby mu nawet do twarzy w masce Diderota. Precjozizmu naprawdę nie zburzył, bo on trwał i trwa pod innymi nazwami; ośmieszył tylko małe salony, małpujące Hôtel de Rambouillet, który w 1659 r. ze starości sam dogorywał. Molier „sawantkom“ już nie dał rady: rozmnożyły się owszem w XVIII w. Praw tradycyjnych władzy męzowskiej i ojcowskiej, sięgających wstecz do *Lex salica*, nie ukrócił; konserwatyzm francuski ukrócić ich nie da. Filozofję scholastyczną dobił nie Molier, lecz Descartes. Metody lecznicze: lancet, klister, laksatywna panują po nim doskonale nawet w „mieście światła“ po dzień dzisiejszy. Był genialnym przeziercą dusz głupich lub przewrotnych; wtrącał je w sytuacje śmieszności na tryumf sztuki, na pośmiech widza; może sam rad, że pokraki moralne istnieją: skądżeby brał łątki do swego teatru...?

Nie wiem, coby można zasadniczo ważnego dopisać w dziale historycznym książki; chyba fakty drobne, jak, że w przedstawieniu dziejów teatru przedmolierowskiego ściągnięto pod jedną rubrykę dwa rodzaje komedji: erudycyjną, sięgającą wstecz do Plauta, Terencjusza i Menandra, oraz improwizowaną *commedia dell'arte*. Larivey, tłumacz pisarzy włoskich jak Grazzini, Lorenzino de' Medici, Secchi i in., propagował ów rodzaj antyczny, podczas gdy kompanje komedjantów z Sieny i Florencji wnosily ten drugi rodzaj popularny. Swoją drogą *commedia dell'arte* wchłonęła wszystką materję rodzajów rodzimych i tak ją wraz z formą przejął Molier, żyjący z Włochami zawsze w dobrej przyjaźni. Dokładniejsza opowieść o ich serdecznym stosunku w przeciwieństwie do Hiszpanów otwarłaby jedną więcej poufną skrytkę jego działalności. — Książka pulsująca subiektywizmem jest zawsze pobudliwa; więc i tu w żywej współpracy myśli nasuwają mi się spostrzeżenia, może nawet trafne; podejrzewam np., że wiele omawiana przyczyna dla czego Tartuffe zjawia się na scenie dopiero w III akcie, jest ta, że poeta, wystawiając nieznośną dla widza swej epoki postać lotra (*un seëlérat*), szukał sposobu, aby go ukazywać jak najmniej, i że stąd wynikł ów zdumiewający skrót kompozycyjny.

Monografia jest książką poważną i pociągającą; samoświadomość jej wartości pogodzi może autora z „profesorami“. Bo przecież ci, którzy stanowili jego przygotowawczą lekturę: Moland, Mesnard, Rigal, Brunetiére, Larroumet, Lanson, Faguet, — to wszystko towarzysze szanownego cechu. Nawet Lemaitre, najbliższy rodzajem talentu, — to wychowaniec „Szkół normalnej“, owej pepiniery profesorów. Ba, co więcej, książka jakkolwiek

„popularna“ jest wykonana według prawideł naukowych; nie spojrzawszy na kartę tytułową, przysiągłbyś, że ją napisał zawodowy profesor: pokazuje się, że to może być wielką nawet zaletą.

EDWARD PORĘBOWICZ.

\*

LITERATURA NIEMIECKA. — Jan Wolfgang Goethe: *Elegje rzymskie*. Przełożył Leopold Staff. Warszawa, 1924, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“.

Nadzieje, jakie trzydziestosiedmioletni Goethe łączył z pobytem we Włoszech, będących podówczas już od szeregu lat krajem jego tęsknoty, nie zawiodły go. Uczuł się jak odrodzony. Życie włoskie, przyroda Włoch, ich sztuka, — wszystko to w połączeniu ze szczególnie szczęśliwymi przeżyciami osobistymi pozostawiło wrażenie niezapomniane, które trwało, mimo wszelkiego późniejszego „odzyskania poety przez Niemcy“. Wiadomo też, iż pomimo kultu, jaki obudziły w nim wyżyny sztuki Renesansu — nade wszystko oczarowały go bezpośrednie echa antyczne. Każdy, kto wie, pod jak przemożnym urokiem starożytności stał Goethe w latach 1786—88, podziwiać musi tę wszechstronną energję twórczą, która pozwoliła mu w tym samym okresie wykończyć nietylko *Ifigenję*, lecz i *Egmonta*, poezję rzymskie *Elegje* i pisać „Kuchnię czarownic“ do *Fausta*.

Nazwano Goethego największym z fantastów i najobjektywniejszym z obserwatorów; był też naturą w najwyższym stopniu namiętną a przecież zdolną ująć się w karby. Z *Elegij rzymskich* widzimy, jak uporczywa a wnikliwa obserwacja wyrobiła w poecie pewien ideał piękna i jak w ramy zgodnej z nim, opanowanej formy wlewa on swe opanowane, a w tej powściągliwości najzupełniej szczere uczucie. Namiętność nie wybucha tu już gwałtownie — A. W. Schlegel zaznacza, że równowagą ducha przewyższa Goethe swe wzory w osobach elegików rzymskich: równowaga nie udaremniła jednak swoistego napięcia i tej dość różnorodnej skali uczuciowych możliwości, które ujawniły się w związku z miłością a raczej miłostką, przeżyty przez autora *Elegij* w Rzymie<sup>1</sup>. Jest więc silne pożądanie przy świadomości dążeniu do spokoju i refleksji, jest prawdziwie godna wielkiego poety wrażliwość na nastroj chwili, cokolwiek melancholji, a nie brak też i pewnego komizmu, przypominającego późniejsze clegje verlainé'owskie; Fr. Schlegel widział w tym komizmie pierwiastek, który *Elegje* Goethego najbardziej różni od rzymsko-lacińskich.

Zadanie tłumacza polega tu na odtworzeniu tej treści uczuciowej i ciągłem baczenin, by połączona była z ową klasycznie ovladniętą formą.

<sup>1</sup> Dawniej ogólne było mniemanie że w *Elegjach rzymskich* Goethe poruszył swój zmysłowy stosunek do Krystyny Vulpius, późniejszej żony; tak był poinformowany słynny niegdyś biograf poety, Anglik Lewes. Pogląd ten uległ rewizji i modyfikacji. Za bohaterkę *Elegij* uznano przelotną kochankę rzymską, z którą stosunek został zaczęty pod koniec pobytu poety we Włoszech. *Elegje* powstawać mogły — pisze Biełschowsky (*Goethe*, t. I, wyd. 7 z r. 1905) — częściowo w samym Rzymie, częściowo w drodze powrotnej. Ze stosunku do Krystyny poeta zaczerpnął jedynie śmiałość i usposobienie, potrzebne do wykończenia, nic ponadto. — Zainteresuje może wiadomość, że prócz dwudziestu powszechnie znanych *Elegij rzymskich* istnieją cztery, długi czas niepublikowane ze względu na cenzurę ohyczejowej. Przypomniane w r. 1904, znajdować się mają w t. VI (1911) t. zw. *Propyläen-Ausgabe* pism Goethego.

Goethe jako twórca *Elegij* jużby zapewne nie powtórzył skarg, które rzucał niegdyś, około r. 1772, w okresie powstawania *Götza i Werthera*, kiedy to ubolewał nad sobą, że zawsze n i e w ł a ś e i w i e się wyraża; tłumacz oddać musi bieg wiersza posłuszny zamierzeniom twórcy, pełny i swobodny, płynny a majestatyczny. Przekład Leopolda Staffa czyta się z tem samym poczuciem najwyższej harmonji, co i oryginał, i już z tego zasadniczego powodu jest to przekład nieporównanie lepszy, niż Zatheya (*Museion*, 1911, XI; ułankowo tłumaczył *Elegje* Jenike: *Wybór pism Goethego*, 1889).

W dalszym wyniku porównań i rozważań, czytelnik ze szczerem podziwem dla sztuki tłumacza stwierdza, że widzi przed sobą te same obrazy, odczuwa te same sensacje, które daje tekst niemiecki. Pojmujemy podniecenie autora (el. V, XIII), jego estetyczną kontemplację (V, XI, XIII), celowość jego pięknego rezonerstwa (III), czujemy rzeźwość chłodu wieczornego (IX), parność zebrań przy winie w osterji (XV), widzimy barwność tłumy (XII). Znakomity polski poeta-tłumacz, rozporządzając potrzebnem słowem, stwarza tu tak niezwykle rezonans uczuciowy, iż ma się wrażenie, jakoby z Goethem *Elegij* łączyło go szczególne powinowactwo duchowe.

Nie zawodząc nadziei, przeprowadza nas aż do miękkich tonów końcowych (XX), gdzie w chęci *quasi*-narzucenia erotycznego optymizmu zamknięta została lekka niecierpliwość i słodycz ponowionego a niezawodzącego oczekiwania:

Wstrzymaj się, Luno, nadchodzi! żeby nie dostrzegł jej sąsiad;  
 Więcej mi, wietrzyku, wśród drzew! zagłusz swym szumem jej krok  
 Wy zaś rośnijcie, kwitnijcie, kochanc piosenki, kołyszcie  
 Pośród najcichszych się tchnień w ciepłą, miłosną tę noc...

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER.

## SOCJOLOGJA.

Thorjan Znaniecki: *Wstęp do socjologii*. Poznań, 1922, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Prace Komisji Nauk Społecznych, tom II.

Zbyt mało mówi się i pisze w prasie polskiej o fakcie bardzo niepokojącym, jakim jest niewątpliwie osłabienie tętna pracy naukowej w Polsce po wojnie. Mimo że powstało kilka nowych ośrodków pracy w postaci nowych lub wskrzeszonych uczelni, naukowa myśl polska nie tylko nie przewyższyła w swej produkcji norm przedwojennych, lecz im nawet nie dorównała. Co najważniejsza, rozwiła się, naogół biorąc, atmosfera naukowa, w której powstawały i dojrzewały upodobania intelektualne, w której upowszechniały się problematy i stawały się przedmiotem zbiorowego zainteresowania. Niewątpliwym objawem i miarą atmosfery naukowej są polemiki: świadectwo, że to samo zagadnienie zajmuje w mniej więcej równej mierze i wchodzi w sferę kompetencji niejednego badacza. Trzeba tylko przejrzeć roczniki ostatnie różnych publikacyj naukowych, aby się

łatwo przekonać, jak właśnie to napięcie polemiczne dzisiaj osłabło. Praca uczonych polskich w większości dziedzin nauki ogranicza się do podejmowanych indywidualnie monograficznych badań i przyczynków. Rzadko, niezmiernie rzadko, powstaje nowa próba syntezy oryginalnej. Nawet na zsyntetyzowanie, a raczej na usystematyzowanie istniejącego dobytku wiedzy w podręczniku czy kompendjum oryginalnym nie mogą się zdobyć niektóre dziedziny nauki w literaturze polskiej: przykrym, a wymownym tego przykładem jest psychologia, która ma w Polsce kilku uzdolnionych i rozporządzających obszerną wiedzą reprezentantów.

Nie należy, moim zdaniem, pomijać żadnej sposobności podkreślania i akcentowania tego niepokojącego faktu; do usunięcia go potrzebne jest bowiem współdziałanie całego społeczeństwa i państwa; społeczeństwo musi dostarczyć środków materialnych i organizacyjnych, bez których nauka rozwijać się nie może.

W tych warunkach wielką niewątpliwie jest zasługą tworzenie nowych ośrodków pracy naukowej i wytwarzanie sprzyjającej dla tej pracy atmosfery. To też znakomitą ma zasługę profesor **Florjan Znaniecki**, który w ciągu kilku lat swej pracy uniwersyteckiej w Poznaniu stworzył pierwsze i dotychczas jedyne w Polsce środowisko badań socjologicznych.

Rozwój socjologii w Polsce jest naogół w ostatnich czasach dość słaby, co wyraża się szczególnie w znikomej liczbie prac monograficznych i w bardzo skąpej wymianie myśli polemicznej pomiędzy specjalistami. Ubocznie zagadnienia socjologiczne poruszają niejednokrotnie ekonomiści, prawnicy, a w ostatnich czasach zajmują się zagadnieniami, które mają żywotne znaczenie dla badań nad budową grupy społecznej, i psychologowie (mam na myśli interesujące studia o warunkach zbiorowej pracy szkolnej B. Nawroczyńskiego i o znaczeniu współzawodnictwa J.-Bykowskiego). Gdyby stworzono i poprowadzono umiejętnie jakąś instytucję, któraby ześrodkowała wszelkie badania, dotyczące zagadnień socjologicznych, można by niezawodnie skupić około niej nietylko zawodowych socjologów, lecz i wszystkich tych badaczy z dziedzin „sąsiednich“, którzy z konieczności stykają się z problemami socjologii i których praca myślowa z pożytkiem mogłaby być wyzyskana dla dobra tej, pono centralnej wśród nauk społecznych, gałęzi badań.

W tym właśnie kierunku idą zamierzenia i konkretne prace prof. Znanieckiego. W swej gorliwej i pełnej zapału działalności dydaktycznej na Uniwersytecie Poznańskim prof. Znaniecki umiał skupić około siebie grono młodych pracowników, których zapoznaje z badaniem konkretnych materiałów socjologicznych i wdraża do przyszłej pracy samodzielnej. Seminarjum socjologiczne poznańskie jest jedyną w Polsce placówką, która tworzy nowych pracowników w socjologii, i pełna zapału praca kierownika daje gwarancję, że w niezbyt długim czasie do samodzielnych badań socjologicznych przystąpi cały zastęp młodych uczonych.

Już nie pedagogicznym, lecz czysto badawczym pracom ma służyć niedawno założony Instytut Socjologiczny. Stworzyła go inicjatywa profesora Znanieckiego, który w Instytucie tym chce skupić szeroko zamierzone prace, mające na celu zbieranie materiałów socjologicznych, oraz podjąć działalność wydawniczą w zakresie socjologii. Zbieraniem materiałów socjologicznych zajmuje się prof. Znaniecki już oddawna. Na kilkunastu

tysiącach listów polskich emigrantów w Ameryce opiera się praca p. t. *The Polish Peasant*, którą prof. Znaniecki napisał wspólnie z uczonym amerykańskim, Thomasem. Jako kierownik zaś seminarjum poznańskiego zgromadził bardzo interesujący materiał kryminologiczny w postaci życiorysów przestępców i prostytutek, oraz szereg autobiografii robotników polskich, które mogą mieć duże znaczenie przy opracowywaniu społecznych warunków pracy w Polsce.

Nowym etapem w owocnej działalności naukowej prof. Znanieckiego jest **Wstęp do socjologii**. Jako jedna z nielicznych polskich prac oryginalnych zasługuje i wymaga *Wstępu* szczegółowego omówienia i skrupulatnej oceny. To też symptomem nader wymownym zastoju w naszej socjologii jest fakt, że dotychczas książka ta nie została nigdzie omówiona w sposób należyty.

Pozycja krytyka z natury rzeczy jest wygodna. Może wytykać błędy, wskazywać niekonsekwencje, wypowiadać sądy wartościujące, nie angażując się zbyt w uzasadnianie własnego pozytywnego poglądu, nie narażając się samemu na krytyczną rewizję własnych konstrukcji. Krytyk, uzasadniając swe sądy, opiera się wciąż na pewnych przesłankach teoretycznych, których często nie formułuje wyraźnie, zasłaniając je przed okiem czytelnika, którego stara się zasugerować swoimi wnioskami. Czytelnik zaś zawierza najczęściej formalnej poprawności wywodów i nie docieka, czy na mocnej są zbudowane podstawie. Dlatego to w oczach czytelnika tak często krytycy mają słuszość.

Nic chcę tu korzystać z tego przywileju krytyka; dlatego też, przystępując do analizy krytycznej *Wstępu* wymienię wyraźnie pewne dyrektywy metodologiczne, które moim zdaniem muszą obowiązywać w każdym dziele naukowym. Być może, że są wyrazem subiektywnego mego na badania naukowe poglądu; w takim razie subiektywne będą i moje dalsze wywody.

Sądzę tedy przedewszystkiem, że myśl naukową, a w większej jeszcze mierze jej ostateczny wytwór, cechować winna możliwa i jak największa jasność i precyzja pojęć. Dlatego tak wielkie znaczenie przypisuję wstępnej analizie pojęć w każdej nauce i byłbym nawet gotów dla podniesienia naukowego „dostojeństwa“ takiej analizie nadać jej charakter samodzielnej nauki i mianem samodzielnem, może niezupełnie trafnem, lecz dostojnem — „ontologii“ obdarzyć. Nie żywię przytem obaw, które podnoszą zazwyczaj przeciwnicy rygorystycznego pielęgnowania jasności myślenia. Nie obawiam się, aby postulat jasności miał być zaporą w badaniu rzeczywistości. Pozostało mi przynajmniej tyle optymizmu, iż wierzę, że rozum ludzki jest zdolny przeniknąć wiele tajemnic wszechświata, choć słusznie mówił Heraklit, że „natura lubi się ukrywać“. Pytania trzeba stawiać naturze jasno, precyzyjnie, z mocnym przeświadczeniem, że na nie odpowie. Nie należy przytem przypuszczać, żeby miała odpowiadać mętnie i tajemniczo. Głębokie są tylko prawdy proste i jasne, innych — wogóle niema. Uczeń niemiecki mętność pojęciową uczynił w XIX wieku fetyszem prawdy i głębi: czas największy, aby go zewsząd usunąć. — I nie obawiam się również, aby z kulturą jasności miał w nauce zapanować werbalizm. Myślę przeciwnie, że dopiero wówczas nsnniemy jego niebezpieczeństwo, gdy starannie będziemy dbać o sprawność tego subtelnego narzędzia, po-

mocniejszego w nauce, jakim jest słowo. Powiedział kiedyś dowcipnie jakiś uczone włoski, że myśl niemiecka (mówił o przesiąkniętej „idealizmem filozoficznym“ filozofii prawa niemieckiego) nie znosi próby przekładu na język włoski: zanadto oczywiste stają się wówczas popełnione błędy logiczne. Istotnie. W całej filozofii niemieckiej, poczynając od idealizmu, nieostrożne operowanie niewyjaśnionymi terminami stało się pierwszorzędnym źródłem werbalistycznej płodności. I język przystosował się zadziwiająco do tych celów — z pewnością nie ku pożytkowi nauki. Myśl niemiecka zaciążyła nad rozwojem myśli europejskiej bardzo poważnie. W interesie postępu nauki, szczególnie filozofii, jest wyzwolenie się od tego wpływu, a jedynym środkiem, wystarczającym ku wyzwoleniu — jasność i precyzja. (W socjologii współczesnej wzorem tej precyzji może być dzieło V. Pareto *Trattato di sociologia generale*, w którym specjalne subtelne wywody poświęcone są sprawie języka i terminologii.)

Temu wymaganiu jasności i precyzji nie czyni zadość książka prof. Znanińskiego. W toku dalszych wywodów będę miał niejednokrotnie sposobność mówić o trudnościach interpretacyjnych, przyczem z konieczności rzeczy będę musiał przytaczać zwroty, świadczące o niejasności. Tu więc poprzestanę na zaznaczeniu ogólnem przyczyn, z których ona płynie. Autor zupełnie programowo, jak się zdaje, nie przywiązuje wagi do jasnego i ściśłego ustalania znaczeń wyrazów, któremi operuje, i to nawet ważnych terminów technicznych. Terminy „realny“ i „idealny“, naprzykład, spotykamy we *Wstępie* nader często i to w wywodach o najbardziej zasadniczym znaczeniu, a mimo to niema w całej książce nictylko definicji, lecz nawet potocznego wyjaśnienia tych niebezpiecznych terminów, którym autor nadaje czasem jeszcze bardziej niebezpieczne znaczenie: mówi wszak o stopniach realności, o istnieniu napół realnem, i o rzeczach temu podobnych, co jest oczywista wielce niepokojące ze stanowiska potocznego rozumienia i przyjętego w nauce sposobu używania terminu „realny“ jako ekwiwalentu do „istniejący“. W tem znaczeniu nie może być stopniowań realności, o których mówi autor *Wstępu* (por. str. 45, 66 i w wielu innych miejscach). Brak specjalnego starania o precyzję terminologiczną nie dawałby się, być może, odczuwać tak dotkliwie, gdyby autor operował potocznymi terminami w ich utartem, wyczuwalnem intuicyjnie, znaczeniu. Lecz prof. Znaniński chętnie konstruuje samodzielnie nowe znaczenia terminów potocznych, takich naprzykład, jak czynność lub działanie, i tem bardzo utrudnia czytelnikowi dokładne rozumienie intencji autora. Swoistość terminologii łączy się zresztą u autora z wyraźną dającą się w toku dzieła wyczuć uczuciową tendencją do przeciwstawiania się wielu przyjętym potocznie i uznanym założeniom i mniemaniom. Prof. Znaniński jest filozoficznym idealistą, a jak wiadomo, łączy się z tem stanowiskiem silny negatywizm, czy też przekorność w stosunku do naiwnych mniemań potocznych. Swą niezgodność z mniemaniami potocznymi autor chętnie podkreśla nawet bardzo jaskrawo, nazywając je nawet niedorzecznościami. Lecz wyjaskrawiwszy nader ostro przeciwieństwo, często nadaje własnym twierdzeniom charakter zbyt paradoksalny, aby chciał i mógł ich w tej formie bronić. Wtedy, rzecz zrozumiała, cofa się, czyniąc przeciwnikowi koncesje, idące często tak daleko, że żalować wypada, iż zwalczane poglądy nazwał poprzednio niedorzecznościami, — żalować i dlatego, że to modyfiko-

wanie poglądu w toku ekspozycji niesłychanie utrudnia ustalenie dokładne właściwego brzmienia tez autora. A trudność tę zwiększa jeszcze jedna okoliczność, a mianowicie zbyt mało zwięzły tok ekspozycji. Krótkie streszczenie angielskie, podane na końcu książki, jest często ułatwiającym interpretację komentarzem tekstu, choć rzecz winna raczej mieć się odwrotnie.

Mówilem tu tak obszernie o tej formalnej niejako stronie książki, chcąc zgóry uprzedzić czytelnika, że liczę się poważnie z możliwością, iż tę lub ową tezę autora interpretowałem mylnie i że, być może, ku wielkiemu memu zadowoleniu różnica opinii mojej i opinii autora jest tylko pozorna: wynika z odmiennej, bardzo różnej, terminologii. — Poza tem zależy mi jeszcze bardzo na jednym: pragnąłbym bardzo, aby nieliczni polscy pracownicy na polu socjologii mogli wytworzyć wspólny teren pracy; do tego zaś, jak słusznie stwierdza prof. Znanięcki, potrzebny jest niezbędnie ów k o n t a k t społeczny, niemożliwy w dziedzinie pracy intelektualnej bez tego kardynalnego warunku porozumiewania się, jakim jest jednoznaczna terminologia. Chciałbym właśnie, aby wywody moje przyczyniły się choć w małej mierze do uzgodnienia terminologii.

Na sprawę jasności i precyzję pojęć musiałem położyć silny akcent i dlatego, że *Wstęp do socjologii* zakresem swych dociekań wchodzi właśnie całkowicie w tę sferę badań, którą nazywam analizą pojęć podstawowych, lub, jeśli kto woli, ontologią. Uważam to za wielką zasługę prof. Znanięckiego, że takim właśnie wstępem poprzedził zapowiedziane swe kilkotomowe dzieło o socjologii, w nauce bowiem, która z natury swojej musi szeroko operować terminami potocznymi, taka analiza wstępna jest niezbędna. Żałować tylko wypada, że, słusznie postawiwszy sobie zadanie, nie przeprowadził konsekwentnie jego wykonania: że w analizę tę nie włożył tej, powiedzmy, pedanterji, której wymaga sam charakter zagadnień. Analiza pojęć, to praca miniaturzysty; nie można pracować tu z tym rozmachem, z jakim maluje się freski.

Przejdźmy teraz do rozważania najważniejszych tez autora. *Wstęp* podzielił autor na dwie mniej więcej równe części, z których pierwszą poświęca ustaleniu ogólnych założeń poznawczych wiedzy humanistycznej, w drugiej zaś omawia, co jest przedmiotem socjologii, jakie są jej zadania, na jakich materiałach się opiera, jakie są elementy i prawa socjologiczne, jaki charakter ma rozwój społeczny. Część pierwsza jest tedy raczej wstępem filozoficznym, w drugiej zaś dopiero zostają omówione wstępne, przygotowawcze zagadnienia socjologii. Niepodobna tych części od siebie oddzielić: jakkolwiek też chciałbym tu raczej rozważyć poglądy autora jako socjologa, muszę z konieczności zająć się przedewszystkiem ogólnymi jego założeniami filozoficznymi.

O ile moja interpretacja poglądów prof. Znanięckiego jest trafna, najistotniejszą myślą całego jego systemu filozoficznego jest przeświadczenie o głębokiej różnicy, a może nawet — wręcz przepaści pomiędzy światem natury i kultury. Pierwszy — to świat, powiedziałbym, spetryfikowanych powtarzalności, świat rutynicznego realizowania się niezłomnych praw przyrodniczych, drugi — to świat, któremu kształty nadaje „współczynnik humanistyczny“ (str. 33), polegający na tem, że „przedmiot kulturalny“, aby zaistnieć, musi być przedmiotem czyjejś świadomości lub zgola czyjegoś świadomego działania. Ten drugi świat, to świat t w ó r

c z e g o, oryginalnego czynu, czynu, — który w swem pierwszym powstaniu i pierwszym przebiegu jest czemś zupełnie nowem, co przerywa łańcuch rutynicznej przyczynowości, a może nawet nad tym łańcuchem, jak rzecz *toto genere* różna, się unosi. W tym świecie swobodnie porusza się czyn twórczy, i rzeczą beznadziejną jest usiłowanie teoretyczne, by wykazać, że jest jakaś zależność pomiędzy światem przyrody a tą sferą twórczego czynu, światem kultury. Taka jest, jak mi się zdaje, najgłębsza myśl autora, a wyrosła ona z uczuciowego pragnienia, aby obronić czyn twórczy przed zakusami sięgającej po niego zasady powszechnej praworządności: chodzi tu ni mniej, ni więcej, tylko o nadanie, czy raczej o zachowanie sensu życia.

Pragnienie to jest zupełnie zrozumiałe i głęboko tkwi w naturze człowieka. Było ono zawsze jednym z głównych motorów refleksji filozoficznej. Lecz refleksja ta iść może dwiema różnymi drogami. Może, szukając wyjścia z sytuacji, którą stwarza uznanie pewnych praw niezmiennych, bądź podważyć przeświadczenie o powszechnem tych praw obowiązywaniu, bądź też, do nich się przystosowując, szukać w ich ramach miejsca dla twórczego czynu. Przytem metoda owego podważania może być różna. Można do praw przyczynowych zastosować wyższy, precyzyjniejszy sprawdzian logiczny, można starać się ustalić, że w obecnem sformułowaniu prawa te nie są dość jasne i ścisłe, i, precyzując je, wykazać, że teraz albo ich ścisłość i słusność jest wątpliwa, albo że w precyzyjnym sformułowaniu sfera ich obowiązywania jest ograniczona i wobec tego poza ich działaniem pozostaje jeszcze sfera wolności. Ta metoda jest najbardziej wskazana, bo jeśli nawet nie doprowadziłaby do zaspokojenia naszego pragnienia, posunie w każdym razie rozwój nauki. Lecz jest inna metoda: łatwiejsza, i dlatego bardziej praktykowana. Rzeczą łatwiejszą, niż precyzowanie terminów i zdań, jest wprowadzenie w konstrukcje myślowe jałowej mglistości i płynności, w której zacierałoby się ostre poczucie pewnych konieczności i utwierdzało przeświadczenie zgodne z naszym pragnieniem. I tą metodą właśnie posługuje się prof. Znaniecki.

Skonstruować pojęcie kultury i natury tak, aby uniezależnić pierwszą od praw drugiej; ustalić pojęcie działania tak, aby możliwy był czyn, nie uwarunkowany przez konieczne poprzedniki; do tego celu odpowiednio elastycznie ująć pojęcia przyczyny i warunku, — oto droga, po której autor *Wstępu* kroczy ku umocnieniu pozycji twórczego czynu. Czy jest to droga naprawdę twórcza? Poniżej podane rozważania mają dać na to pytanie odpowiedź.

Do uniezależnienia kultury od natury dwoma posługuje się środkami autor *Wstępu*. Chce przedewszystkiem zakwestjonować wyższość poznania, dotyczącego przyrody, ponad poznanie, dotyczące świata kultury. „Żadne z uogólnień naszej obecnej wiedzy przyrodniczej, opartej na obecnym stanie świata, nie może być prawdziwem w odniesieniu do dalszej przeszłości. Nasze teorie astronomiczne, fizyko-chemiczne, geologiczne, biologiczne stosują się do natury w ciągu tego tylko względnie krótkiego okresu, gdy rozważane w nich cechy rzeczywistości nie uległy zasadniczym zmianom“. „Tak więc wszelkie próby genetycznego wyjaśnienia przedkulturalnej ewolucji naszego systemu planetarnego, ziemi, życia organicznego, ś w i a d o m o ś c i [moje podkreślenie] są beznadziejnie pozbawione

objektywnej ważności, o ile uroszczenia odnoszą się do tego, co istotnie było.“ (str. 42). — Myślę, że na takie ujęcie rzeczy nie zgodziłby się nietylko Laplace, poszukujący owej uniwersalnej formuły, lecz i każdy przyrodnik, skromnie szukający częściowych prawidłowości we wszechświecie. Wprawdzie przyrodnik, nauczony przez dziejowe doświadczenie, wie, że wzór, którym on właśnie w tej chwili operuje, nie jest może ostatecznym sformułowaniem prawdy, lecz postuluje, że takie ostateczne sformułowanie istnieje i że w pewnej mierze nawet w badaniach człowieka jest osiągalne. Astronomowie z dużą dokładnością obliczają wstecz zdarzenia bardzo odległe i mają uroszczenia do tego, że ustalają fakty, które istotnie były. Jeżeli zaś mają jakąś ostrożną wątpliwość, to tylko z tej racji, że nigdy nie mogą być pewni, czy cały zakres różnorodnych faktów wyczerpali w swej obserwacji i czy prawa, któremi operują, nie będą wymagały jakiejś korektury. Ale ich wątpliwości inne mają źródło, niż pewność prof. Znanieckiego. Oni zakładają jako rzecz podstawową niezmienną samą naturę, jej cech i prawidłowości, i tylko ze słuszną ostrożnością nie chcą przesądzać o tem, czy znany im jest całokształt faktów. Prof. Znaniecki natomiast twierdzi, że cechy samej rzeczywistości zmieniają się zasadniczo z biegiem czasu, i przytem zmieniają się nie według immanentnej, w nich tkwiącej prawidłowości, lecz w zależności od zmian, jakie zachodzą w poznającej istocie ludzkiej, która nie jest strukturą niezmienną, lecz zależy właśnie od owego świata kultury, który nauki przyrodnicze faktycznie chciały uzależnić od natury. Ten pogląd autora wydałby się niewykształconemu filozoficznie przyrodnikowi dziwny i niezwykły. Czytelnik, znający nowsze kierunki filozofji, dostrzega z łatwością, że prof. Znaniecki, mimo iż słusnie nazywa stanowisko idealistyczne naukowo bezpłodnym (str. 41), jest właśnie idealistą, który z podziwu godną bezwzględnością wysnuł do końca konsekwencje, z idealistycznego założenia płynące. Idealizm w ujęciu kantowskim, powiedzmy, zakładał, że struktura podmiotu poznającego jest niezmienna i że podmiot ten produkuje obraz świata — „rzeczywistość“ — według pewnej określonej prawidłowości. To mu wystarczyło, chodziło mu bowiem o znalezienie teorjopoznawczych przesłanek dla poznania przyrodniczego, które postuluje niezmienną prawidłowość w naturze. Prof. Znaniecki natomiast liczy się z tem, że natura podmiotu poznającego może ulegać zmianie, a ponieważ od poznania zależna jest według idealizmu rzeczywistość, więc autor czyni sceptyczne zastrzeżenia, które powyżej przytoczyłem *in extenso* (str. 40).

Nie będę tu poddawał krytyce ogólnych założeń idealizmu filozoficznego, nie miejsce tu bowiem na zasadnicze filozoficzne dyskusje. Zwrócę jedynie uwagę na pewną niekonsekwencję autora, która ściśle się łączy z omawianą tu sprawą poznania przyrodniczego i humanistycznego. Zaopatrując bardzo radykalnymi restrykcjami poznanie przyrodnicze, autor żywi nieusprawiedliwione ze swego stanowiska zaufanie do poznania humanistycznego. Humanistycie „dana jest nietylko teraźniejszość, ale i przeszłość, ponieważ ludzie, żyjący w przeszłości, udzielają mu swoich doświadczeń za pośrednictwem zabytków historycznych... Jego znajomość przeszłości, to nie konstrukcja pojęciowa, lecz empiryczna wiedza o tem, co faktycznie było.“ (str. 39). Gdyby nawet nie komplikować sprawy własnymi zastrzeżeniami autora, sprawa poznania historycznego nie przed-

stawia się tak prosto, jak ją ujmuje autor *Wstępu*, który nie liczy się zupełnie z trudnościami krytyki historycznej i nie bierze pod uwagę faktu, że tak zwany „zabytek“, jakiś przedmiot fizyczny o pewnej postaci zewnętrznej, staje się świadectwem przeszłości dopiero na podstawie złożonego często rozumowania, w którym głównymi przesłankami są prawa przyrodnicze. I rekonstrukcja faktów przeszłości tylko pod warunkiem obowiązywania tych praw może rościć pretensje do mniejszego lub większego prawdopodobieństwa. — Gdybyśmy zaś próbowali stanąć na gruncie teorii zmienności podmiotu poznającego, to sprawa poznania historycznego skomplikowałaby się jeszcze bardziej. Wyobraźmy sobie, że mamy przed sobą „zabytek“ *Z* z chwili czasu tak odległej, iż prawa przyrodnicze z chwili interpretacji nie stosują się, zgodnie z tezą autora, do chwili powstania zabytku *Z*. Trzebaby wówczas albo znać prawa (musialyby tedy przedewszystkiem istnieć) „przekładania“ zjawisk chwili odległej na język teraźniejszości, a więc prawo przekształcania się rzeczywistości, albo zrezygnować z interpretacji.

Większe jeszcze wątpliwości budzi mojem zdaniem ujęcie we *Wstępie* stosunku natury i kultury. Całe odnośne wywody autora, których przedmiotem jest wykazanie, że kultura nie zależy od natury, są oparte na systematycznym pomieszaniu natury, jako zespołu niezależnie od naszej świadomości istniejących rzeczy i zjawisk, i ujęcia natury, jej obrazu w świadomości poznającego. „Gdy rzemieślnik wyrabia stół, stół ten pozostaje tym samym przedmiotem od początku do końca jego działalności: i wtedy, gdy jest dopiero zamierzony, „wyobrażony“, i wtedy, gdy został narysowany, i wtedy, gdy jest rozpoczęty w drzewie...“ (str. 58). Cytata powyższa daje, jak myślę, dostateczną ilustrację tego, jak autor uchyła się od różniczenia rzeczy uderzająco różnych, gdy chodzi o przeprowadzenie tezy idealistycznej i jej konsekwencji. Nie są tak konsekwentne wywody autora, gdy chodzi o wpływ natury na kulturę. Wprawdzie dominującym twierdzeniem jest zaprzeczenie wpływu przyczynowego zjawisk natury, np. biologicznych, na zjawiska kulturalne, (str. 51). Mimo to, słusznie zupełnie, choć zawsze w otocze omówień i zastrzeżeń, autor przyznaje, że np. „historja i etnologja stwierdzają nieraz interesujące zbieżności pomiędzy pewnemi warunkami naturalnego otoczenia a pewnemi własnościami kultury“, by znów na następnej stronie stwierdzić, że „jednoznaczne określenie stosunku pomiędzy temi serjami jest niemożliwe z przyrodniczego stanowiska.“ Na innym miejscu znowu słusznie mówi autor o tem, że doniosła jest rola, „którą zjawiska, składające świat materialny, odgrywają w życiu kulturalnem“ (str. 46). „Krytyka nasza, dodaje jednak, odnosić się będzie do tej formy teorii środowiska, która uznaje p r z y c z y n o w e uwarunkowanie zjawisk kulturalnych przez zjawiska naturalne.“

Zestawienia powyższych przytoczeń dają wyraźne pozory sprzeczności, o ile nie weźmiemy pod uwagę swoistego ujęcia związku przyczynowego, którem operuje autor *Wstępu*. Operując bardzo często pojęciem przyczyny i opierając ważne dla swej konstrukcji wnioski na rozważaniach, dotyczących związku przyczynowego, autor nie przeprowadza nigdzie szczegółowej i precyzyjnej analizy tego związku. Można jednak na podstawie wywodów autora zrekonstruować pojęcie tego związku, którcm operuje. A więc przedewszystkiem autor uznaje możliwość powiązania przy-

czynowego tylko pomiędzy zjawiskami jednorodnymi: fakt mechaniczny może być przyczyną innego mechanicznego (str. 47), zjawisko kulturalne może być wywołane przez zjawisko kulturalne tylko, fakt społeczny tylko może być przyczyną faktu społecznego (str. 423). Tam, gdzie autor mówi o zależności zjawisk niejednorodnych, poprzestaje na ustaleniu, że jedno zjawisko jest warunkiem drugiego, nadając najwyraźniej wyrazowi „warunek“ znaczenie szersze dużo, niż terminowi „przyczyna“, niejednokrotnie bowiem stwierdza, że coś jest warunkiem, zaprzeczając, aby było przyczyną. — Drugą rzeczą charakterystyczną dla pojęcia związku przyczynowego w ujęciu autora jest to, że autor szuka związków przyczynowych pomiędzy oderwaniami od całokształtu zjawisk zdarzeniami, zamiast brać pod uwagę, że poszczególne zjawiska mogą stanowić tylko część składową tego, co nazywamy przyczyną czy też skutkiem. Gdybyśmy chcieli, odrzucając zastrzeżenie: *ceteris paribus*, mówić o związku przyczynowym zdarzenia *a* i *b* tylko o tyle, o ile po *a* bez względu na inne warunki nastąpi *b*, to istotnie musielibyśmy pójść w ograniczeniu „władzy“ przyczynowych praw jeszcze dalej, niż autor, i łatwo byłoby niezmiernie wywindykować w ten sposób prawa dla twórczego czynu. Myślę jednak, że małe byłyby korzyści z takiego zwycięstwa (por. między innymi str. 414 i str. 90—91).

Brak ścisłej i skrupulatnej analizy związku przyczynowego, a przynajmniej wyraźnego ustalenia jednego, choćby nawet zgruba znaczonego znaczenia terminu „przyczyna“, daje się szczególnie odczuć w rozważaniach, dotyczących działania i twórczości.

Wywody, dotyczące tego ostatniego tematu, nastroją najpoważniejsze trudności interpretacyjne i wzbudzają zastrzeżenia. „Zasadniczym elementem wszelkiej działalności... jest czynność. Czynność, w przeciwieństwie do przedmiotu, nie może być dana. Danymi są jedynie jej wyniki... Mimo to czynność jest zjawiskiem empirycznym, może być doświadczana. Doświadczeniem czynności jest jej wykazywanie. Innego doświadczenia czynności być nie może.“ (str. 103). Przyznaję, że nawet na zasadzie kontekstu nie umiałem upewnić się co do intencji myślowej, którą autor chciał w przytoczeniu tem wyrazić. Co znaczy słowo „dany“ i jaka jest różnica pomiędzy „dany“ a „doświadczany“ — tego nie potrafiłem sobie wyjaśnić. — W rozważaniach, dotyczących działania, spotykamy się też z innym niejasnym, a bardzo ważnym dla kontekstu terminem: „idealny“. Z niektórych zwrotów wynikałoby, że prof. Znaniecki rozumie ten termin jako równoważnik do terminu „myślowy“, a więc jako gatunek do „zdarzenie psychiczne“. „Każda czynność jest przebiegiem idealnym, myślowym“ — powiada prof. Znaniecki (str. 104). Czy to nie pozostaje w sprzeczności z tem, co autor mówi cokolwiek wyżej (str. 102)? — nie mam pewności. Tam bowiem twierdzi, że „działalność, psychologicznie pojęta, nie jest działalnością, lecz realnym procesem“. W innych znowu miejscach autor nadaje, jak się zdaje, terminowi „idealny“ znaczenie bliskie temu, które mu nadajemy, mówiąc o przedmiotach idealnych, o idealnych układach i t. p.

W wywodach swoich o działaniu przeprowadza autor swą tęzę centralną, że „na początku był czyn“. „Działalność empiryczna jest czemś pierwotniejszym, teoretycznie i praktycznie, od wszelkich poszczególnych systemów rzeczywistości i od nich niezależnym.“ (str. 107). Już sama ta

teza wywołuje jak najdalej idące wątpliwości, jeśli przez „system rzeczywistości“ rozumieć nie „obraz“, „konceptję rzeczywistości“, lecz to, co tego obrazu i tej koncepcji jest przedmiotem. Ale jak już widzieliśmy, autor zasadniczo uchyła się od tej dystynkcji, co go doprowadza do twierdzeń, które wprawia niewątpliwie w zakłopotanie niejednego uważnego czytelnika: bałbym się, naprzykład, mówić z autorem o „granicy, gdzie formy matematyczne zastępują wszelką treść realną, i świat materialny przechodzi w idealny“, myślę bowiem, że zawsze w interesie nauki i życia jest widzieć ostro istniejące kontury rzeczywistości. — Takim „granicznym“ przedmiotem, który stanowi ważne ogniwo, jako mediator działania, jest dla prof. Znanieckiego organizm człowieka działającego. „Organizm jest przedmiotem materialnym, jednakowoż jest nie tylko przedmiotem materialnym“ (str. 110). W myśl idealistycznego zniesienia różnicy pomiędzy ujęciem przedmiotu a samym przedmiotem, organizm jest jednocześnie „kompleksem zupełnie swoistych, nie dających się z niczem porównać treści.“ Byłbym skłonny podpisać pogląd autora u organizm, jako na przedmiot nie tylko materialny, gdyby przez owe „swoiste treści“ rozumiał stronę psychiczną biologicznej jednostki. Istotnie, gdy chodzi o podmiot działający, o osobę, to, jak to już podkreślałem na innym miejscu, należy ją rozpatrywać jako jednostkę psychofizyczną. Lecz przez owe „treści“ rozumie autor raczej, sądząc z innych kontekstów, wrażenia organiczne i obrazy swego własnego ciała. Treści te mają niewątpliwie i wielkie znaczenie dla naszego ujęcia naszego ciała i jego stosunku do rzeczywistości zewnętrznej, lecz nie leżą na tej płaszczyźnie rozważań, na której znajdujemy się w tej chwili.

Nie została dalej wyjaśniona przez autora ważna dla teorii działania sprawa stosunku zjawisk psychicznych i fizycznych. „Myśl, działając na niematerialną stronę ciała, modyfikuje jego stronę materialną, i odwrotnie, przedmioty zewnętrzne, oddziaływając na materialną stronę ciała, modyfikują jego stronę niematerialną“ (str. 111). Gdyby nie powyższe wątpliwości co do „niematerialnej strony ciała“, skłonny byłbym uważać tę cytataę za sformułowanie zasady interakcjonizmu. Polemika autora jednak na innym miejscu książki i ostry protest przeciw samej myśli wiązania jakąś prawidłowością świata psychicznego i fizycznego nie pozwala mi interpretować tego zdania z zupełną pewnością. Tymczasem rzecz ta dla teorii czynu jest niewątpliwie ważna.

Analiza twórczego czynu jest punktem środkowym rozważań autora. „Wobec tego, że każda czynność jest idealną i każda wywiera wpływ realny, jasnym jest, że każda czynność jest t w ó r c z ą. Wprowadza ona bowiem do świata realnego coś nowego, co nie jest realnie uwarunkowane przez przeszłość świata, lecz jedynie przez własny jej przebieg idealny. Ten dedukcyjny wniosek uzyskuje z łatwością indukcyjne potwierdzenie“... (str. 113). Zdaje mi się jednak, że ten wywód nie ma tej oczywistości, jaką zazwyczaj posiadają wywody dedukcyjne, operuje w nim bowiem autor pewnymi ważnymi terminami, których poprzednio nie wyjaśnił. Najbardziej dotkliwie odczuwamy brak bliższych wyjaśnień co do terminu „twórczy“. Gdybyśmy chcieli zanalizować wszystkie możliwe odcienie znaczeniowe tego terminu, mielibyśmy wdzięczne pole do dociekań semantycznych. W jednym znaczeniu tego terminu każde najdrobniejsze zdarzenie

jest przebiegiem twórczym, przynosi bowiem to, czego jeszcze nigdy nie było. W innym znaczeniu, najdalszem od pierwszego, nie będzie twórczy nawet czyn artysty, który niewolniczo naśladował dzieło jakiegoś poprzednika. Tutaj, jeśli się nie mylę, autor rozumie czyn, nie mający przyczyny dostatecznej. Że czyny takie istnieją, tego autor uprzednio nie dowiódł, nie wykazał bowiem, aby ów „przebieg idealny“ był niezależny od poprzedników przyczynowych. Nie mógł nawet wykazać, jak bowiem widzieliśmy poprzednio, operuje nieprzydatnym pojęciem przyczyny.

Nie będę się dłużej zatrzymywał na analizie wątpliwości, które powstają przy starannem przemyśleniu *Wstępu do socjologii*, gdybyśmy bowiem chcieli szczegółowo omówić wszystkie zagadnienia, rozważane przez autora, recenzja niniejsza musiałaby przekroczyć ramy, wyznaczone przez czasopismo. Zaznaczę tylko na zakończenie, że wszystkie trudności teoretyczne, które prof. Znaniecki spotyka na swej drodze, mają jedno wspólne źródło, a jest nim nieplodny i nie dający się uzgodnić z doświadczeniem i ze zdrowym rozsądkiem konsekwentny aż do zbytku idealizm filozoficzny („kulturalizm“ autora jest wszak tylko najbardziej ryzykowną i radykalną odmianą idealizmu).

A w trudności te wchodzi autor *Wstępu* mojem zdaniem, zupełnie niepotrzebnie. Według mego mniemania, które gotów jestem poprzeć kiedyś indziej obszerniejszem uzasadnieniem, dla rozważań socjologii podstawowe kwestje filozoficzne małe mają znaczenie i raczej komplikują, niż wyjaśniają sprawę. Socjologja zajmuje się badaniem struktury grup i działaniem człowieka i musi hrać człowieka takim, jakim go ujmuje zdrowy rozsądek i potoczna refleksja działającego. Podobnie jak dla teoretyka sztuki obojętną zupełnie jest rzecz, czy warstwa farby olejnej na płótnie jest kompleksem nierozkładalnych atomów, czy też elementów jeszcze drobniejszych, układających się w atomy, tak samo dla teoretyka życia zbiorowego najzupełniej obojętną jest rzecz, czy subtelni filozofowie myślą, iż świat powstał z myśli lub z czynu, czy też myśl i czyn wyłoniły się w już gotowym wszechświecie. Przenoszenie beznadziejnych, a czasem beztreściwych sporów filozoficznych na teren nauk specjalnych jest rzeczą wyraźnie szkodliwą dla tych ostatnich, i zadanie badaczy specjalistów musi polegać raczej na usuwaniu tych sporów, na zneutralizowaniu ich znaczenia dla swych specjalności. Badacz naukowy potrzebuje jak najsubtelniejszego aparatu takich pojęć podstawowych, bez których nie może się obyć żadne dociekanie: do takich pojęć należy, na przykład, pojęcie związku przyczynowego. Jeżeli natomiast zechce rozważania świata zewnętrznego przetłumaczyć na język takiej filozofji, w której wogóle niema miejsca dla tego świata, to tylko utrudni lub uniemożliwi sobie pracę w dziedzinie swych badań specjalnych! Kto porówna *Wstęp* prof. Znanieckiego z jego żywo, jasno i interesująco napisaną książką o *Upadku cywilizacji zachodniej*, ten, zdaje mi się, przekona się o słuszności mego mniemania.

Jak już powiedziałem na początku, *Wstęp* jest poświęcony w całości analizie pojęć podstawowych i zagadnieniom metodologicznym. Druga część tomu traktuje specjalnie o pojęciach socjologicznych oraz zajmuje się wyznaczeniem zadania i metody socjologii. I na tej części specjalnej w niekorzystny sposób odbijają się wpływy i konsekwencje tego, że po-

jęcia logicznie wcześniejsze ustalone zostały bez niezbędnej precyzji i jasności.

Niewątpliwie ważne jest dla socjologii pojęcie osobowości, indywiduum ludzkiego, jakkolwiek bowiem określimy zadanie i przedmiot socjologii, to jednak będzie się chyba ona zajmowała, między innymi, osobami czy indywiduami. Prof. Znaniecki uznaje to najzupełniej, wyznaczając osobny dział socjologii, traktujący o indywiduum społecznym. Że zagadnienie osobowości jest trudne, przyznaje, a w niemałej mierze utrudniły je próby wyjaśnienia. Lecz wywody autora również nie przyczyniły się do usunięcia trudności, ale przeciwnie, jakby mi się zdawało, powiększyły je znacznie. Oto przede wszystkim według autora „osobnik ludzki nie stanowi zamkniętej w sobie psychiki lub przebiegu doznań, — doznanie bowiem nie jest kopją przedmiotu, lecz nieodłącznym jego składnikiem, — osobnik nie da się pojąć jako jednostka biologiczna, żyjący i świadomy organizm, — organizm bowiem nie jest podłożem... czynności osobnika, do którego należy, lecz przedmiotem tych czynności“ (str. 170). Już ta cytata wywołuje poważne obawy co do tego, czy uda się autorowi po tych negatywnych a problematycznych stwierdzeniach stworzyć pozytywną konstrukcję osobowości. Dalsze wyjaśnienia nie usuwają bynajmniej tych obaw. „Istoty (osobnika świadomego) szukać musimy gdzieindziej — w przeciwstawieniu nadaktualnej „objektywności“ zarówno przedmiotów realnych, jak myśli, oraz aktualnej „objektywności“ doświadczeń, zarówno aktów, jak danych“ (str. 171). Ponieważ autor nigdzie nie próbuje wyjaśnić ściśle terminów „subiektywność“ i „objektywność“, poniczając dalej nierozwiązalną trudność interpretacyjną przedstawia termin „dany“ (por. powyżej str. 89), więc przytoczone zdanie nie posuwa nas w rozumieniu rzeczy tak ważnej, jak to, czym jest osobnik świadomy. Cokolwiek dalej (str. 172) stwierdza autor, że „nie wiemy, c z e m j e s t o w o o g n i s k o a k t u a l n o ś c i“, że jest to „jedyne, nieporównane, niepowtarzalne i n d y w i d u u m“. Jakkolwiek nie jest to bynajmniej wyjaśnienie, ani tem mniej definicja osobowości, lecz tylko stwierdzenie, że pojęcie osobowości autor przyjmuje bez definicji jako pojęcie pierwsze, chętnie zgodziłbym się z autorem, w początkowym bowiem stadium badania rzecz to nieunikniona przyjmować za pierwsze pojęcia, które późniejsze badanie rozłoży i zdefiniuje. Nie mógłbym natomiast zgodzić się na to, co mówi dalej (str. 174), że „osobowość jest płynnym chaosem“, wydaje mi się bowiem, że to ostatnie pozostaje w sprzeczności z ową swoistością i niepowtarzalnością osobowości. Rezygnując w ten sposób z teoretycznego ujęcia osobowości, autor uznaje jednak za możliwe ujęcie pewnych jej stron, które nazywa „indywiduami“, lecz i w tej materji nie daje pojęć precyzyjnych, mieszając najwidoczniej pojęcie indywidualności z różnym od niego pojęciem t y p u (str. 372-383). I tu przejawiają się wpływy tego konsekwentnego idealizmu autora: oto bowiem indywiduum nie jest w grupie „tem wszystkim, co w jego osobowości wykryć może teoretyk, fizjolog, psycholog lub filozof — lecz jedynie tem, za co uznają inni członkowie“ grupy; „ta zaś charakterystyka społeczna jego osoby i społeczne znaczenie jego stanowiska mogą się zmieniać niezależnie od niego“ (str. 248). Jest w tem twierdzeniu pewna myśl słuszna niewątpliwie — lecz trzeba ją wypowiedzieć ściśle, z całym szeregiem omówień; z owem słowem „jedynie“, na którym autor stawia, jak

się zdaje, mocny akcent logiczny, twierdzenie jego, przemyślane do końca, postawiłoby nas wobec trudności różnorodnych, które czytelnik sam zapewne zauważy z łatwością. Autor osłabił też owo słowo „jedynie“ już na następnej stronie, stwierdzając, że znaczenie indywiduum jest jednak zależne od samego indywiduum.

Zdaje mi się, że wskutek niejasności pojęcia indywiduum i pojęcia czynności nie może we *Wstępie* osiągnąć precyzji również pojęcie „grupy społecznej.“ Autor mówi, że jest to „specjalny obiektywny układ czynności społecznych i osobników, zdeterminowanych nawzajem przez pewne specyficzne stosunki, jako indywidua społeczne“ (str. 199). I ta definicja następuje poważnie trudności, przytem nietylko interpretacyjne, lecz i rzeczowe. Interpretacyjne leżą tu w dalszym ciągu w terminach „osobnik“, „indywiduum“, „czynność“ i „obiektywny“, sposób ich używania bowiem na stronicach następnych wskazuje, że zachodzi prawdopodobieństwo, iż autor odstąpił od znaczeń, poprzednio ustalonych. „Osobowości świadome, o ile się zbliżają do obiektywności bezwzględnej, utożsamiają się ze sobą“, twierdzi autor (str. 200 i 201), przedtem zaś mówił o niepowtarzalności i nieprzewidywalności osobowości. Trudności rzeczowe powstają tu wskutek zestawienia na jednej płaszczyźnie i prostego połączenia słówkiem „i“ w jeden układ ludzi i czynności. Myślę, że czynność nie ma samodzielnego bytu, że istnieją tylko ludzie, którzy to lub owo czynią. Dlatego też nie mógłbym się zgodzić z autorem na to, że „grupa, jako ustrój społeczny, nie jest syntezą jednostek, lecz tylko syntezą czynności“ (str. 394). Nie mogą stanowić samodzielnej syntezy rzeczy, nie mające samodzielnego istnienia.

Z tem wyodrębnieniem jako rzeczy samodzielnej układu czynności łączy się u prof. Znanieckiego rzecz najistotniejsza dla naszych rozważań, a mianowicie samo wyznaczenie granic badania socjologii. Autor słusznie zupełnie stwierdza, że nie każda czynność, wykonywana w grupie, a nawet wykonywana zbiorowo, ma przez to samo charakter czynności społecznej: to, że ludzie wierzą, na przykład, w ten sam dogmat, nie nadaje wierzeniu jako takiemu charakteru społecznego. Wychodząc z tej słusznej obserwacji, autor wyraźnie oddziela czynności nie-społeczne od społecznych, do których chce zaliczać tylko działania, mające wyraźną intencję wywołania zmiany w świadomym ustosunkowaniu się przedmiotu działania; „zamiarem czynności społecznej jest pewne zmodyfikowanie danego jej indywiduum jako istoty świadomej, pewne przekształcenie danej jej grupy“ (str. 245). Te czynności chce autor nietylko wyodrębnić jako oddzielną klasę, w czem miałby zupełną słusność – z zastrzeżeniem, że klasę tę wyznaczył zbyt wąsko, lecz ją jedną tylko chce uczynić przedmiotem socjologii. Zbyt wąskie jej wyznacza granice, bo w myśl jego ujęcia poza klasą czynności społecznych pozostają takie zdarzenia, jak akty prawne, jak świadome działanie przestępne, jak transakcje ekonomiczne (str. 246), których istnienia warunkiem jest istnienie grupy i w których intencji leży najwyraźniej wpływ na strukturę grupy. Zapomina autor dalej o tem, iż wprawdzie fakty, że A wierzy w dogmat *d*, że B wierzy w to samo, że C wyznaje to samo, i t. d., — że każdy z tych faktów z osobna nie jest społeczny w swej istocie, lecz że fakty, iż wszyscy ci ludzie wierzą w to samo, ma niesłychanie do-

niosłe znaczenie dla struktury grupy i musi być w socjologii zbadany i wyjaśniony. I nie jest to u autora prostym zapomnieniem, czy przeoczeniem: przeciwnie, wynika z zasadniczego, wyraźnego założenia, iż niema czynności i przedmiotów zbiorowych (str. 268); autor najwyraźniej nie zgadza się na pogląd, „jakoby łączenie się rozbieżnych indywidualnych aktów lub doświadczeń w nadindywidualną całość było zasadniczą cechą zjawisk społecznych, kluczem, otwierającym drzwi do socjologicznych badań“ (str. 269). Tymczasem w rzeczywistości prawdą jest właśnie to, czemu się prof. Znaniecki z taką siłą i stanowczością, tak jasno i niewątpliwie przeciwstawia: wszystkie „przedmioty i zjawiska społeczne“ są specyficznymi układami, „nadindywidualnymi całościami“ w terminologii autora, i gdy zechcemy je odrzucić, przejść nad nimi do porządku, nie znajdziemy w całej nieogarnionej rzeczywistości nic, prócz przedmiotów i zjawisk fizycznych i psychicznych. Niema bowiem jakiegś specjalnej płaszczyzny istnienia społecznego. Przeocząc więc właściwy charakter faktów społecznych, autor ni mniej, ni więcej, tylko zasadniczo, u samego punktu wyjścia uniemożliwia sobie zbudowanie socjologii. To też cieszyć się należy, że autor nie trwa konsekwentnie przy przytoczonych negacjach i w toku swych rozważań uznaje za społeczne fakty, które nie są niczem innym, jak układami. Wszak zanik niewolnictwa, który jako przykład faktu społecznego przytacza, nie jest niczem innym, jak zestawieniem uporządkowanych w pewien układ czasowy faktów indywidualnych (str. 311).

Gdyby zaś nawet słuszna była teza prof. Znanieckiego, iż istnieją jakiegś nieprzywiedlne zjawiska społeczne, to i tak koncepcja nauki nomotetycznej (a więc wyjaśniającej, jaką ma być socjologia według autora), któraby ograniczała się w swych wyjaśnieniach i prawach do wiązania z sobą tylko owych zjawisk społecznych, taka koncepcja nie dałaby się przeprowadzić, wbrew temu bowiem, co twierdzi autor, iż przyczyną faktu społecznego może być tylko fakt społeczny (str. 423), wszystkie zdarzenia w świecie powiązane są w jeden spłot przyczynowy. Pogląd autora na zadania i przedmiot badań socjologii ma źródło w tem niejasnym i raczej niewygodnym, przez brak wszelkiego zastosowania, pojęciu związku przyczynowego, którem autor operuje. W tem pojęciu mają też źródło inne sporne jego poglądy: ten, naprzykład, jakoby powstanie zjawiska nie miało żadnej przyczyny, jakoby związek przyczynowy zachodził tylko pomiędzy z m i a n a m i zjawisk (str. 408, 269, 335), jakoby zjawisko nowe nie miało przyczyny przy pierwszym swem pojawianiu się (str. 335), jakoby wyjaśnienie genetyczne faktów było przeciwstawieniem, nie zaś opierało się na pojęciu związku przyczynowego.

Nie będę już wchodził w szczegóły książki prof. Znanieckiego, bogatej w myśli oryginalne i niejednokrotnie zachęcającej do dyskusji. Szkoda bardzo, że filozoficzne przesłanki tak skomplikowały i przesłoniły naukową stronę dzieła. W rozdziałach o działaniu możnaby po przetłumaczeniu na język *common sense*'u i wyprecyzowaniu znaleźć dużo ciekawych myśli, które mogłyby stanowić przedmiot ściśle naukowego i płodnego w wyniki rozważania. W sformułowaniu obecnem wymagałoby to stosowania tak rozległego klanznl interpretacyjnych, że muszę z tego zrezygnować z racji rozmiarów reeenzji. Mam jednak niezłomną nadzieję, że żywa, pełna zapału

dła sprawy nauki działalność prof. Znanieckiego przyniesie nam w najbliższym czasie nowe prace, — przedewszystkiem realizację szeroko i interesująco zakreślonego dzieła, obejmującego obszerny wykład socjologii.

CZESŁAW ZNAMIEROWSKI.

### PAMIĘTNIKI.

R. St. Backer: *Woodrow Wilson. Kształtowanie losów świata*. Pamiętniki i dokumenty wydane... Tom I. Warszawa, 1924. Inst. Wyd. „Biblioteka polska”.

Ubogiej, zaiste, polskiej literaturze dyplomatycznej przybywa dzieło wielkiego znaczenia: wspomnienia o Konferencji Pokojowej, zebrane na podstawie pierwszorzędnych dokumentów przez R. St. B a c k e r a, jednego z bardzo bliskich współpracowników prezydenta Wilsona. Ściślej biorąc, należałoby powiedzieć, że dzieło to powiększa nie polską literaturę dyplomatyczną, lecz literaturę dyplomatyczną w języku polskim, skoro mamy tu nic oryginalną polską pracę, lecz przekład, dokonany przez prof. Andrzeja Tretiaka i Teresę Świdorską. Dość jednak, że oto czytelnik polski może zaznajomić się z pierwszym z trzech tomów kapitalnej pracy Backera.

Przyznaję się, że brałem książkę do ręki z pewnem uprzedzeniem. Niemcy zrobili jej reklamę, z wielkiem uznaniem mówi się o niej w tych sferach angielskich, które poddają się wpływowi poglądów Keynesa, znalazłem też kilka cytatów z niej, mówiących o wadliwościach traktatu wersalskiego, o egoistycznym wyzyskaniu zwycięstwa i t. d. Obawiałem się, że będzie to rzecz w rodzaju paszkwilów Nittiego lub elukubracji „nawróconego“ Lloyd George'a — a tem niebezpieczniejsza, że poparta pożyczonym autorytetem Wilsona. Trzeba stwierdzić, że pierwszy tom nie usprawiedliwia tych obaw. Krytyka, jakkolwiek miejscami bardzo ostra, nie wychodzi poza granice twierdzeń, wypływających z poglądu na świat polityczny, poglądu, który można zwalczać, ale który trzeba szanować, bo opiera się na uczciwym i głęboko zakorzenionem przekonaniu.

Podstawą wartości książki Backera jest okoliczność, że autor posługuje się autentycznym materiałem źródłowym, który w równie wielkiej mierze nie był dotąd dostępny innym dziełopisom zjazdu paryskiego. Materiał ten dostarczył „kufer pelen papierów“, oddany Backerowi do opracowania przez Wilsona. Niejednemu historykowi ścisnie się serce z żalu na myśl o takiej kopalni najoryginalniejszych dokumentów. Znalazł tam Backer przedewszystkiem ogromny, bo liczący przeszło 3000 stron arkuszowych, zapisanych na maszynie, zbiór nieogłoszonych dotąd, a bardzo ścisłych protokółów posiedzeń Rady Czterech (Wilson, Clemenceau, Lloyd George i Orlando), Rady Dziesięciu (naczelnicy rządów i ministrowie spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii, Włoch i Japonji) i Rady „małych pięciu“ (ministrowie spraw zagranicznych wymienionych poprzednio krajów). Dalej były tam raporty i memorjały pisane dla Wilsona przez

delegację amerykańską, francuską i angielską, protokoły komisji pomocniczych, sprawozdania ekspertów, własne memoranda Wilsona „często na marginesie dokumentów, niekiedy na osobnych arkuszach, pisane na własnej maszynie albo własnymi stenograficznymi hieroglifami“ (które prezydent tłumaczył potem Backerowi), wreszcie korespondencja — petycje, rezolucje, listy — kierowana do Wilsona z całego świata. Jeśli dodamy, że wielu najwybitniejszych członków delegacji amerykańskiej w Paryżu pozwoliło Backerowi korzystać ze swych zapisków, będziemy mieli obraz dokumentacji chyba najkompletniejszy, jaką można zdobyć chwilowo o Konferencji Pokojowej.

Drugim czynnikiem wartości dzieła Backera jest okoliczność, że w pracach amerykańskiej delegacji pokojowej autor osobiście *magna pars fuit*. Był mianowicie kierownikiem oddziału prasowego tej delegacji i oto, jak opisuje swą pracę: „Przez to biuro przeszły wszystkie urzędowe wiadomości z konferencji; stało się ono, ponadto, środowiskiem, w którym gromadzili się przedstawiciele wszystkich delegacji i komisji ze wszystkich krajów, które przybywały do Paryża — wszyscy, którzy szukali poparcia wpływu Ameryki i amerykańskiej opinii... Było to jedno z najruchliwszych biur delegacji. Obowiązki autora wprowadzały go w zetknięcie z członkami amerykańskiej delegacji każdego dnia rano przed codziennym posiedzeniem z korespondentami, a podczas wszystkich późniejszych miesięcy konferencji widywał się z prezydentem każdego popołudnia po zamknięciu posiedzenia Rady Czterech (niekiedy częściej); przechodzili w pełni zdarzenia dnia, postanawiali dokładnie, co ma być publicznie podane, poczem autor spotykał się z amerykańskimi korespondentami. Przebył Ocean trzy razy na „George Washingtonie“ razem z prezydentem i miał sposobność usłużyć mu kilkakrotnie w kilku ważnych sprawach, nie związanych z publicystyką. Najwyższa Ekonomiczna Rada także mianowała go członkiem swoim, jednym z czterech (po jednym z każdego narodu) do kierowania swą publicystyką, tak że sprawozdanie tej ważnej komisji tym sposobem dostało mu się do rąk.“

Backer zwiedził też w roku 1918 Anglię, Francję i Włochy, jako specjalny komisarz Departamentu Stanu. Wszystko to nadaje jego uwagom charakter bezpośredniej obserwacji i korzystnie odróżnia jego dzieło np. od głośniejszej książki Dillona, posługującego się przeważnie anegdotą dziennikarską i podpatrującego to, co działo się na konferencji, przez dziurkę od klucza. Backer jest też znacznie bardziej zrównoważony od Dillona; mniej goniąc za błyskotliwym efektem stylistycznym, umie sięgać głębiej i patrzeć z wyższego stanowiska. Jeśli kogo, drogą porównania, przywodzi na myśl, to Tardieugo, który również — choć naogół nie w tym samym stopniu — miał dostęp do archiwum urzędowego, również bezpośrednio uczestniczył w pracach delegacyjnych i w książce swej o *Pokoju* z równą, pełną wewnętrznego umiaru siłą broni stanowiska delegacji francuskiej, jak Backer dowodzi słuszności zasadniczych tez amerykańskich.

Tezy te można by określić, jako bardzo praktyczne i zarazem bardzo doktrynerskie. U Amerykan przeważało mianowicie myślenie ekonomiczne nad politycznym. Nie mogło być inaczej u ludzi, pochodzących z kraju, gdzie sprawy bezpieczeństwa państwowego, nienaruszalności granic, ryzyka obcej napaści i t. p., oddawna zatraciły ostrość, gdzie natomiast wszystkie troski przeniosły się w dziedzinę gospodarczego podnoszenia stopy życiowej

i gdzie wszystkie, atawistycznie tkwiące w człowieku, instynkty walki znajdowały upust w bojach ekonomicznych, w zaciętej konkurencji, w handlu i przemyśle. Ten sposób myślenia pragnęli wpoić w Europejczyków. Ich rozumowanie było bardzo prostolinijne. Należy odebrać ludom Europy możliwości zbrojeniowe, dać każdemu możność swobodnego rozwoju wewnętrznego, usunąć źródła konfliktów międzynarodowych, a natomiast pomóc wytworzeniu się kooperatywnego współzycia — a Europa, wyzbywszy się militarystyki i zapędów imperjalistycznych, będzie rozkwiatać gospodarczo w pokoju na użytek swój i innych. Pomysły te nie wydawały się im marzycielskimi, skoro popierało je doświadczenie ich własnego życia.

Do tego dodać należy naturalną u Amerykan skłonność do forytowania federacyjnych form współzycia. Ten kształt organizacyjny, w którym części składowe zachowują odrębność i pożyteczną autonomję, a przecież zwiirają się, uzupełniają i tworzą potężną całość, okazał się w unji stanów amerykańskich tak doskonałym, że jego odpowiednia transpozycja na życie państw europejskich musiała przyświecać Amerykanom jako ideał. To znów nie była tylko gra fantazji, lecz wnioski wyciągnięte z doświadczenia, bo przecież i federacja stanów amerykańskich nie narodziła się bez trudu, lecz stała się dopiero po szeregu przesileń, a nawet po wojnie domowej. Wolno więc było sądzić, że obecne antagonizmy państw europejskich nie będą nieusuwalną przeszkodą w dążeniu do ich sfederowania.

Na czym polegało doktrynerstwo tych w ostatecznej mierze praktycznych pomysłów? Na tem, że Amerykanie usiłowali wcielić je w życie, z a n i m stosunki europejskie dojrzały do ich urzeczywistnienia, iż nie chcieli szukać innych dróg, które tymczasem — zanim możnaby wejść na tamte, niewątpliwie najlepsze — prowadziłyby w gruncie rzeczy ku temu samemu celowi. Rozwińmy to zdanie.

Dla Amerykan wojna była sprawą, która się zakończyła. Wojsko amerykańskie, sprezentowawszy broń przed mogiłami poległych towarzyszy, wsiadało na okręty i odpływało za Ocean. I tam wprawdzie wojna wprowadziła zmiany do elementów, tonu i napięcia życia publicznego, ale przedewszystkiem stan wojenny trwał dla Ameryki bez porównania krócej (półtora roku), powtórę zaś odległość terenu walk sprawiła, że bakcył nie zdołał tak całkowicie ovladnąć organizmem Ameryki, tak zatruć jej umysłowości, jak to stało się u starym kontynencie. To też można tam było odrazu związać przerwane nici i podjąć normalny tok życia. Wydawało się Amerykanom naturalnem, że to samo powinno stać się w Europie. Pobicie państw centralnych likwidowało w oczach Amerykan szereg zagadnień: utracony został militarystyka, położono kres zakusom narzucenia światu siłą hegemonji, zdjęto okowy z narodów niewolnych. Teraz na tak startej tablicy należało wykreślić na czysto linje wedle wypróbowanej w Ameryce geometriji życia publicznego.

Tymczasem — jak po tylu doświadczeniach nie potrzeba dowodzić — zwycięstw aljantów bynajmniej nie zatrzasnęło wrót wszelkim zmorom międzynarodowym. Państwa kontynentalne nie mogły odpłynąć; pozostawały na gruncie podminowanym. Po wygraniu wojny pozostała kwestja wygrania pokoju, znacznie bardziej skomplikowana, niż to wydawało się Amerykanom, którzy swą wyprawę wojenną potraktowali nieco na sposób przedsięwzięcia sportowego. Pokonani Niemcy nie byli czemś w rodzaju partji

popitej na *match'u* i ustępującej lojalnie przed lepszym graczem. Rozgromieni wojskowo, lecz nie rozbrojeni moralnie, nie pogodzeni z myślą o utracie prowincyj, pozostawali zaczynem fermentu, który nie pozwalał państwom zainteresowanym, a zwłaszcza Francji i Polsce, przenieść wszystkich trosk o przyszłość w dziedzinę gospodarczą. Sprawa bezpieczeństwa, sprawa spokojnego bytu politycznego, sprawa upewnienia się przed odwetem niemieckim przybierała dla tych państw kształty tak ostre, że nie mogły zgodzić się na doktrynerski optymizm Amerykan, nie mogły zrzec się środków, które dotychczas rozstrzygały w starym świecie, i z naiwną wiarą w odrodzenie przeciwników przekuć wszystkich mieczów na lemiesz. Kraje te godziły się na program Ameryki, żywiły jedynie wątpliwości co do terminu jego wprowadzenia w życie. Chciały naprzód gwarancji, że istotnie atmosfera międzynarodowa Europy oczyściła się do tego stopnia, by można było spokojnie wykonywać ów program. Amerykanie ze swą zwykłą impetycznością, brakiem obawy przed nowatorstwem i oddaleniem duchowym, nie pozwalającym im wyczuwać należycie istoty spraw europejskich, chcieli do dzieła przebudowy Europy od podstaw przystępować odrazu.

Z takim to — mijającym się z europejskim sposobem myślenia i odczuwania — amerykańskim nastrojeniem myśli (żeby nie rzec: uprzedzeniem) przystępował Backer do opisu i krytyki tego, co działo się na Konferencji Pokojowej. Nic dziwnego, że przez te jego okulary amerykańskie atmosfera w Paryżu wydała mu się zadymioną. Clemenceau, Lloyd George, Balfour i inni politycy aljancji, to w jego oczach niepoprawni przedstawiciele „starej dyplomacji“, nie chcący i nie umiejący zerwać doszczętnie z jej metodami, myślący kategorjami militarystyki i egoizmu państwowego. Na przeszkodę, piętzone przez tę starą dyplomację, natrafiała co chwile delegacja amerykańska, gdy głosząc nową ewangelję stosunków międzynarodowych, chciała ich uporządkowanie oprzeć o czynniki moralne, z wyłączeniem wszystkiego, co mogłoby przypomniać, lub w przyszłości wyzywać gwałt, korzystanie z przemocy i postawienie siły przed sprawiedliwością. Przejęty wiarą w możliwość natychmiastowego zastosowania tez amerykańskich, autor potępia wszystkie odstępstwa od nich, wszystkie kompromisy, na które trzeba było godzić się pod naciskiem „starej dyplomacji“.

Tu trzeba powiedzieć coś na usprawiedliwienie Amerykan. Wytykając im mianowicie ich niezrozumienie położenia europejskiego, dzięki czemu propozycje ich, pełne abstrakcyjnej sprawiedliwości, groziły wśród danych faktycznie stosunków sprowadzeniem wielkich niesprawiedliwości — nie należy rzeczy tak przedstawiać, jakgdyby oponenti ich wolni byli od wszelkiego zarzutu. Możemy przyjąć, jako pewnik, że Francja nie miała innego celu na oku, jak tylko ubezpieczenie krwawo nabytego, a raczej odzyskanego, stanu posiadania. Wszystkie jej wysiłki zmierzały do zapobieżenia odwetowi niemieckiemu i tylko zła wola mogła sposoby, jakimi ten cel Francja starała się osiągnąć, tłumaczyć jako chęć pozyskania hegemonji na kontynencie. Ale polityka angielska zawierała wiele momentów zastanawiających. Była ona nienblagana, o ile szło o zniszczenie floty niemieckiej i zabrania Niemcom kolonij, zwłaszcza afrykańskich, graniczących z wielkobrytyjskimi posiadłościami dominjalnymi. Znacznie mniejszą natomiast stanowczość okazywała, gdy szło o rozbrojenie Niemców na lądzie i zapewnienie Francji pod względem rysztyunku bojowego bezwzględnej

przewagi nad Niemcami. Polityka włoska w stosunku do wschodniego wybrzeża Adrjatyku też miała słabe punkty. O młodych państwach w ogólności można powiedzieć, iż skłonne były sięgać po więcej, niż to godziło się z usprawiedliwionymi interesami innych (ilustracją tego może być zachowanie się Czechów wobec Polski). Nic dziwnego, że Amerykanie, widząc różne objawy, których nie można było uważać za wypływ czystej rycerskości, ani szlachetnej bezinteresowności, zrażali się do Europy, coraz bardziej nabierali przekonania, że jest ona do gruntu zdemoralizowana, i w rezultacie — coraz mniej ją rozumieli.

Czegóż bowiem chciała w ostatecznej mierze „stara dyplomacja“? Okopania się na pozycjach zdobytych na wojnie, upewnienia się, że poniesione wysiłki nie pójdą na marne. Aljanci wiedzieli, jak trudne było zwycięstwo, jak duchy ugiwały się pod ciężarem doświadczeń wojennych; wiedzieli też, że ponowne zmobilizowanie tak wielkich sił, jak te, których w tej wojnie użyto przeciw wrogowi, nie jest bezwzględny pewnikiem. Cbcieli więc kuć żelazo, póki było gorące: nie mogli pozwolić, by wskutek osłabienia czujności i przezorności kraje ich pozbawione zostały pewności, że osiągnięte rezultaty, o które walczone do npadłego przez cztery przeszło lata, a o które modlono się znacznie dłużej, pozostaną na trwałe. Czy stojący na czele rządów aljanckich przedstawiciele „starej dyplomacji“ mogli w tym względzie zadowolić się czysto m o r a l n e m i zabezpieczeniami? Czy wolno było im, którzy znali ducha Europy, którzy wiedzieli, że czteroletnia wojna światowa nie przerobiła ludzi w aniołów, którzy zwłaszcza mieli uzasadnione przyczyny, by przypuszczać, że nie zamarł całkowicie w Niemczech ten duch, który wywołał wojnę i nową mógł gotować — czy wolno im było z przymkniętymi oczyma puszczać się na kołyszące wody idealizmu amerykańskiego, rzucać starą broń i wychodzić przeciw dotychczasowym wrogom z golemi rękami, w białej szacie „nowej“ dyplomacji?

W książce Backera znajdzie czytelnik obraz zmagania się realistów europejskich z idealistami amerykańskimi, obraz nie całkowicie bezstronny, bo kreślony przez człowieka duszą i eiałem oddanego tezie amerykańskiej, ale przecież o tyle obiektywny, że Backer nie zamyka uszu na motywy, które kierowały politykami europejskimi i umie położyć je na wadze. Inna rzecz, że racje dyplomatów starego autoramentu wydają mu się niedostatecznymi: Backer nie jest całkiem pozbawiony zrozumienia, czego chciała dyplomacja europejska i dlaczego tak chciała, zbyt jednak głęboko tkwi w poglądach amerykańskich, by uznać, że ona śród danych warunków musiała tak chcieć. Zbyt mu też przysłania widnokrąg myślowy wyolbrzymiona postać Wilsona.

Nie znam w historii ostatnich dziesiątków lat człowieka, któryby w równej mierze nadawał się na postać do wielkiego dramatu, jak Wilson. Spokojny, głęboki myśliciel, życie trawiący na teoretycznym studjowaniu zagadnień politycznych, przytem obyczajowy rygorysta, do dna duszy przejęty wiarą w kategorię nakazów moralności, człowiek zatem — zdawałoby się — jak najmniej uzdolniony do praktycznej polityki, zostaje wyniesiony na stanowisko, na którym w miękkie ręce uczonego ujmuje ster rządu nad stumiljonowym państwem. Wiadomo, że w wielu królestwach monarcha nie posiada tyle faktycznej władzy, ile jej oddaje konstytucja amerykańska prezydentowi Stanów Zjednoczonych. I oto tę władzę, której pozazdrościć mogą królowie, obejmuje Woodrow Wilson — uczonej, myśli-

ciel, kaznodzieja. A jakby niedość było tego kontrastu, los zdarzył, że w dwa lata po obiorze Wilsona na prezydenta wybuchła wojna, Wielka Wojna; — po świecie, po lądach i oceanach szły burze niewidziane dotąd i niesłyszane, a drgania przebiegały organizmy ludów, nie wależących nawet. W takim czasie, wymagającym ehyba na czele rządów człowieka czynu, nie targanego żadnemi skrupułami moralnemi, umiejącego prosto chcieć, a nie błakającego się po ścieżkach filozofji politycznej ni etycznej, w Białym Domu zasiadał właśnie filozof, właśnie teoretyk, właśnie moralista.

Tu wzbiera prąd dramatu. Wbrew prawdopodobieństwu wojna wynosi Wilsona na szczyt potęgi. Góry ofiar służą mu za piedestał, jemu, arcy-pacyfiście. W epoce, w której potęgi materialne przygłuszają wszystko i o wszystkim wśród grzmotów piekielnych rozstrzygają, głos jego brzmi coraz silniej i coraz więcej znajduje posłuchu, aż wreszcie u sehyłku wojny postać Wilsona w oczach umęczonych, okrwawionych ludów rysuje się na tle łun i dymów jako postać pół-boga niemal. Dziś już zdołaliśmy wiele zapomnieć z nastrojów czasu wojny, późniejsza historia Wilsona przesłania nam też jego obraz taki, jaki jaśniał w jesieni r. 1918. Ale przypomnijmy sobie, jak to wówczas narody gotowe były klęknąć przed nim i jak ze wszystkich kątów świata, zewsząd, gdzie tylko naród jakiś giął się pod ciężarem losu — a gdzie takiego nie było? — modły i uwielbienie glorią otaczały statek, na którym płynął ku Europie Wilson Sprawiedliwy.

A teraz katastrofa. W Paryżu, który na przyjazd jego stawiał bramy triumfalne, gaśnie promień po promieniu z aureoli Wilsona. Strzała po strzale przeszywa jego nadzieje, grunt usuwa mu się z pod nóg. Wyrzekają się go właśni rodacy, a wielbiciele zżymają się i niecierpliwia, że wpatrzony wysoko apostol zmienia się w pedantycznego profesora. Po kilku zaledwo miesiącach pół-bóg powraca jako człowiek nadlamany, ze zwichniętym autorytetem moralnym i fizycznie starty: ciężko ranny żołnierz Wielkiej Wojny. Niebawem choroba, następstwo nadludzkiego wysiłku mózgu, usuwa go w cień domu, zanim jeszcze klęska stronnictwa obraca jego dzieło polityczne w ostateczną ruinę. Zgnębiony, rozczarowany, bezsilny i — porzuty człowiek patrzy na zgon swych wielkich marzeń. Gorzki, zaiste, zmierzeh idealisty. Śmierć niebawem zamyka dramat.

Jak wytłumaczyć ten obrót? Czy Wilsona powaliła jakaś demoniczna siła, tkwiąca w starej dyplomacji i nie chcęca wpuścić rządów moralności do dziedziny międzynarodowej? Czy też polityka Wilsona nie była dostosowana do potrzeb świata europejskiego i do warunków współpracy Ameryki z Europą? Czy może taktyka jego była błędna? Czy wreszcie wielkość Wilsona była może tylko wmówiona i wiara weń tylko jednym z objawów psychozy wojennej? Wolimy odpowiedź na te pytania odłożyć do czasu, kiedy leżąc będzie przed nami drugi tom pracy Backera i kiedy będziemy mogli ogarnąć całokształt działalności Wilsona na Konferencji (tom III zawiera tylko dokumenty). Ale już dziś na podstawie, tego, co nam daje pierwszy tom, stwierdzić możemy krótko, że Wilson był wielkim człowiekiem, nie pozbawionym wad, ale przeecież wyrastającym wysoko ponad przeciętny typ męża stanu. Że mu się ostatecznie nie powiodło, to może nie zdziwi i chyba nie będzie poczytywane za dowód jego niezdatności, jeśli się zważy, że wkońcu walczył sam jeden przeciw wszystkim —

sam przeciw swiom i obcym. Książka Baekera, kreśląc perypetje tej walki, jest nie tylko dokumentem historycznym, ale także dokumentem ludzkim, który wzrusza głęboko, ukazując zmaganie się wielkiego ducha z losem niezawsze sprawiedliwym.

MIECZYŚLAW SZERER.

### MUZYKA.

PRZEKLADY Z LITERATURY MUZYCZNEJ. — Franciszek Liszt: *Chopin*. Tłumaczyła Marja Pomian. Z przedmową Prof. Dr. A. Chybińskiego. Lwów, 1924, Księgarnia H. Altenberga. — Romain Rolland: *Wycieczka w krainę muzyki przeszłości*. Tłumaczył F. Mirandola. Lwów—Poznań, 1924, Wydawnictwo Polskie.

Franciszek Liszt: *Chopin*. — Po prostu, jasno i zwięźle charakteryzuje dr. Adolf Chybiński w „Przedmowie“ dwa rodzaje monografji muzycznej: naukową i artystyczną. Charakterystyka ta z jednej strony przyznaje należne w literaturze miejsce monografji Liszta, z drugiej dopomaga czytelnikowi zgóry do obrania w stosunku do tej monografji odpowiedniego punktu widzenia.

„Jeśli zaczęto... od przekładu studjum Liszta o Chopinie — pisze Chybiński — to niewątpliwie nie uczyniono błędnego kroku. To bowiem studjum jest dla polskiej muzyki najbardziej aktualne“. Tak z tych słów, jak i z uwagi, że „przekład niniejszy jest... całkowity“, że jest również „bardzo potrzebny“ — możnaby wnosić, że autorka przekładu uczyniła wszystko, aby zadaniu swemu sprostać, aby dać dowód, że i „potrzeby“ i „aktualności“ przekładu jest w całej pełni świadoma. Przystudjowanie przekładu poucza, że celu nie osiągnięto. Książkę zamyka się z uczuciem zawodu, przyczem trudno oprzeć się przykrej myśli, iż p. Marja Pomian dzieło Liszta „tłumaczyła“, lecz go nie — „przetłumaczyła“.

Literatura przekładów pomnożyła się u nas w ostatnich latach bardzo wydatnie. Z ilością produkcji jednak nie idzie w parze jej jakość. Przeciwnie, dobre przekłady należą do wyjątków. Źródło zła leży w braku odpowiednich kwalifikacyj u tłumaczy.

Ogólnie, jako pierwszy warunek, bez którego nie może tłumacz podjąć się przekładu, przyjmując dokładną znajomość języka obcego i swojego. Inne, równie niezbędne warunki tłumacza streszczam w następujących postulatach: zdolność do wyrażenia myśli obeej w swoim języku; poziom wykształcenia, odpowiadający poziomowi dzieła, które się tłumaczy; dokładna zaajomość tego dzieła; zdolność do krytycznego ujęcia przedmiotu; staranność i sumiennosc w pracy; wreszcie — rzetelnosc w stosunku do dzieła, które jest przedmiotem przekładu.

Szczegółowo, jeśli idzie o przekład dzieła z literatury muzycznej, konieczne jest bodaj clementarne przygotowanie tłumacza w zakresie historii i teorji muzycznej. Skoro zaś dzieło odnosi się do życia i twórczości Chopina, niezbędna jest u tłumacza dokładna znajomość tak życia, jak i twórczości Chopina.

Przekład monografji Liszta dowodzi, że autorka żadnemu z tych warunków nie uczyniła zadość.

Zanim przystąpię do cytowania przykładów, na podstawie których są mój wypowiedziałam, podać pragnę parę szczegółów, odnoszących się do dzieła Liszta. Ukazało się ono w r. 1852, a więc w trzy lata po śmierci Chopina, jako pierwsza monografja, poświęcona jego życiu i twórczości<sup>1</sup>. Przekładu tej pracy na język niemiecki dokonała La Mara<sup>2</sup> (Marie Lipsius) i wydała go w r. 1880 jako tom pierwszy zbiorowego wydania dzieł Liszta. Nie tylko na karcie tytułowej tego przekładu, lecz także w przedmowie zaznacza La Mara, że nie jest to przekład w zwykłym znaczeniu tego wyrazu („...eine Uebersetzung im gewöhnlichen Sinne des Wortes...“). Oddaje on tylko ideę dzieła Liszta. Przetworzenie tekstu oryginalnego, częste uproszczenia, skrócenia, jakie wydały się autorce przekładu koniecznymi, sprawiły, że przekład ten jest swobodnym odtworzeniem oryginału („freie Nachdichtung“). Z porównania tekstu niemieckiego z francuskim okazuje się nadto, że La Mara w wielu wypadkach zmieniła kolejność przedstawienia rzeczy, dodała również szereg uzupełnień. Wskutek tego przekład jej nie może być żadną miarą uznany za identyczny z francuskim tekstem Liszta. W zbiorowym wydaniu dzieł Liszta La Mara jest współautorką monografji o Chopinie.

W przekładzie polskim należałoby — przynajmniej według mego zapatrywania — oczekiwać oryginału Liszta, tembardziej, że na karcie tytułowej nie podano źródła. Tymczasem przekład p. Marji Pomian jest przekładem niemieckiego wydania La Mary.

Odkryć to nietrudno.

Już dwa pierwsze zdania są dowodem wystarczającym, gdyż są one dodatkiem La Mary. Przekonywa o tem dalej zgodność polskiego przekładu z wydaniem niemieckim w kolejności tekstu, zaś niezgodność w tym względzie z oryginałem. Np. powtarzane za Lisztem przez wszystkich biografów opowiadanie o rozmowie, w której Chopin miał powiedzieć, iż uczucia, nazwanego słowem „żał“, nie można w żadnym innym języku wyrazić, pomieścił L<sup>3</sup> w rozdziale trzecim (66—68), poświęconym Mazurkom. Jest to słuszne i naturalne, gdyż według Liszta, właśnie jeden z Mazurków był powodem tego wyrażenia się Chopina. LM przeuiosła ten epizod do rozdziału pierwszego, wstępnego (17—18), za nią uczyniła to MP (10).

Dalej — uzupełnienia lub zmiany w cytowaniu nazwisk i przykładów powtarza MP za LM. Naprzykład: MP (6) „Roehefoucauld“ zgodnie z LM (9). L (6) zaś wymienia „Béranger“. W tem samym zdaniu LM dodaje „Uhland“, „Petöfi“, za nią MP, u L nazwisk tych niema. LM (10) i MP (6)

<sup>1</sup> Dokładny tytuł jej brzmi: *F. Chopin* par F. Liszt. Paris, M. Escudier, éditeur. Leipzig, Breitkopf & Härtel. Bruxelles, chez Schott. 1852. — Według Bibliografji Abera (*Handbuch der Musikliteratur*, 1922) drugie wydanie ukazało się w Lipsku w r. 1879. W artykule niniejszym odwoływać się będę do wydania pierwszego.

<sup>2</sup> *Gesammelte Schriften* von Franz Liszt. Erster Band: *Friedrich Chopin*. Frei ins Deutsche übertragen von La Mara. Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel, 1880. Według Bibliografji Abera pierwszy przekład niemiecki monografji Liszta ukazał się w Cassel w r. 1855. W artykule niniejszym odwoływać się będę do przekładu La Mary.

<sup>3</sup> W skróceniu: L — oryginał francuski Liszta, LM — przekład niemiecki La Mary, MP — przekład polski Marji Pomian. Liczby oznaczają strony.

piszą o „pieśniach“ Schuberta lub Roberta Franza, L (6) natomiast o „sonatach takich, jak Schuberta („...des sonates pareilles à celles de Franz Schubert...“), zaś Roberta Franza wcale nie wspomina.

Przykładów podobnych możnaby zacytować bardzo wiele, gdyż LM w nielicznych tylko ustępach postępuje krok w krok za L.

Stwierdzenie, że p. Marja Pomian dokonała swego przekładu z La Mary, nie dowodzi jednak wcale, jakoby nieznanym był jej oryginał Liszta. Przeciwnie. Przytoczę kilka cytatów, które wyraźnie wskazują oryginał francuski, jako źródło przekładu polskiego.

1. MP (49) „Bo czemuże są bukiety dla tych, których skroń wzywa nieśmiertelne wawrzyny?“

L(77) „*Que sont les bouquets d ceux dont le front appelle d'immortels lauriers?*“

LM(98) „*Was gelien Blumen dem, dessen Stirn nach unsterblichem Lorbeer verlangt?*“

W tym wypadku przekład dosłowny z LM byłby lepszy: „...skroń pożąda nieśmiertelnych wawrzynów“, niż przekład z L.

2. MP(79) „Żywny kształcił go przez szereg lat według błędów najsurowszego klasycyzmu“.

L(133) „...selon les errements de l'enseignement le plus classique“.

LM(149) „...nach den Grundsätzen einer streng klassischen Schule...“

W tem zdaniu tylko francuski wyraz „errements“ mógł podsunąć MP nieszczęśliwy, a nawet kompromitujący przekład. W związku z „najsurowszym klasycyzmem“ nie można mówić o „błędach“, mimo, że w pojęciu: „errements — praktyka, zasada“ mieści się często przymieszka „błędności“.

3. MP(101) „...gregorjańskie ognie...“

L(179) „...feux grégeois...“

LM(185) „...griechisches Feuer...“

Niewiadomo, w jaki sposób ukuła MP z wyrazu francuskiego wyraz polski. „Gregorjański“ znaczy przecie „grégorien“. Gdyby autorka przekładu sięgnęła była do jakiegokolwiek encyklopedji, dowiedziałyby się była, co to za ognie, i przekonałyby się, że przekład LM „greckie“ jest trafny.

4. MP(117) „Jeden z nich padł na wyłomie (!) wojny domowej...“

L(202) „L'un d'eux est tombé sur la brèche des guerres eiviles“.

LM(121) „Der Eine fiel als Opfer des Bürgerkriegs“.

„Mourir (tomber) sur la brèche“ znaczy tyle, eo „en combattant“ (walcząc; z bronią w ręku).

Przykład 2 i 4 ilustrują bardzo jaskrawo brak znajomości języka francuskiego u tłumaczki.

Stwierdziwszy, że p. Marja Pomian oparła się na przekładzie niemieckim La Mary, lecz i tu i ówdzie korzystała wprost z oryginału francuskiego, zapytać muszę, jaka była przyczyna i jaki cel takiego postępowania. Dla mnie byłoby łatwiej zrozumiałe posługiwanie się jakimś przekładem jako środkiem pomocniczym do zrozumienia oryginału. Odwrotna metoda jest dla mnie zagadką.

Nie kusząc się o jej rozwiązanie (które mogłoby w najlepszym razie być tylko prawdopodobne), wyrażam przekonanie, że na karcie tytułowej powinna była tłumaczka pomieścić jako źródło przekładu niemieckie przetworzenie oryginału, dokonane przez La Marę. Wymaga tego rzetelność wobec Liszta, jako autora pierwszej monografii o Chopinie, i rzetelność wobec czytelnika polskiego, który zostaje nieświadomie wprowadzony w błąd przez tłumaczkę. Nie po to przecie wydaje się przekłady, aby porównywano je z oryginałem w celu ustalenia źródła i...zrozumienia przekładu. Przekład powinien w zupełności zastąpić oryginał.

Skoro autorce przekładu polskiego znany jest zarówno oryginał francuski, jak i przekład niemiecki (a na podstawie przytoczonych cytatów zdaje się to pewnem), to dziwnem się wydać musi mieszanie przez nią samą oryginału z przekładem. Na str. 39 MP przytacza za LM wyjątek z *Pieśni o ziemi naszej* Wincentego Pola, zaczynający się od słów: „Bo i cóż to tam za żywość młodych Polek i uroda...“ i zaopatruje go uwagą: Wiersze te w oryginalnie podane są w języku polskim“. Prawda, że podane są w języku polskim, lecz w przekładzie LM (76). W oryginale Liszta niema ich zupełnie.

Rażące jest również niezrozumienie intencji Liszta przez MP. Liszt pisze, że gdyby się chciało naukowo roztrząsać dzieje muzyki fortepianowej, to trzeba by zająć się szczegółową analizą wszystkich dzieł Chopina. Rezygnuje wszakże z tego, uważając, że ani to miejsce, ani chwila odpowiednia na studjum tego rodzaju, które mogłoby zainteresować tylko uczniów kontrapunktu i harmonji (basu cyfrowanego) — „*qui n'offrirait d'intérêt qu'aux adeptes du contre-point et de la basse chiffres*“. W zdaniu tem wyraża się jasna świadomość Liszta o przeznaczeniu jego studjum o Chopinie. U MP (7) czytamy: „...ale trzeba to już p o z o s t a w i ć uczniom kontrapunktu i basu szyfrowanego...“

Tłumaczka studjum Liszta o Chopinie, choćby nawet przekład jej był wzorowy, nie powinna była zadowolić się podaniem samego tylko tekstu Liszta, bez odpowiedniego komentarza. Wszak praca Liszta podaje błędnie szczegóły biograficzne, których nie wolno bezkrytycznie rozpowszechniać! Wprawdzie, w przedmowie, znajduje czytelnik uwagę: „Niewątpliwie znajdziemy w pracy Liszta szczegóły, których sprostowanie nikomu nie sprawia trudności“, lecz uwaga ta jest zbyt optymistyczna, a co gorsza, u niejednego czytelnika wzbudzić może pesymizm: będzie wiedział, że w książce są jakieś błędne szczegóły, a nie potrafi ich skorygować. Dlatego źle się stało, że tłumaczka nie podała przypisów objaśniających. Co więcej, brak tych przypisów krytycznych wzbudza podejrzenie, że tłumaczka nie miała należytego przygotowania do pracy, której się podjęła<sup>1</sup>. Popiera to podejrzenie rażąca niezajomość dzieł Chopina.

Przykłady:

1. MP (22) pisze Polonez „f-moll“ u L wyraźnie „*fa-dièze mineur*“ czyli „f z krzyżykiem“ czyli „fis-moll“. W tym wypadku zresztą i tekst Liszta do poprawnego przekładu nie był konieczny: tłumacz książki o Cho-

<sup>1</sup> Dwa przypiski tłumaczki: uwaga na str. 107, podająca imię córki George Sand, oraz na str. 116, podająca nazwisko jej zięcia — nie mają znaczenia istotnego. Druga zresztą została pomieszczona przez Liszta w tekście głównym, a opuszczona przez La Marę.

pinie powinien wiedzieć, w którym połonezie Chopina mieści się mazurek.

2. MP(6) „Jemu (t. j. Chopinowi) zawdzięczamy rozszerzenie użycia akordów, ciekawe węzłowania chromatyczne i enharmoniczne (n. b. u MP błąd drukarski: euharmoniczne!), grupy nut dodanych...“

L(7) „*C'est d lui que nous devons cette extension des accords, soit plaquées, soit en arpèges, soit en batteries; ces sinuosités chromatiques et enharmoniques, dont ses pages offrent de si frappants exemples; ces petits groupes des notes surajoutées...*“

LM całe to zdanie tłumaczy dosłownie i poprawnie. MP wszakże, jak widać z cytatu, popełnia błędy, oraz dokonywa skrótów, dając tem z jednej strony dowód braku znajomości dzieł Chopina, z drugiej — braku odpowiedniego przygotowania z teorii muzycznej.

MP tłumaczy „*extension*“ przez „rozszerzenie użycia“. Tymczasem Lisztowi idzie tu dosłownie o „ekstensję akordów“ czyli o ich „rozszerzenie“, „rozciągnięcie“. Liszt wyrazem tym zwraca uwagę na jedną z cech stylu chopinowskiego, jaką jest właśnie „rozszerzenie“ t. zw. „pozyeji“ akordów, czyli „szerokie rozpięcie akordów“.

MP popełnia ten błąd wskutek niezajomości dzieł Chopina.

Dalej opuszcza MP trzy określenia L, odnoszące się do akordów, a czyni to (jak przypuszczam) dlatego, że nie zna sposobów używania akordów, a tem samem z obcą sobie terminologią (*accord plaquée, a. en arpèges, a. en batteries*) nie umie sobie dać rady.

Co MP rozumie przez wyraz „węzłowania“, trudno dociec. W żaden sposób nie oddaje on pojęcia „*sinuosité*“.

3. MP(74). „Możnaby powiedzieć, że słowa tej mowy budzą w umyśle dźwięki enharmoniczne lub odpowiadające tercji, które natychmiast ukształcają myśl w akord majorowy lub minorowy“.

Zdanie to jest przetłumaczone z LM.

LM(141) „...*Man könnte demnach behaupten, dass die Worte dieser Sprache notwendig einen ungeahnten enharmonischen Ton, oder vielmehr den korrespondierenden Ton einer Terz, der sofort den Dur- oder Mollcharakter des Gedankens bestimmt, im Geiste in Schwingung versetzen*“.

MP nie odróżnia pojęcia „dźwięku“ od pojęcia „tonu“. Nadto, nie znając teorii muzycznej, błędnie używa w tem zdaniu liczby mnogiej. Ton odpowiedniej tercji jest tylko jeden, i on to decydując o rodzaju akordu: majorowym lub minorowym.

Zaznaczyć tu trzeba, że LM od siebie dodała „*enharmonischen Ton*“, co stara się złagodzić dodatkiem „*oder vielmehr*“. MP w skrócie swym dodatek ten opuściła. Tymczasem mówienie w tym związku o tonie enharmonicznym jest zupełnie błędne, a Liszt (125) pisze tylko „...*le son correspondant d'une tierce...*“

To bezkrytyczne stanowisko p. Marji Pomian tak wobec tekstu Liszta, jak i La Mary, jakie już kilkakrotnie wytknęłam, w jednym wypadku mogło być stać się zaletą tłumaczki. Niestety — tu właśnie niepotrzebnej dokonała poprawki. Na str. 13 czytam dosłownie:

„Wiadomem jest, jak licznie imiona polskie wzbogaciły kalendarz i martyrologję Kościoła. Zakon Braci Zmartwychwstańców, zajmujący się wykupywaniem

chrześcijan z niewoli, otrzymał od Stołicy Apostolskiej wyłączny przywilej noszenia czerwonego pasa na białej szacie, na pamiątkę męczenników, którzy należeli do jego zakonu, a ponieśli śmierć na kresach, np. w okolicy Kamieńca Podolskiego“.]

L (35) pisze o „*Trinitaires ou Frères de la Redemption*“, LM (22) powtarza za nim „*Trinitarier (Redemptoristen-Brüder)*“. Oboje są w błędzie o tyle, że co innego trynitarze, a co innego redemptoryści. Prawdą jest wszakże, że trynitarze wykupywali chrześcijan z niewoli muzułmańskiej i że otrzymali wspomniany przywilej. W jaki sposób MP wpadła na pomysł obdarzenia tym przywilejem „Zakonu Braci Zmartwychwstańców“ — trudno się domyślić. Napisała, poprostu, głupstwo i to takie, które musi się napiętnować. Nie potrzeba tu wcale znajomości historii Kościoła katolickiego. Z historii literatury polskiej każdy uczeń wie o udziale Mickiewicza w zreorganizowaniu „zgromadzenia“ (nie zakonu) „ojców“ (nie braci) „zmartwychwstańców“, z dziejów emigracji naszej w Paryżu i w Rzymie zna nazwiska księży Kajsiwicza, Kalinki, Jelowickiego i innych wybitnych członków tego zgromadzenia. Są to wiadomości elementarne, które posiada każdy Polak o średnim wykształceniu. Trudno więc byłoby znaleźć usprawiedliwienie ignorancji, której dowód złożyła tłumaczka Liszta. Drukowania takich nonsensów w polskiej literaturze tolerować nie można.

Korekta całej książki haniebna. Na każdej stronie roi się od błędów. Jedne z nich są nieszkodliwe, bo łatwo domyślić się właściwego wyrazu i błąd zecerski poprawić; gorzej już jest z nazwiskami; ale i do tych błędów możnaby ostatecznie nie przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia: poważnie są to nazwiska ludzi współczesnych Chopinowi i Lisztowi, które dla dzisiejszego czytelnika są pustym dźwiękiem, jeśli nie poda się w komentarzu jakichś szczegółów informacyjnych. Tłumaczka tego nie uczyniła, więc może było jej obojętne, czy ten „pusty dźwięk“ brzmi tak, czy inaczej... Ale jest jeszcze trzecia kategoria błędów korekty, najgorszych, bo wprowadzających do tekstu dziwołagi niezrozumiałe.

Oto przykład:

W ustępie drugim strony 43 czytamy o lasce i nielasce mody, rządzącej wszechwładnie w świecie artystów. Ustęp trzeci zaczyna MP zdaniem:

„Chopin często bywał świadkiem widowiska niezbyt tragicznego, a czasem wielce zabawnego, zmiennych kolei losu któregoś z ulubieńców tej siostrzenicy...“

Trzeba naprawdę wielkiego wysiłku dobrej woli, aby domyślić się (w poprzednim ustępie „moda“ nazwana jest „sprzedajną, bezczną kurtyzaną“), że to błąd drukarski i że prawdopodobnie autorka napisała „wszecznicę“ albo „ładaczuicy“.

Temu podobne błędy czyują lekturę bardzo przykrą i uciążliwą.

Poprawności gramatycznej musi wymagać się od każdego, kto drukiem prace swe ogłasza. Błędy językowe MP są tak rażące, że wystarczy, jeśli ograniczę się do zacytowania ich, bez szczegółowego komentowania i uzasadniania.

(2) „...nabywszy swe wiadomości...“; (6) „...przesady, odmawiające... pierwszeństwo...“; (24) „odcienia“ zamiast „odcienie“; (27) „nienawidzieć despotyzm“; (32) „dłużej, jak przez dwa mazury“...; (38) „o wrażeniu, wywołanem n a poetach...“

(71) „wynaajdywać... ustępy, które wolałby w niem nie widzieć“; (65) „nie dał odczuć... przykrość“.

Stale używa MP zamiast liczebnika pytajnego „ile“, liczebnika „wiele“. Niejednokrotnie to słowo „wiele“ sprowadza myśl czytelnika na bezdroża i dopiero pytajnik lub wykrzyknik, na końcu zdania umieszczony, skierowywa myśl jego na właściwe tory.

(27) „Wiele miłości... Wiele rozmów... Wiele zwierzeń... A wiele tam słów...“

Wszędzie powinno być „ile“.

Nałiczyłam zgórą 20 zwrotów, w których błędnie użyto „wiele“, zamiast „ile.“

Z błędami gramatycznymi jedną grupę tworzą zdania o fałszywej konstrukcji, przedstawiające prawdziwe łamigłówki dla tego, kto chciałby treść ich zrozumieć, oraz różnego rodzaju „śmieszności“, świadczące o braku znajomości języka polskiego. Przykłady same za siebie mówią:

(5) „Jaką głębokość intuicji zdradza ta chęć przeniesienia efektów orkiestralnych z właściwej im dziedziny, gdzie fale głosów rozbrzygiwały się u ich stóp, do sfery ściślejszej, ale bardziej wyidealizowanej?“

U czyich stóp? (Nawiasowo dodaję, że nie idzie tu o „chęć“ przeniesienia, lecz o „przeniesienie“ już „dokonane“. Bo u L (4) czytamy: „...ce choix exclusif qui, arrachant les divers effets des instruments à leur domaine habituel... les transportait dans une sphère...“).

(6) „On również (Chopin) jest wynalazcą cudownych progresyj harmonicznych nadających charakter powagi nawet ustępom pozornie lekkim.

Mniejsza zresztą o p r z e d m i o t“.

Założyć się można, że nie znajdzie się czytelnik, który nie rozbiłby się o ten „przedmiot!“ Skąd się ten nonsens wziął, poucza porównanie z oryginałem Liszta.

L (8) „Il (Chopin) inventa ces admirables progressions harmoniques qui ont doté d'un caractère sérieux même les pages qui par la légèreté de leur sujet ne paraissent pas devoir prétendre à cette importance. Mais qu'importe le sujet?“

Autorka w skróceniu pierwszego zdania pominęła „przedmiot“ (*sujet*), w drugim zaś bezkrytycznie go pomieściła, tłumacząc to drugie zdanie dosłownie.

(10) „Upadając pod naciskiem powstrzymywanej gwałtowności [jakiej? czyjej?] używał sztuki już tylko do odtwarzania własnej tragedji, a gdy wyśpiewał swe uczucia, zaczął je szarpać na kawałki“. (!!)

Co to znaczy?!

Tekst L (17) i tłumaczenie LM (18) są tak proste i jasne, że tylko zupełna ignorancja francuskiego, niemieckiego i polskiego języka mogła podsunąć tłumaczce ten przedziwny „kwiatek“.

(20) „...pochód głośny, a uroczysty mijał w skupionem milczeniu groby...“

Skoro „głośny“, to jakże „w skupionem milczeniu?“

Ta sprzeczność powstała wskutek niezręcznego skrócenia. L (38): „...*le cortège, de solennel et bruyant qu'il était jadis, devenait silencieux et recueilli en passant auprès de tombes...*“

(78) „Jak w miękkiej, wygodnej kolysce wzrósł Chopin na łonie rodziny, zgodnej, spokojnej...“

(97). „...podobne do tych kwiatów, co rozsychają się (!! ) tylko pod łagodnym działaniem ciepła...“

(99) „Wonny dreszcz (!! ) przebiega powietrze...“

(28) „Na tle gwarne go życia stając przed wzrokiem przerażonych, targa drżącym sercem widmo więzień podziemnych, śledztwa prowadzonego podstępnie przez nienawistnych sędziów, ziejających pustką śnieżnych stepów Syberji“. (!! )

Cały ten długi szereg nie zawiera w sobie wszystkich cytatów, które należałoby przytoczyć, gdyby chciało się wszystko wyczerpać. Wybrałam tu pewne tylko przykłady celem ilustracji. Dodaję do nich jeszcze śmieszności powstałe skutkiem dosłownego tłumaczenia LM, niezgodne z duchem języka naszego.

(86) „...u hr. Plater, urodzonej (!) z hr. Brzostowskich...“; (42) „...piękna z Bnińskich (n. b. u MP błąd drukarski: Buińskich) hr. Cielecka...“ (LM (8r) „...*die schöne Gräfin Cielecka, geborene Gräfin Bnińska...*“).

W podanych powyżej uwagach starałam się o wyodrębnienie pewnych kategorii błędów tłumaczenia, w tym celu, by niedomagania jej przekładu wystąpiły w sposób wyraźny. Przy sposobności zwracałam uwagę także na nicwłaściwości leksykalne. Nakoniec podaję niezręczności w zastępowaniu wyrazów niemieckich czy francuskich wyrazami polskimi:

(3) „retrospektywne uznanie“ — LM (5) „*naehträgliche Beachtung*“;

(5) „...tak ścisły związek uczucia z formą, że jedno jest wcieleniem i s y n t e z ą drugiego“ — LM (7) „...*Einheit von Idee und Form, dass... die eine eben als das natürliche Gewand, die freiwillige Ausstrahlung der andern erscheint*“;

(7) „...z a k r e s klasycyzmu“ — L (10) „...*les classiques barrières...*“

Dosyć cytatów! Sądzę, że wystarczy, aby twierdzenie moje o wartościowości przekładu nie wydało się gołosłowne.

Zewnętrzna szata książki nie lepsza od treści. Papier zły, druk gorzej niż — niedbały. To też książka pozostawia przykre wspomnienie, zwłaszcza, kiedy pamięta się o tem, że studjum Liszta o Chopinie, choć niedoskonałe, to pierwszy drukowany dokument uznania zagranicy dla naszego kompozytora narodowego

\*

R o m a i n R o l l a n d: **Wycieczka w krainę muzyki przeszłości.** — Romain Rolland zajmuje osobliwe miejsce wśród muzykologów francuskich ostatnich lat dziesiątków. Wielka erudycja i doskonała metoda historyczna łączą się u niego z niepoślednim talentem literackim, dzięki czemu prace naukowe Rollanda czyta się „jak powieść“.

Jego *Voyage Musical au pays du passé*, zawierająca ośm rozpraw o muzykach i życiu muzycznym 17 i 18 wieku, podaje charakterystykę owych czasów w sposób niezrównany. Czytając o Telemannie, poprzedniku Jana Sebastjana Bacha, o Haendlu, o walkach starych mistrzów niemieckich

z nowatorami, ulegającymi prądom włoskim, czy o melomanie angielskim, dyletancie, który gardzi nowinkami włoskimi, a z radością grywa na swym fazołecie „dawne, dobre arje angielskie“ — doznajemy wrażenia, jakoby ci ludzie byli nam znani i bliscy. Życie zaczynamy ich życiem, dzielimy ich radości i smutki, czujemy tak, jak oni, a muzyka ich, która doniedawna wydawała się nam martwą, nabiera blasku świeżości.

Dokonywa się to tylko dzięki niepospolitemu talentowi Rollanda, który w swoim czasie obudził we Francji prelekcjami swemi żywe zainteresowanie się ogółu dla „muzyki przeszłości“ i nawiązać zdołał pierwsze nici porozumienia między muzykologią a społeczeństwem. U nas do tego zbliżenia jeszcze daleko. To też trzeba się cieszyć z dokonanego przekładu książki Rollanda. Może i u nas przyczyni się ona do obudzenia zainteresowania się dawną, dobrą muzyką. Czytać bowiem może te rozprawy Rollanda każdy wykształcony człowiek, mający nawet bardzo skąpe wiadomości o muzyce.

Przekład Mirandoli jest naogół bez zarzutu. Drobne usterki językowe i stylistyczne, oraz nie tłumaczące się konieczną potrzebą, lecz nieznaczne skrócenia oryginału, dokonane w kilku miejscach, nie rażą. Odkrywa się je może wtedy tylko, kiedy się tekst polski porówna wyraz za wyrazem z tekstem francuskim. Natomiast brak należytego przygotowania muzycznego tłumacza uderzyć musi czytelnika, znającego teorię i historię muzyki, chociażby nawet do oryginału Rollanda nie zajrzał.

Dla przykładu kilka cytatów:<sup>1</sup>

M (12) „...postanowił je (melodje) stopić razem i wycisnąć z nich esencję“ —

R (17) „...it se décida d les fondre ensemble, ou plulôt d les juxtaposer“.

Mirandola nie zrozumiał myśli autora. Mowa tu o szarlatanie muzycznym, nazwiskiem Caraffa, którego postać przedstawia Johann Kuhnau w satyrze p. t. *Der Musicalische Quacksalber*. Szarlatan ten nie byłby potrafił dokonać „stopienia z sobą“ kilku melodyj, mógł co najwyżej umieścić jedną obok drugiej (*juxtaposer*).

M (56) „Dnia 20 marca 1740 r. urządził (Haendel) własnym kosztem ...przedstawienie swego „Aleksandra“ oraz dał napisany umyślnie na ten cel koncert...“; „...dał pięć solowych koncertów, wykonanych przez znakomitszych instrumentalistów“.

Tłumacz nie zna twórczości Haendla, nie wie nie o jego *concerti grossi* ani o koncertach organowych, stąd nieszczęśliwe tłumaczenie. Nie idzie o to, że Haendel „dał“ koncert czy pięć koncertów, lecz o to, że na „danym przez niego koncercie“ wykonane były jego *concerti*.

M (67) „Od r. 1738 Scheibe, najinteligentniejszy z muzykologów niemieckich obok Matthesona, pisał symfonje-uwertury, zdaniem jego „wyrażające zupełnie dokładnie treść sztuki“, a wzorowane na uwerturach Beethovena w Korjolanie lub Leonorze“. = R (85) „Dès 1738 Scheibe... écrivait des symphonies-ouvertures qui exprimaient le contenu des pièces d la façon des ouvertures de Beethoven...“

<sup>1</sup> Litera M oznacza przekład Mirandoli, R — oryginał.

Błąd bardzo jaskrawy: „à la façon“ trzeba przetłumaczyć „w tym rodzaju“ albo „w tym typie“, albo „w sposób taki, jak...“ Boć Scheibe umarł w r. 1766, a Beethoven urodził się w r. 1770!

Na str. 150 i 162 *Mirandola* mylnie używa wyrazu „modulacja“, który w teorii muzycznej ma znaczenie ściśle określone, jako termin techniczny.

W pierwszym wypadku został on niepotrzebnie dodany przez tłumacza w swobodnym przekładzie, a może łatwo wywołać nieporozumienie. W drugim, również dla uniknięcia nieporozumienia, trzeba by *gradation* (R 198) przetłumaczyć przez „stopniowanie“ lub „gradacja“.

M (85) „...Maks Schneider opublikował w s w y c h *Denkmaeler der Tonkunst in Deutschland...*“

Zaimek „swych“ błędny. *Denkmaeler* bowiem są wielką publikacją zbiorową.

Do tej samej kategorii zaliczam błędy w nazwiskach. Tłumacz, nie obeznany należycie z historią muzyki, nie dostrzegł błędów zecera.

M 151	zamiast: Furdonetta	ma być: Furlanetto
	zamiast: Pecchini	ma być: Saechini
159	zamiast: Verocini	ma być: Veracini
161	zamiast: Treseobaldi	ma być: Frescobaldi.

Z innych przeoczeń korektorskich razi tylko na str. 57 „...przejmujący krzyk s o n a t i opuszczonych...“ zamiast: „sierot i opuszczonych“ (R 72: *des orphelins*).

Poza tem korekta staranna, a książka wydana wykwiłtnie.

BRONISŁAWA WÓJCIKÓW

### Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.

Arthur de Gobineau: *Trois ans en Asie*, Paris, 1923, B. Grasset, 2 vol.; *Les Religions et les Philosophies de l'Asie Centrale*, Paris, 1923, G. Cres, 2 vol.

Miłośnicy Gobineau oczekiwali niecierpliwie nowego wydania *Trzech lat w Azji i Religij i filozofij Azji Środkowej*. Jeszcze za życia pisarza obydwie dzieła doznały w jego ojczyźnie szczególnie przychylnego przyjęcia i już w poezątku obecnego stulecia doczekały się obydwie trzeciej edycji francuskiej. Coprawda, *Religje i filozofje* zawdzięczały to zwłaszcza pietyzmowi prof. Schemanna i założonego przezeń Stowarzyszenia Gobinistów. Niemniej jednak nakład obydwóch rzeczy rozchodził się w owym okresie wyjątkowo szybko w stosunku do większości utworów autora<sup>1</sup> i, od lat już kilkunastu, obydwie były znów całkowicie wyczerpane.

W przededniu wyjazdu z Persji, po pierwszym w niej pobyte (1855-1858) Gobineau stwierdzał melanchołjnie, że opuszczając ją, zamyka ostatecznie

<sup>1</sup> Przed paru naprzykład jeszcze laty można było nabywać u wydawcy *Plejad*, Plon'a, pierwsze ich wydanie z r. 1874.

pewien okres swego życia. Ale rozstanie było narazie tylko chwilowe. Gobineau powrócił do Teheranu w r. 1861, na dwa jeszcze lata, w charakterze posła Francji. Z drugiej strony, nie rozstał się właściwie nigdy ze Wschodem Perskim w swej produkcji pisarskiej. W r. 1859 daje *Trzy lata w Azji*, w r. 1864 *Traktat o napisach klinowych*, w r. 1866 *Religje i filozofje Azji Środkowej*, w r. 1869 *Historję Persów*, w r. 1876 *Nowele azjatyckie*. W r. 1878, na cztery lata przed śmiercią, zabiera się, po raz drugi, do tłumaczenia poematu heroicznego *Kusz-Nameh*. Pamiętajmy też, że, przystąpiwszy od wczesnej młodości do studjowania języków i antycznych cywilizacyj Wschodu, ześrodkował te studia po pewnym czasie przedewszystkiem na Persji. W chwili, gdy udał się do niej po raz pierwszy, obcował już zbliska, od lat przeszło dwudziestu, z jej językiem, literaturą i przeszłością historyczną. Wpłata się ona dosłownie w całe jego życie duchowe i odgrywa w niem bezsprzecznie rolę podobną do tej, jaką Włochy odegrały w życiu Stendhala.

*Traktat o napisach klinowych* spotkał się z bardzo surową oceną orjentalistów. *Historja Persów*, doprowadzona do Darjusa, w którym to momencie odłam szczepu aryjskiego, zamieszkujący płaskowzgórze Iranu zaczyna zatracać pierwotną czystość etniczną, wywołała nie o wiele mniej zastrzeżeń. Obydwóm dziełom zarzucają jednakowo zarówno brak metody krytycznej i dostatecznie ścisłej i usystematyzowanej wiedzy, jak naginanie faktów do założeń autora. Mimo jednak wszystkie usterki *Historji Persów* i choć „filolog, krytyk, epigrafista, archeolog muszą stawiać jej uzasadnione zarzuty na każdej stronie”<sup>1</sup>, Renan podkreśla z racji tej pracy doskonale zrozumienie przez Gobineau ducha Iranu i wybitnie trafną charakterystykę jego rysów zasadniczych. Podziela to zdanie James Darmesteter. W *Trzech latach w Azji* i w *Religjach i filozofjach* występują zaś te przedewszystkiem momenty. Obydwie prace poczęte są poniekąd poza doktryną etniczną. Wślizguje się ona do nich chwilami tylko ubocznie i, rzecby można, przypadkowo. Tu i owdzie przypomina o niej jakaś uwaga, zanotowanie jakiegós mającego potwierdzić ją faktu. Ale czytelnik, któryby nie wiedział o istnieniu *Essayu o nierówności ras*, *Historji Persów* i *Dziejów Ottar Jarla* i jego potomstwa, nie domyśliłby się niewątpliwie, że wspomnienia z pobytu w Persji i obraz nurtujących ją prądów filozoficznych i religijnych wyszły z pod pióra teoretyka arystokratyzmu etnologicznego.

W obydwóch książkach dał przedewszystkiem Gobineau folgę swym zaciekawieniom – a biegły one w tyłu i tak różnorodnych kierunkach – i, ziściwszy marzenie długich lat życia, chłonął cbciowie wrażenia, które nasuwały mu się na każdym kroku i w każdej dziedzinie. Nikt zaś nie umiał lepiej odeń patrzeć i widzieć, gdy tylko nie słuchał zbyt wyłącznie podseptów swej teorii. Kojarzył spostrzegawczość, sięgając rdzenia rzeczy, z wnikliwem wycuciem atmosfery moralnej i duchowej, zrozumienie z intuicją, która okazała się tak często jasnowidzącą w swych przewidywaniach. Dodajmy do tego notację jasną, dobitną i treściwą wraz z werwą i humorem najprzedniejszego gatunku, nie nastającym niedyskretnie i nie przeciągającym nigdy struny. Wszystkie te cechy jego talentu i indywidualności występują wybitnie w *Trzech latach w Azji* i w *Religjach i filozofjach*, nadając im ich najistotniejsze wartości i szczególną siłę sngestji.

<sup>1</sup> Renan: *Journal Asiatique*, t. XVI, str. 26–28.

Pod piórem pisarzy, będących przedewszystkiem artystami, jak na przykład Loti, Wschód Perski mógł przybierać się w większy przepych barw i tonów. Ale nikt nie skreślił pełniejszego niż Gobineau obrazu życia tego Wschodu i nie umiał wejrzeć lepiej odeń w tajniki jego duszy. Dlatego obydwie książki, w których podjął to zadanie, pozostaną w szeregu najcenniejszych z pośród prac, poświęconych Persji.

\*

Pierwszy tom **Trzech lat w Azji** stanowi relację z podróży do Persji misji dyplomatycznej francuskiej, do której należał Gobineau, zwłaszcza zaś najciekawszej części tej podróży, od Zatoki Perskiej i Buszru do Teheranu, poprzez Szyraz, Ispahau i Persepolis. Drugi pokazuje nam Persję ówczesną. Misja przybyła do jej stolicy w nader smutnym momencie, bo podczas epidemji cholery, która dziesiątkowała od kilku lat ludność północnych prowincyj kraju. Epidemja ta wybuchła ponownie w roku następnym, czyniąc straszliwsze jeszcze spustoszenia. Nie brak było ofiar i w kolonji europejskiej. Pelen lęku o najdroższe mu istoty, żonę i sześcioletnią córkę, które zabral był z sobą, Gobineau postanowił odesłać je do Francji; odwiózł je przeto do najbliższego portu czarnomorskiego, skąd miał przepawić się do Konstantynopola. Niebezpieczne zaslabnięcie dziecka, budzące poważne obawy o jego życie i pogrążające rodziców w nieopisaną udręce, przetrzymało ich przez miesiąc zgórą w Tebrysie. W ciągu całej drogi widzieli naokół siebie jedynie grozę śmierci i żalobę. Większość eskortujących ich sług zapadła ciężko na zdrowiu, kilku z nich umarło. Gdy Gobineau wrócił do Teheranu, zastał w poselstwie francuskim jednego już tylko z jego członków. Jednych zabrala śmierć, drudzy uciekli przed nią. Pozostał przez półtora jeszcze rokn w stolicy Persji z tym jedynym towarzyszem. Ale mimo tylu bolesnych przeżyć i wzruszeń, opuścił ją, gdy przyszło wracać do Francji, z ciężkim zalem. Tak mało skłonny do uzewnętrznień osobistych, wyzna to jednak otwarcie, dodając: „Nie pojmuję, jak można czuć się szczęśliwym, rozstając się z Azją. Trzeba na to nie patrzeć na nią zupełnie“.

Zrozumie ten stosunek do Wschodu każdy, kto zachował wrażliwość na wszystkie jego czary. Do Gobineau przemawiały one z natury rzeczy potężniej niż do kogokolwiek. Sama już barwna wizja życia, sama magja nieba, słońca i skąpanych w niem krajobrazów, pozostawia na zawsze w pamięci niezatarte wspomnienia. Dla Gobineau, wsłuchanego od tak dawna w przeszłość starożytnego Iranu, z którą związana była najściślej jego doktryna etniczna, każdy krajobraz był ponadto — nawet gdy milknął w nim teoretyk — fragmentem dziejów kraju, świadectwem jego dawnej wielkości lub przypomnieniem momentów, związanych z jego upadkiem. Uznawał wogóle zresztą jedynie krajobrazy, mające historję. One tylko przemawiały do jego umysłu i wyobraźni, pobudzając w równym stopniu zaciekawienia socjologa, historyka, pisarza i artysty. Persja, z pięknem licznych jeszcze zabytków i majestatem ruin, zamknięta w nawskroś swoiste a wysoce charakterystyczne formy bytu, była jednym takim krajobrazem.

Ponadto, nie będąc — jak to wykazują orientaliści — ścisłym interpretatorem tekstów, znał jednak doskonale język i mógł zetknąć się nierównie bliżej niż ogół Europejczyków z ludnością miejscową, wniknąć

w tryb jej bytu i myśli, obcować z filozofami i uczonymi Iranu. Wyzyskał te możliwości w najszerszym jak mógł zakresie. *Trzy lata w Azji* są prawdziwą skarbnicą faktów, często drobnych napozór, a w rzeczywistości znamiennej szczegółów, niezrównanych nieraz w swej finezji anegdota i przenikliwych spostrzeżeń, rzucających wymowne światło na psychikę rasy. Zarówno zewnętrzna fizjognomja Perskiego Wschodu, jak wewnętrzny podkład jego życia nie znalazły nigdzie lepszego odzwierciedlenia. Ludzie, rzeczy, układ stosunków i obyczaje, — wszystko, co nadawało Persji ówczesnej jej specjalne piętno, utrwalone zostało w tej książce w tonie swobodnego, niewymuszonego opowiadania, czyniącym z niej jakby kronikę, spisana przez naocznego świadka wydarzeń, wmieszanego do nich zbliżka. Żadnych popisów elokwencji, do których sam przedmiot nasuwał tyle sposobności, żadnej pogoni za efektem, żadnych uzewnętrznień sentymentalnych, nic też wogóle, coby przypominało w formie i sposobie ujęcia przemijające prądy doby. Dlatego jednak właśnie w dużej mierze zachowała ta książka po dziś dzień całą swą świeżość.

Do tego świata wschodniego, tak odmiennego od naszego, Gobineau nie przykłada miary naszych koncepcyj i wymagań intelektualnych i etycznych. Wzbrania się od wydawania o nim sądów ze stanowiska naszych pojęć. Chce utożsamiać się z nim niejako, wnikając w jego punkt widzenia, w słusznem przeświadczeniu, że jedynie w taki sposób może sobie zdać sprawę z wytycznych pobudek jego myśli i czynu. Prowadzi go to do wysoce ciekawych konkluzyj. Prastara nacja, którą niezliczone wojny, najazdy, podboje nauczyły najwyższego sceptycyzmu, stała się wkońcu, zdaniem Gobineau, narodem apolitycznym. Forma rządów kraju jest jej raczej obojętna: nie ufa żadnemu. Z patryjotyzmu zachowała tylko właściwie z jednej strony gorące umiłowanie wielkiej tradycji historycznej szczepu irańskiego, z której, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, czerpie przeświadczenie o jego wyższości nad wszystkimi narodami świata, z drugiej strony niemniej żywy kult dla imamów, potomków Alego, występujących nawet u ludzi całkowicie areligijnych. Choć bowiem Arab z pochodzenia, Ali, zespolił był swe losy z podbitą przez najeźdźcę Persją: syn jego Hussein poślubił ostatnią księżniczkę z domu Sassanidów, a męczeńska śmierć całej jego rodziny z ręki tego najeźdźcy symbolizuje w oczach narodu jego własne losy i prześladowania, jakich był sam przedmiotem. Ktokolwiek tedy zdraśnie na tych punktach uczucia narodowe Persa, czyni sobie z niego wroga. Nikt bowiem i nic bodaj nie pozbawi go tej, według określenia Gobineau, „nieśmiertelnej cząstki patryjotyzmu“.

Natomiast obojętność w dziedzinie politycznej, płynąca u tureckiego odłamu ludności, dającego krajowi od wieków rządzące nim dynastje, z innych pobudek niż u „Farsi“, dla których już ci władcy są, w gruncie rzeczy, obcym rządem, tu i tam atoli jednakowo głęboka, inoże bezsprzecznie stawiać kraj, otoczony przez potężnych sąsiadów, wobec groźby mniej lub więcej wyraźnych aneksyj. Istotnie, w ostatnim choćby tylko przedwojennym okresie jego dziejów, widzieliśmy go podzielonym na dwie „sfery wpływów“ i zmuszonym do poddawania się nasuwanym mu z jednej i drugiej strony dyrektywom. Jeśli jednak Wschód, mówi Gobineau, jest kęskiem nadcr ponętym, z a t r u w a tych, którzy kuszą się na tę ponętę. Przygotowują sobie, nakładając na niego rękę, gorzkie zawody. Nieprzeparate

ciążenie Zachodu do Azji wiedzie go nieraz na drogi wręcz przeciwnie jego interesom, dyktując mu w różnych kierunkach politykę, nawskroś ujemną dlań w ostatecznych wynikach. Warto podkreślić ten jeden z pośród wielu dowód przenikliwości „fantazyjnego“, jak nazywano go w sferach ministerjalnych, dyplomaty. Bo nikt chyba nie zaprzeczy, że fakty zdają się potwierdzać coraz wymowniej jego w tych sprawach opinię.

O ile atoli Azja Środkowa uniknie wchłonięcia jej, w tej czy innej formie, przez ostrzące na nią apetyt mocarstwa europejskie, Gobineau widzi przed nią jedynie wegetowanie nadal, jak wegetowała już od wieków, i przyszłe jej losy ukazują mu się w tej zwłaszcza perspektywie. I tu również; mimo różne zmiany, reformy i nawet ustroj konstytucyjny, rzeczywistość nie zadaje bodaj zbyt kłamu jego przewidywaniom. „Nie ma już (jego zdaniem) przyszłości dla tych krain. Pragną żyć już tylko karmem tego, co było“. Nie tłumaczmy jednak słów tych opacznie. Z Azji bowiem wyszło wszystko, co było. „Wszystko czerpało w niej swe źródła.... Tu dokonany się wydarzenia najbardziej doniosłe i najplodniejsze.... Z tego gruntu wyrosły największe idee; tu szukali po wsze czasy swych doktryn filozofowie“. I wystarcza to niewątpliwie.

W tych refleksjach streszcza Gobineau w chwili pierwszego rozstania się z Perskim Wschodem swój do niego stosunek. Bo, mówiąc wogóle o Azji, jego ma w dużej mierze na względzie. I od takichże refleksyj rozpoczyna *Religje i filozofje*. Podobnie bowiem jak ludy, zamieszkujące płaskowzgórze Iranu, pomny jest zawsze jego wielkiej przeszłości. Nie przytępiając bynajmniej jego zmysłu krytycznego wobec teraźniejszości, ani osłabiając ostrza jego satyry w chwili, gdy wydobywa najaw jej najdotkliwsze bolączki, świadomość ta zabarwia pewną pobłażliwością nawet jego ironję. Sama zresztą, tak dziwnie pogodna tu, atmosfera życia, osłabiła niezaprzeczenie napięcie jego pesymizmu, ncząc go, jak przyznaje sam, cenić chwilę bieżącą, „co jest już początkiem mądrości i jedynym sposobem osiągnięcia szczęścia“. Uległ tedy jej skojarzonym czarom w zetknięciu z tymi nieopatrzonymi i tak często nieobliczalnymi, ale jednocześnie tak pociągającymi „Iranami“, niezawsze szczerymi i nieraz wypaczającymi prawdę, ale czyniącymi to zawsze z taką elokwencją, naiwnymi i zarazem przebiegłymi, ale subtelnyymi nawet w swej naiwności, a nadewszystko pełnymi w swym wrodzonym arystokratyzmie niezrównanej dystynkcji, która sprawia, że „nawet gawiedz nie jest tu nigdy wulgarna“; że nawet żebrak, dodam od siebie, wyciąga rękę po jałmużnę z kwiecistym przemówieniem i gestem wielkopańskim. Nikt zaś nie mógł być na to wrażliwszym niż Gobineau. To też nawet wówczas, gdy ćwiczy z zapalem swę werwę satyryczną, małując bezład, chaos i korupcję, toczącą organizm narodu, Iran pozostaje dlań, jak dla bohatera *Wojny Turkomanów*, Iranem, — a więc, mimo całe krzewiące się w nim zło, najmiłszym z krajów. Gdy spędziło się w nim czas jakiś, chciałoby się do niego powrócić, a gdy jest się w nim, „chciałoby się w nim umrzeć“.

\*

*Religje i filozofje Azji Środkowej* są właściwie uzupełnieniem *Trzech lat w Azji*. Tylko, gdy w pierwszej pracy autor kładł głównie nacisk na ogólną charakterystykę rasy i tryb jej życia, druga obraca się przedewszyst-

kiem naokół zagadnień jej życia moralnego i duchowego, uwydatniając z wielką wyrazistością tkwiącą niejako organicznie w ludach Perskiego Wschodu potrzebę oddychania atmosferą dociekań filozoficznych i religijnych, która nie pozwala im zakreślać granic swym zaciekawieniom w tym kierunku i zamykać się ściśle w obrębie jakiejś doktryny. To też, pod pokrywką oficjalnego kultu i w jego łonie, krzewi się mnóstwo koncepcyj wierzeniowych, ukształtowanych z najprzeróżniejszych pierwiastków religijnych i filozoficznych, — koncepcyj niejako płynnych, bo układających się u każdego z ich adeptów w coraz to inne formy i dających kolejno przewagę wręcz przeciwnym sobie nieraz pojęciom. We wszechogólnem bowiem pożądaniu wciąż nowych odkryć i zdobyczy w tej dziedzinie, każdy „Irani“ przebudowuje wciąż w myśli gmach swych teoryj, szczęśliw, gdy może dorzucić do niego nową cegiełkę i przeświadczony wówczas, że oto posunął się o krok dalej na drodze poznania. Ponadto Islam perski, z rozciągłością swych formuł, ułatwia wprost mnożenie się sekt, których dogmaty dają się zawsze niemal wtłoczyć w jakiś sposób w jego kadry. Cały Wschód Perski uprawia przytem, pod mianem *ketman*, w jak najszerszym zakresie, metodę zastrzeżeń wewnętrznych, pozwalającą ukrywać istotę swych wierzeń przez wprowadzanie w błąd co do ich natury. Jest to nietylko zabezpieczeniem się przeciw ewentualnym prześladowaniom ze strony przedstawicieli religii oficjalnej, bardzo zresztą tolerancyjnej, pokąd wyznawcy tej czy owej sekty nie wchodzą z nią w konflikt zbyt ostry, lecz i chęcią uchronienia tajemnic swej wiary przed profanacją, jaką jest narażanie jej na krytykę niewiernych.

Sam już rys ogólny głównych systemów religijnych i filozoficznych Azji Środkowej, na tle intelektualnego i duchowego podłoża rasy i łącznie z zaznaczeniem różnic pomiędzy islamizmem perskim i arabskim, wystarczyły dla zapewnienia tej książce trwałego istnienia. Ale uwagę czytelnika przykuwają nierównie więcej jeszcze jej dwie dalsze części. Pierwsza z nich poświęcona jest dziejom rozwoju i analizie jednej z tych religij, mianowicie babizmu<sup>1</sup>, najbardziej z pewnością doniosłego zjawiska w moralnem i duchowem życiu Persji w ubiegłym stuleciu, druga traktuje o *takieh* lub *tazieh* (teatrze) perskim, ściśle związanym z życiem religijnem kraju. W jednym i drugim wypadku był Gobineau wobec swych współczesnych odkrywcą. Jest pierwszym historjografem europejskim babizmu i pierwszy też pokazał teatr perski w jego prawdziwem świetle i znaczeniu.

Mirza Ali Mohamed, młody seid z Szyrazu, który, przybrawszy miano Baba (wrota do poznania prawdy), stał się inicjatorem i głosicielem nowej wiary i skupił naokół siebie olbrzymie tłumy wyznawców, zginął był śmiercią męczeńską, wraz z tysiącami swych zwolenników, na parę zaledwie lat przed pierwszym przybyciem Gobineau do Teheranu. Słumiona, ale nie zduszona wiara, dążąca zwłaszcza do otworzenia przed Persją dróg odrodzenia moralnego, żyła nadal w wielu bardzo umysłach i sercach. Nie zamilkły też były jeszcze echa straszliwych prześladowań — po dość długim zresztą okresie tolerancji — i nadludzkiego wprost bohaterstwa męczenników, wśród których nie brak było kobiet i dzieci. To też, opierając się za-

<sup>1</sup> Na babizmie zaszczerpił w następstwie swe nauczanie Beha-Ułlah, nadając loktrynie tej formę ostateczną.

sadniczo na oficjalnym dziele muzułmańskiego historyka, Lessan-eł-Mulka, Gobineau mógł jednocześnie czerpać informacje z ust naocznych świadków wydarzeń i często ich protagonistów. Ułatwiały mu w tym względzie znakomicie zadanie oparte na wzajemnym zaufaniu stosunki z wielu wybitnymi przedstawicielami myśli i nauki Iranu. Dzięki nim mógł również zapoznać się w oryginale z dziełami, streszczającymi doktrynę teologiczną Bába<sup>1</sup>, których samo przechowywanie narażało w owym momencie ich posiadaczy na karę śmierci.

Dzieje ruchu, które skreślił na podstawie tych wszystkich źródeł, uważane są za dokument pierwszorzędnej wagi. Zdaniem największego dziś autorytetu w tych kwestjach, E. Browne'a, członka Akademii Wielkobrytańskiej, „*Religje i filozofje* pozostaną na zawsze dziełem klasycznym“, i nikt zgoła nie dorówna Gobineau nawet w przybliżeniu w traktowaniu podjętego przezeń w tej pracy przedmiotu.

Tyle co do wartości naukowej rzeczy i jej ścisłości dokumentacyjnej, dla uspokojenia czytelników, pragnących, całkiem słusznie, gwarancji w tym względzie. Świadomość zresztą, gdy chodzi o stronę informacyjną, że nie dodała tu nic wyobraźnia autora, którego jedynym komentarzem jest pokazanie faktów w związku z zespołem czynników, działających na psychikę indywidualną i zbiorową, i w świetle tej psychiki, doskonale zarazem zaobserwowanej i wyczutej, — potęguje jeszcze niewątpliwie u każdego, kto styka się z tą książką, intensywność wrażenia. W swym dążeniu do dania jak najbardziej obiektywnego obrazu ruchu, Gobineau trzyma też na wodzy swe wzruszenie i tem więcej jeszcze podnieca nasze, cisnąwszy nam przed oczy tę drgającą tętnem życia i przejmującą aż do bólu w swym napięciu, krwawą i patetyczną kartę dziejów duszy Perskiego Wschodu, w której tajniki wejrział z taką przenikliwością. Historji babizmu nie można czytać spokojnie.

Oto bowiem naród miękki i beztroski, pozwalający życiu unosić się na swej fali, którego żadne racje polityczne nie pobudziłyby już, zdaniem autora, do prawdziwego czynu zbiorowego i którego sceptycyzm w tej mierze ujawniony został w *Trzech latach w Azji* na całym szeregu wysoce charakterystycznych przykładów, że wspomnę tylko zainicjowane w pewnym momencie przez władze próby wywołania „świętej wojny“ przeciw Anglikom, opowiedziane przez Gobineau z istic wolterowskim zacięciem. I jednocześnie, wobec roznamiętniających go zagadnień wiary, tysiące jego synów zaciąga się pod sztandar doktryny, przemawiającej do nich w imię prawd najwyższych i z bezprzykładnym samozaparciem, w najcięższych warunkach, poprzez najtragiczniejsze przejścia, głosi ją, szerzy i broni jej postulatów aż do śmierci męczeńskiej, nie wyrzekając się jej wobec najwyszukańszych tortur, najdzikszych prześladowań. W szeregach tych nie brak ludzi bogatych i wpływowych, filozofów i uczonych, wysokich przedstawicieli kleru, słynących ze swych cnót i mądrości, jakkolwiek sama walka z babizmem zaczęła się za inicjatywą mułłów, zaatakowanych bezpośrednio przez Bába. Mimo jednak naporu z tej strony, władze uległy mu dopiero wówczas, gdy niektórzy z wyznawców jego doktryny zainaugurowali, bez jego zresztą

<sup>1</sup> Koniec drugiego tomu zawiera dokonany przez pisarza przekład jednej z ksiąg Bába, w której ten ostatni streścił swoją doktrynę z największą, zdaniem Gobineau, precyzją.

spółdziału, politykę babizmu, na którą nakazywała rzekomo rządowi zareagować racja stanu. Rzekomo tylko, bo prześladowania przysporzyły jedynie sekcje wielu nowych wyznawców.

Śród tych wyznawców, nie brak było również, jak już zaznaczyliśmy, i kobiet. Bab żądał dla nich zniesienia podwójnej niewoli „enderumu“ i zasłony, znieprawiającej jednakowo ich umysł i duszę. Domagał się dla nich prawa obcowania swobodnie z mężczyznami i ogólnego podniesienia ich poziomu etycznego i intelektualnego, ufając, że w ten sposób przyczyni się do stworzenia w swym kraju tak obcej jego cywilizacji r o d z i n y. Pomiedzy głównymi krzewicielami jego doktryny wysuwa się na plan pierwszy kobieta dużej wiedzy i niepospolitej inteligencji, występująca w dziejach babizmu pod przydomkiem Gurret-ul-Ain (Pociecha oczu), która byłaby wszędzie zgoła zjawiskiem zewszeczmiar niezwykle i która wywiera olbrzymi wpływ na gromadzące się naokół niej zastępy wyznawców nowej wiary. Trzeba przeczytać opis jej śmierci. Pełen godności stoicyzm ostatniej garstki skazańców, do której należała, zdobył babizmowi więcej wyznawców, niż najgorliwsza propaganda. Nikt prawie zresztą w szeregach zwolenników Baba nie znał strachu. Odstępstwa są tu faktem odosobnionym. Jeden z najwierniejszych uczni mistrza, który wyprze się go w chwili przemijającej słabości, wywołanej nierównie więcej katuszą moralną niż torturą fizyczną, szukać będzie następnie śmierci męczeńskiej z prawdziwym zapamiętaniem.

Zaznaczmy jeden jeszcze szczegół znamieny: wielu z najbardziej przekonanych wyznawców babizmu i najwybitniejszych jego głosicieli nie zetknęło się nigdy z samym Babem. Nie widziała go nawet nigdy, między innymi, Gurret-ul-Ain, nie widział nigdy ten, którego ogłoszono po jego śmierci za jego następcę. Nie wchodziła tu tedy zgoła w grę siła jego osobistej perswazji, która oddziaływała podobno w wyokim stopniu na całe jego otoczenie, lecz jedynie sama doktryna, istota dogmatu. I trudno zaiste o bardziej wymowny przykład ciężenia rasy ku dociekaniom religijnym, jak dzieje tego ruchu, który w ciągu pięciu lat (1847—1852) objął cały kraj, dotarłszy do najzapadlejszych jego zakątków i zapalając w duszach nie tylko płomień niezmożonego entuzjazmu, ale i energję czynu, tak obca już jego ludności w innych okolicznościach.

Teatr perski, związany ściśle, jak zaznaczyliśmy wyżej, z tradycją religijną, znalazł słusznie miejsce w tym rysie systemów wierzeniowych. Przedstawienia jego, odbywające się podczas pierwszych dziesięciu dni Moharemu, miesiąca smutku i żaloby, mają na celu upamiętnienie kolejnych epizodów końca życia Imama Husseina i jego rodziny aż do ich tragicznego wymordowania na równinie Kerbela. Wytepienie Alidów przez halifa Yezida dostarcza Persom tegoż rodzaju podniet twórczych, jak cywilizacjom chrześcijańskim tragedia Krzyża. Dołączają się atoli do nich inne czynniki. Wskutek poślubienia przez Husseina księżniczki z rodu Sassanidów i związanych z tem faktów dramat religijny stał się jednocześnie dramatem klęski narodowej, a śmierć męczeńska czczonego Imama zobrazowaniem nieszczęść Iranu, zalanego przez zwycięskie armje halifa. Skojarzenie w losach Hussina tych pierwiastków emocji domagało się wprost wskrzeszenia ich na scenie.

Oddziaływanie tych misterjów na umysły danem mi było parokrotnie stwierdzić osobiście. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej przejmującego

niż nastrój audytorjum, wypełniającego przez te dni dziesięć wszystkie *takieh*. Sała, podniecona już przemówieniem mułły, poprzedzającem każde przedstawienie i zachęcającem słuchaczy do wylania nazewnątrz nagromadzonego w duszy bólu, — przeżywa wszystkimi fibrami istoty każdy moment akcji, rozgrywającej się na scenie, wszystkie ciosy godzące w Husseina i jego oteozenie. I gdy w cbwilach najbardziej patetycznych wybucha cała olbrzymim jękiem, krzykiem i zawodzeniem, najbardziej zahartowane nerwy nie mogą oprzeć się wzruszeniu wobec tej skargi i tej egzaltacji duszy zbiorowej. Nawet ludzie, uświadamiający sobie dokładnie wielką w tym kierunku pobudliwość rasy i usposobieni krytycznie do samego widowiska, wynoszą z *takieh* głęboko wstrząsające wrażenie. Wizji tego teatru nie można zapomnieć.

Przedstawienia jego stają się podobno coraz rzadsze. Wraz ze stopniowym modyfikowaniem się warunków jej życia, Persja dzisiejsza zatracając zresztą musi niewątpliwie niejedną z cech, które składały się na jej tak swoistą i różnorodną fizjognomję zewnętrzną. Tem cenniejszymi stają się prace, które ją utrwaliły. Nie zmieniła się ponadto treść i rdzeń psychiki narodowej, a ta nie znalazła nigdzie wierniejszego niż u Gobineau odzwierciedlenia.

MARJA RAKOWSKA.

### Z LITERATURY DUŃSKIEJ.

II. WIEK XX. — Powieść: Johannes V. Jensen, Marcin Andersen Nexö, Johann Skjoldborgs, Marja Brengendahl, Thit Jensen, Kund Hjortö. — Liryka: Kaja Hoffmann, Valdemar Rördam, Jeppe Aakjaer. — Harald Kilde. — Harry Söyberg — Islandczycy: Johann Sigurjónsson, Gunnar Gunnarsson, Guðmundur Kamban. — Najmłodszy: Johannes Buchholz, Hans Hartvig Seedorf, Emil Bönnelycke, Tom Kristensen. — Zakończenie.

W literaturze duńskiej dwudziestego wieku, która jest bogata i różnorodna, trudno znaleźć jakiś panujący kierunek. Decydujące znaczenie miała jednak w tym okresie t. zw. „poezja rodzima“, t. j. ta, której twórcy opiewali z zamiłowaniem przyrodę i życie ludu wiejskiego w swoim zakątku. Bądź co bądź bowiem nawet młodzi poeci, którzy wyszli poza granice tego rodzaju sztuki, tkwili poezjątkowo w sztuce tego właśnie kierunku. U wielu z nich można zauważyć tendencje wychowawcze, u innych dużą rolę odgrywa tendencja społeczna. Już na przełomie dwu wieków skończyła się rola i znaczenie symbolizmu. Wartość tego kierunku polegała na głębokim wysubtelnieniu uczuć, ujęciu ich intelektem, na szlachetności tonów lirycznych i — u Joergensena w szczególności — na podniesieniu uczuć religijnych. Poeci XX wieku zwróceniu są wszyscy „nazewnątrz“ i zatonienie się w sobie uważają za rodzaj choroby. Heroldem nowych czasów jest Johannes V. Jensen (ur. 1873 r.), największy artysta-prozaik tych czasów, choć nie największa indywidualność — tą bowiem mimo wszystko jest Henryk Pontoppidan, ten, który głosił jasność myśli i męską

równowagę umysłu. Takiej indywidualności szarmonizowanej Jensen nie posiada. Charakter jego świadczy o dziwnej dwoistości, na którą składa się pierwotna siła jego przodków-chłopów pomieszana z wrażliwością nowoczesnego człowieka. Nadwątlonej zdolności do czynu symbolistów przeciwstawia on siłę barbarzyńców. Nowy wiek nie należy do ekstatycznych kontemplatorów, lecz „do silnego, wesoło śmiejącego się mężczyzny“. Symboliści wydają mu się oszukanem, nieszczęśliwym pokoleniem: chce on, jak powiada, „pobić tych, co przeczą, a umocnić prawo zdrowych do panowania“. Pochodzi ze starej jutlandzkiej rodziny chłopskiej, ojczyzną jego, w węższym zakresie tego pojęcia, jest północny okręg Jutlandji, Himmerland, z którego przed dwoma tysiącami lat wywedrowali Cymbrowie. Ta właśnie ojczyzna jest źródłem jego pieśni. Dość dziwne, że choć Jensen twórczość swą rozpoczyna jako przedstawiciel lat dziewięćdziesiątych, to jednak już w małej powieści p. t. *Ejnar Elkjaer*, w przesadnym świetle ukazując brak woli, charakterystyczny dla tego lat dziesiątka, zadaje minionemu kierunkowi cios śmiertelny. Znudzony życiem swego kraju udaje się w podróż. Tam miała dlań wielkie znaczenie, bowiem, jak jego umiłowany bohater, Kolumb, odkrywa Amerykę. Jest to dlań kraj wieku XX, wieku techniki, siły czynu i odtąd to poezja jego waha się między dwoma biegunami: jego stronami rodzinnymi i Ameryką. Sławę swą ugruntowuje Jensen powieścią *Historja Himmerlandu* (3 tomy), w której wielu widzi szczyt jego sztuki. Nowoczesną Amerykę przedstawia w wielkich powieściach *Madame d'Ora* i *Kolo*. Najwyraźniej widzieć można potęgę talentu Jensena w głównym jego dziele p. t. *Wielka podróż*, będącym serją sześciu powieści: *Utracony kraj*, *Gletczer*, *Gość Norny*, *Pochód Cymbrów*, *Okręt* i *Krzysztof Kolumb*. Po ukończeniu tego cyklu, dał Jensen w małej książeczce pod tytułem *Estetyka i rozwój* nie przewodnią do zrozumienia swego dzieła. Uważa on ją za biblię nowych czasów; teoria rozwoju Darwina ma, według niego, zastąpić podania Starożytności. Para ludzi z epoki lodowej, która tworzy zaczątki kultury w walce z surową przyrodą, ma zastąpić podanie o Adamie i Ewie. Na północy w epoce lodowców widzi on kolebkę kultury, która powstała w walce z żywiołami, a później rozprzestrzeniła się na południe. Hipoteza ta nie ostaje się wobec krytyki, ale nie na niej polega wartość tego poetyckiego dzieła. Znaczenie jego polega przede wszystkim na tem, że autor potrafił dać z niewynaturzoną intuicją człowieka pierwotnego obraz przyrody i życia ludzkiego w przedhistorycznej i historycznej epoce naszej ojczyzny i to w szeregu potężnych scen, w pierwotnie potężnej mowie. Język ten dał podwaliny do takiej odnowy prozy duńskiej, jakiej po śmierci Jacobsena nikt się nie spodziewał. W pierwszym tomie (*Utracony kraj*) małuje autor zamierzchy okres tropikalny na północy, gdy ludzie bytują jeszcze w pierwotnych warunkach. Następny tom (*Gletczer*) przedstawia walkę człowieka pierwotnego, walkę, która powstała wskutek nagłego ochłodzenia klimatu, a w trzecim tomie (*Gość Norny*) — wyłonienie się z morza pięknych brzegów i lasów wyspy Zelandji w epoce kamiennej. Dalej (w *Pochodzie Cymbrów*) następuje przedstawienie życia prostego ludu i przyrody w umiłowanym kraju rodzinnym poety, Himmerlandzie, przed dwoma tysiącami lat, przed wyjściem Cymbrów i starciem się kultury germańskiej i rzymskiej. W piątym tomie mamy Danję z czasów wikingów; kończy dzieło tom szósty, który przedstawia odkrycie Ameryki. Kolumb,

ulubiony bohater Jensena, jest potomkiem Longobardów, którzy wywędrowali z północy; jest typem człowieka północy o nieustraszonem zuchwalstwem wikingów. W ten to sposób udaje się autorowi połączyć swój umiłowany kraj z nowoczesną Ameryką. We wspaniałej postaci Kolumba ucieleśnił Jensen niespokojnego ducha nowych czasów i swą własną tęsknotę dali. Jak poetów romantycznych Danji około 1800 roku cechuje tęsknota za tem, co rodzime, tak dziś magiczny czar ma tęsknota do wyjścia poza jej obręb. Wszyscy prawie pisarze XX wieku, np. Rördam, Hoffmann, Seedorf, są wędrowcami świata, lecz najpotężniejszy wyraz tych tęsknot znajdujemy w poezji Jensena. W swych podróżach odnajduje on egzotyczne tematy, które i dziś, jak za czasów romantyków, należą do ulubionych. Jako liryk jest Jensen również wspaniały i oryginalny, chociaż niezbyt produktywny. Jako mistrz i przewodnik młodej generacji cieszy się ogólną sympatją.

Obok Jensena należy wymienić drugą wielką postać współczesnej literatury duńskiej, Marcina Andersena Nexö, który także wywodzi się z literatury narodowej. Pochodzi on z wyspy Bornholm. Rozpoczyna swoją działalność jako rubaszno-realistyczny opowiadacz, później coraz silniej występują w jego twórczości tendencje społeczne, wreszcie porzuca literaturę narodową w węższem znaczeniu tego słowa i staje się wielkim piewacą proletariatu. Najznakomitszymi jego dziełami są powieści: *Pelle — zdobywca* i *Ditta — dziecię ludzkie*. Szczególnie udajc mu się przedstawienie dzieciństwa obojga tych bohaterów; czyni to z przekonującą siłą i rzetelnością. Wogóle jest jako poeta największym wtedy, gdy ujawnia swobodnie swe współczucie dla człowieka. Roztrząsanie problemów społecznych szkodzi często poetyckiej stronie dzieł Nexö'a, ale jest on doskonałym wyrazicielem klasy, która przedtem nie miała swego przedstawiciela w literaturze naszej. Zapalony zwolennik młodej Rosji przebywał tam długo po wojnie, by badać rosyjskie stosunki społeczne.

Całkowicie narodowa jest poezja Johanna Skjoldborgsa i nie brak w niej nigdy tendencji wychowawczych. Szczególniej lubi ten pisarz przedstawiać życie pierwszych osadników w nietkniętych jeszcze kulturą zakątkach Danji i ich walkę z jalową ziemią. — Do poezji ludowej i narodowej należą książki najwybitniejszej naszej współczesnej poetki, Marji Brengendahl. Z przedziwną, prawdziwie kohiecią subtelnością psychologiczną ukazała ona w długim, siedmiotomowym szeregu powieści p. t. *Ludzie z Seetal* swe strony rodzinne i całe życie epoki lat osiemdziesiątych. Życie to ujmuje autorka „od wewnątrz“ i przepaja zarówno rzeczy tragiczne, jak i komiczne serdecznym, słonecznym humorem. Mistrzowska jest charakterystyka postaci kobiecych i typy oryginalów wiejskich, tak dziwaczknych a tak bardzo ludzkich w tem przedstawieniu. — Wysoce uzdolnioną pisarką jest także Thit Jensen, siostra Johannes V. Jensena. Do szczególnie szczęśliwych pod względem artystycznym momentów jej twórczości należy zaliczyć te, w których porzuca temat nowoczesnego ruchu kobiecego i psujące artyzm tendencje, a przechodzi do przedstawienia chłopów swej prowincji. Znakomicie i bez sentymentalizmu kobiecego przedstawiła walkę starych zubożałych chłopów o zachowanie dla rodziny odziedziczonego gruntu (*Ziemia*), równie udana jest postać

starego bogatego chłopca, wiozącego nocą przez błonia martwe ciało swego jedyne go, zwyrodniałego syna.

Przez swe pochodzenie wiąże się również z poezją narodową postać K u n d a H j o r t ö, ale w usiłowaniu swych daleko poza nią wychodzi. Hjortö jest subtelnym, niemal naukowym obserwatorem duszy ludzkiej, ale artystyczne przedstawienie rezultatów tych spostrzeżeń niezawsze mu się udaje, głównie dlatego, że zarówno jego psychologię, jak i jego język cechuje wymyślność, sztuczność i ciężkość. W swej skłonności do hiperrefleksji i autoanalizy ukazuje się ten autor jako wyraziciel dążności lat dziewięćdziesiątych i kontynuuje właściwie tylko w duchu XX wieku ówczesną literaturę psychologiczną. Instynkt życia u ludzi — sądzi Hjortö — uległ jakiemuś wykołajeniu; trzeba przywrócić równowagę. Problemem jest tu zawsze stosunek rzeczywistości do fantazji, poznania do popędów. Zagadnienia te roztrząsa autor w trzech najlepszych swych powieściach: *Proch i gwiazdy* jest, zgodnie z jego własną charakterystyką, powieścią o fantazji, *Dwa światy* — powieścią o inteligencji, a *Hans Raaskov* — powieścią o namiętności i woli.

\*

Co się tyczy liryki tych lat — to jest ona częściowo dalszym ciągiem twórczości poetów typowych dla lat dziewięćdziesiątych, częściowo uległa przemianie, przez nowe i tęgie siły dokonanej, przyczem przemiana ta odbyła się wyraźnie w kierunku unarodowienia. Uczucie narodowe, które u Drachmanna daremnie walczyło z kosmopolitycznym charakterem modernizmu, znowu, po raz drugi od czasu nieszczęść narodowych 1864 roku, znajduje mocny i pełny wyraz. Czas wątpiących minął już i w liryce: i tu, jak u Jensena, czuć wzmocnienie sił narodowych. Można w tej dziedzinie wskazać dużo postaci przejściowych, jak np. K a j a H o f f m a n n. Jeden to z oryginalniejszych liryków tamtych czasów, początkowo obcy światu czciciel piękna, który coraz bardziej zbliża się do realnego życia i jemu hołd składa. Wkońcu to, co narodowe, i to z podkreśleniem elementów typowo północnych, staje się przedmiotem jego liryki. Odrodzenie „skandynawizmu“ podczas wojny natchnęło i jego i nikt tak mocno nie akcentował faktu, że granica duńska jest granicą północnego i południowego germanizmu. — Jednak istotną wielkością w dziedzinie tej liryki jest V a l d e m a r R ö r d a m (ur. 1874 r.), przeciwstawiający się symbolistom uczeń Drachmanna. U niego po raz pierwszy znowu od czasów Drachmanna łączą się wszystkie tony liryki — znowu słyhać śpiew z pełnej piersi. Miękki język duński zyskuje w jego poezji mocny północny ton. Jako indywidualność jest on bardziej od Drachmanna harmonijny, narodowa bowiem idea opanowuje go całego. Poeta wie, że jest tym, który budzi i wychowuje naród, tak jak to czynił Grundtvig (którego też nieraz przypomina) i jak to czynił Drachmann. Szuka on źródeł swego natchnienia w duńskiej i północnej kulturze wszystkich epok. „W Danji jestem w domu z a w s z e i w s z ę d z i e“. „Strach przed wyczerpaniem życia duchowego narodu duńskiego“ był mn ostrogą do tworenia, stąd płynie w jego pieśniach „ton zagłady“. Dla pokrzepienia swych rodaków patrzy on nieraz w przeszłość i stawia współczesnym przed oczy wielkich zmarłych, lub patrzy w przyszłość i przedstawia z zamiłowaniem ludzi czynu swych czasów, up. wielkich kupców. Niewyczerpanem źród-

tem jego natchnienia była walka w Szlezwiku, ale z upodobaniem szuka tematów o pierwiastkach narodowych we wszystkich czasach i u wszystkich ludów. Pięknie m. in. przełożył *Grób Agamemnona* Słowackiego. Często spotykają go zarzuty panującej dziś krytyki za zbyt wyraźne narodowościowe piętno, w sztuce jego panujące, ale jego mistrzostwo artystyczne i wszechstronność zyskały powszechne uznanie.

Obok Rördama można z współczesnych liryków postawić tylko jednego, J e p p e A a k j a e r a, jutlandzkiego liryka chłopskiego. Ale już przez sam fakt, że Aakjaer duszą i ciałem należy do sztuki rodzimej — jasną jest rzeczą, że dziedzina jego twórczości jest węższa, niż Rördama, chociaż cieszy się on większą niż tamten poczytnością. W szerokich, nieco staromodnych rytmach przedstawia on z religijną niemal kontemplacją surową piękność swych ukochanych łąk i proste życie chłopów swych stron ojczystych. Posługuje się często narzeczem jutlandzkim, bądź w pieśniach, przesyconych słonecznym humorem, bądź w głęboko poważnych, nawet tragicznych poezjach. Podejmuje nieraz motywy wierzeń i baśni ludowych. Jest to najbezpośredniejszy poeta ludowy, ale i w kołach literackich cieszy się wielką sławą. Prototypem jego poezji jest twórczość znakomitego Szkota Roberta Burnsa, którego pieśni nieraz na język duński przekładał. W całej jego twórczości przebija czujny zmysł społeczny, lecz gdy próbuje swych sił w prozie, tendencjom tym poświęca zbyt wiele miejsca, psując wrażenie estetyczne dzieła.

\*

Samotny, obcy światu, zdala od wszystkich kierunków mody, stoi powieściopisarz H a r a l d K i d d e (ur. 1878, zm. 1918). Wielu chce w nim widzieć najgłębszego ducha tego lat dziesiątka. Całą jego twórczość można ująć jako reakcję przeciw duchowi czasu, który często tak bezwzględnie apoteozował świat zewnętrzny, technikę, siłę barbarzyństwa. Można go uważać za kontynuatora symbolizmu o tyle, że nie interesuje się on faktami dla nich samych i przedstawia tylko ich odbicie w duszy ludzkiej. Przez głębię i powagę swego ducha spokrewniony jest ze Stuckenbergiem i Jørgensenem, ale brak mu zupełnie czystego liryzmu tamtych pisarzy. Najlepiej da się porównać z filozofem Sørenem Kierkegaardem. Jak tamten, pogardza Kidde tłumem i świadom jest tego, że pisze tylko dla jednostek. Jak tamten, podkreśla wartość duszy jednostki i jak tamten, przeciwstawia piekłu świata zewnętrznego cnoty starego chrystjanizmu: czystość, wierność, wielkoduszność i sprawiedliwość. Nieograniczonemu rozwojowi własnego ja przeciwstawia wolę ofiary i panowanie nad sobą jako podstawy życia. Nie są wolne jego książki i od elementu wrogości względem życia i ascetyzmu. W jednej dziedzinie jest on bezwzględnym mistrzem: nikt nie potrafił w naszej literaturze przedstawić z taką powagą, jak on, rozlicznych walk pierwszej młodości. Z tego względu wymienić należy dwie wielkie jego powieści: *Aage i Elza* i *Slepcy*. Największym jednak jego dziełem jest powieść *Bohater*. W głównej postaci starego nauczyciela Klemensa Beka, którego duszę przepelnia całkowicie woła ofiary i pokora, ukazał autor swój ideał, przeciwstawiając go czasom, nacechowanym szukaniem siebie i niepokojem. Na małej wyspie pośród szarego morza, gdzie rozgrywa się akcja powieści, zebrał poeta całą nędzę ludzką, którą ze straszliwą wy-

razistością postawił nam przed oczy, w piekle zaś tego życia ukazał piękną i czystą duszę jak niebo samo. Śmierć porwała Kiddego w środku jego niespokojnej twórczości u szczytu umiejętności. Równie bolesnej straty nie poniosła chyba nigdy nowoczesna literatura duńska.

Obok Kiddego wymienić należy H a r r y S ö y b e r g a. Ta sama po-waga w pojmowaniu życia i sztuki jest mu właściwa. Wiele lat uchodził on za sumiennego malarza przyrody i życia ludu na zachodnim wybrzeżu Jutlandji, dopóki wielka powieść p. t. *Kraina żyjących* nie wysunęła go na czoło literatury. Jest on jednym z nielicznych uczniów Pontoppidana, któremu to dzieło poświęcił. Powieść ta, trylogja, przedstawia walkę różnych kierunków religijnych na wybrzeżu jutlandzkim. Tendencja wypowiedziana jest jasno: „Nie można znaleźć Boga, nie kochając ludzi“. Wzrusza tu szczególnie obraz walki prostych, łagodnych ludzi o zachowanie własnego ich, jasnego optymizmu, wbrew surowej przyrodzie, przesądom i fanatyzmowi grupy „pietystów“. Wiele nam w tem dziele przypomina wielkiego Norwega, Björnsona; od swego mistrza Pontoppidana różni się Söyberg swobodną fantazją i optymizmem w ujęciu życia.

\*

Młodzi po duńsku piszący Islandczycy wnoszą około roku 1910 elementarny i świeży prąd do literatury duńskiej. Przez nowy zakres tematów z nowoczesnego życia Islandji lub z jej przeszłości podziałali oni odświeżająco na publiczność duńską i wzbudzili żywe zainteresowanie dla wyspy, otoczonej urokiem sag. A wkońcu, przez dramatyczny rys swych uzdolnień, przez element podaniowy, przez zwieżłość mowy wprowadzili do literatury duńskiej coś z wielkości stylu sag. Najpierwotniejszą wśród nich naturą był zmarły już, niestety, dramaturg J o h a n n S i g u r j ö n s s o n (1880 — 1919), którego twórczość na tle malomieszczańskiego dramatu duńskiego wznosi się jak skala potężna Islandji. Twórczość jego tkwi korzeniami swemi w sadze całkowicie, dlatego też ma ona, podobnie jak twórczość młodzieńcza Björnsona i Ibsena, ów styl lapidarny, a postacie jej obdarzone są siłą zwieżlej, zamkniętej charakterystyki. Sigurjónsson był już na drodze do stworzenia dramatu w wielkim stylu, któryby mu zjednał sławę europejską. Z pośród jego dramatów wymienić należy: *Dwór w Hraun, Borg-Eyvind i jego żona, Życzenie, Kłamca*. Drugie z pośród wymienionych tu dzieł zyskało sławę największą i było grywane zagranicą. Jest to historia o schwytanym złodzieju i jego żonie, która mu towarzyszy, poznając surową rzeczywistość i potęgę przyrody. *Życzenie* jest krótką tragedją w rodzaju *Fausta*, napisaną z wielką siłą i pasją; akcja rozgrywa się w XVII wieku. W ostatniem, choć nie najbardziej udanem dziele, cofa się autor w zamierzchłe czasy sag i podejmuje wątek jednej z nich o Niału i jego synach. W mało dramatycznej naogół nowoczesnej literaturze duńskiej dramat Sigurjónssona jest zjawiskiem, które jaśnieje urokiem niezwykłości i oryginalności.

Epikiem wśród Islandczyków jest Gunnar Gunnarsson, jeden z uajbardziej poczytnych naszych pisarzy. Szczególniej wielką powieścią *Historja rodziny z Borg* zyskał on sobie powszechną sympatję. Po przedstawieniu we wspaniałej powieści p. t. *Towarzysze walki* pierwszych osadników na Islandji (około roku 874), przeszedł Gunnarsson do nowoczesnej

powieści psychologicznej i na tem polu stworzył doskonale rzeczy, np. *Potok życia* i *Błogosławieni prości*.

Trzeci z pośród Islandczyków, Gudmundur Kamban, jest dramaturgiem; jego nowoczesne dramaty: *Hadda Pudda*, *Namioty arabskie* i *My morderey* miały wielkie powodzenie. Jest bardziej kosmopolityczny niż Sigurjónsson i mniej ściśle związany ze swym krajem rodzinnym. Również i jego powieść *Ragnar Finsen* miała zupełne powodzenie.

\*

Na najmłodszą naszą generację oddziałali przedewszystkiem dwaj pisarze: Knut Hamsun i Johannes V. Jensen. Wśród tych najmłodszych trzeba przedewszystkiem wyróżnić Johanna Buchholza. Jest to miły i pełen humoru malarz małego miasteczka i jego oryginalów. Czasem przypomina Hamsuna, czasem surowego wroga ludzi, Gustawa Wieda. Najwybitniejszymi jego dziełami są *Egholms Gøtt*, *Cuda Klary z Haags*, *Niespokojne sere* i *Małe strzały*.

Ulubionym lirycznym młodej generacji jest Hans Hartvig Seedorf, mistrz formy. Z wdziękiem opiewa on miłość, przyjaźń, wino i śpiew albo z subtelnym humorem przedstawia typy ludowe, szczególnie marynarzy. Niegłęboki ten poeta opiewa przedewszystkiem radosne fale powierzchni życia. Wzorem jest dlań szwedzki pisarz XVIII wieku, Bellmann, i jego wiersz melodyjny zatracą stylem rokoka. — Dużo głębszy odeń jest Emil Bönnellycke, świetnym obdarzony talentem; całkowicie nowoczesny to pisarz, pozostający w liryce i prozie pod wielkim wpływem Jensena; często naśladuje wolne rytmy Walta Whitmanna. Z zamiłowaniem opiewa wielkie miasta nowoczesne, ujmując je często w sposób, charakterem swym odpowiadający kuhizmowi w malarstwie. Niejednokrotnie jednak zaniedbuje niestety, swój wielki przyrodzony talent.

Najwybitniejszym wśród zupełnie młodych jest Tom Kristensen — liryk i prozaik zarazem. Z sugestywną wiernością odtwarza ten poeta postacie z życia proletariatu. Duży zbiór wierszy p. t. *Pawie pióra* zawiera wrażenia z podróży po Indjach i Chinach. W jego powieściach znajduje odbicie niepewność powojennych poglądów społecznych, która nadaje piętno chaosu i życiu duchowemu jego postaci (n. p. *Arabskie życie*, *Ten inny*). Jest to jednak tak sumienny, oryginalny i poważny artysta, że można odeń oczekiwać w przyszłości rzeczy samodzielnych i doniosłych.

\*

Z przeglądu powyższego wynika — jak sędzę — jasno, że punktu ciężkości literatury duńskiej po roku 1870 szukać należy w dziedzinie powieści i liryki. Wprawdzie wielu z naszych pisarzy pisało dla sceny, naogół jednak biorąc nie uzyskała ona większych i trwalszych zdobyczy. Poważny nowoczesny dramat jest zbyt zależny od Ibsena, by przedstawiać jakąś oryginalną wartość, tragedja zaś w wielkim stylu poniosła przez przedwczesną śmierć Sigurjónssona niepowetowaną stratę. Autorowie wesołych sztuk, szczególnie kopenhascy, opracowując tematy dnia na użytek sceny, nie stworzyli nic, coby można było postawić obok starej duńskiej komedji.

## ZE SZTUKI ŁOTEWSKIEJ.

Jak wykazują najstarsze zabytki przeszłości łotewskiej, życie kulturalne tego narodu, a zwłaszcza sztuka, osiągnęło było w wieku XIII, t. j. w okresie poprzedzającym bezpośrednio katastrofę narodową, wysoki stopunkowo stopień rozwoju, co jest zupełnie zrozumiałe wobec faktu, że naród ten dzięki swemu geograficznemu położeniu panował nad drogami, wiodącymi z Zachodu na Wschód, i grał dużą rolę w wymianie dóbr materialnych i duchowych między narodami owej epoki. O tym wysokim poziomie kultury świadczą również pralotewskie napisy runiczne i bogata ornamentacja broni i odzieży. Smutne wydarzenia XIII stulecia, a mianowicie wtargnięcie obcych najeźdźców, przerwały niestety te obiecujące zaczątki kulturalnego rozwoju. Naród łotewski na wiele stuleci został wymazany z szeregu i ze świadomości wolnych kulturalnych narodów, źródła jego odrębności kulturalno-narodowej wyschły, jego twórczość w dziedzinie życia i sztuki musiała wrócić na podziemne tory prymitywnej, bezimiennej działalności.

Dopiero w połowie XIX wieku, gdy rozwój gospodarczy pozwolił szarej, niehistorycznej masie łotewskich włościan znowu stać się narodem, duch narodowy począł na nowo szukać dróg działalności w dziedzinie twórczości umysłowej i w dziedzinie sztuki. Dopiero od tego zwrotnego punktu, a mianowicie od lat 60-tych, rozpoczyna się rachuba czasu sztuki łotewskiej jako świadomej, indywidualnej twórczości poszczególnych jednostek, uprawiających tę niwę. Wtedy dopiero rozpoczynająca się indywidualna twórczość mogła wchłonąć w siebie bogate skarby zbiorowej sztuki ludowej, która w poszczególnych działach, jak np. w pieśniach ludowych, ilością swą przekraczających twórczość wszystkich innych narodów, posiadała rzeczy — ze względu na piękność swą i mądrość — wiecznotrwałę.

Plastycznym instynktem ludu brakowało sprzyjających warunków oraz określonych zadań. Instynkt plastyczny mógł się wyrazić tylko w dziedzinie sztuki stosowanej. Rozwinęła się tedy bogata sztuka ornamentacyjna, której nie można się dość nadziwić, gdy się ogląda pochodzące z tego okresu sztuki odzieży, przedmioty codziennego użytku i kosztowności.

Ornament łotewski wyraził się w formach czysto geometrycznych, z małymi wyjątkami form, zapożyczonych z natury lub ze świata zwierzęcego. Nie można zapoznawać pewnego pokrewieństwa tych form z ornamentacją sąsiednich narodów, Estów, Litwinów i Finów, jednak łotewski ornament posiada bogate formy oryginalne i można go rozpoznać po weselszych, jaśniejszych kolorach.

Niedawno założone środkami Państwa Łotewskiego Etnograficzne Muzeum Łotewskie posiada wielostronny interesujący materiał z dziedziny sztuki plastycznej, który stał się przedmiotem ożywionych badań sfer malarzkich. Należy tu wymienić prace takich jednostek, jak Juliusz Madernieks, dyrektor Silinsch i Ernest Brastinsch.

<sup>1</sup> P. Alfred Bilmans, autor niniejszego szkicu, specjalnie dla *Przegl. Warsz.* napisanego, jest szefem biura prasowego ministerstwa spraw zagranicznych na Łotwie i historykiem z zawodu. Wypróbowany przyjaciel naszego narodu, niedawno był naszym gościem na zjeździe szefów biur prasowych państw bałtyckich. (Przyp. red.)

Rozpoczynający się w latach 60-tych XIX stulecia okres nowożytnej sztuki łotewskiej wysunął trzy pokolenia działaczy na polu sztuki, z których obecnie dwa tylko żyją i działają. Odpowiednio do tych trzech pokoleń należy rozdzielić trzy okresy rozwoju: 1. Okres pseudo-klasycyzmu, w którym łotewscy artyści zadowalają się przetwarzaniem środków zapożyczonych z obcej (rosyjskiej) szkoły dla własnej indywidualnej działalności. 2. Naturalizm akademicki z optyką spektralną o charakterze impresjonistycznym. W tym okresie daje się już zauważyć czynna wola do uwolnienia się z pod wpływów rosyjskich, oraz intuicyjne szukanie styczności z twórczością zachodnio-europejską. 3. Okres nowożytny, w którym przejawia się świadoma wola powiązania sztuki łotewskiej z wielkimi obiektyw-nymi tradycjami sztuki.

Wybitną osobistością, od której rozpoczyna się okres lat 60-tych, jest malarz historyczny K a r o l H u n s, opierający się na tradycjach Petersburskiej Akademii Sztuki. Wykazał on taką doskonałość w dziedzinie malarstwa swego okresu, że, chociaż cudzoziemiec, a w dodatku syn tak dyskredytowanego przez szlachtę niemiecko-bałtycką na carskim dworze narodu łotewskiego, doszedł przecież w Rosji do wielkich zaszczytów i stał się urzędowym malarzem dworskim. Podróże zagranicę, dla studjów przedsiębrane, zbliżają go do starego malarstwa fłandzko-holenderskiego i pod tym wpływem Huns zajmuje się z wielką gorliwością problematami światła i cienia, osiagając w tej dziedzinie znaczne, jak na swój czas, sukcesy.

Ogólne tendencje i smak rosyjskich kół dworskich, wśród których Huns się obracał, były zbyt obce łotewskiemu narodowi, aby się mogła wytworzyć bliższa wspólnota duchowa pomiędzy narodem a artystami, którzy wyszli z jego łona. Sam Huns ledwo sobie zdawał z tego sprawę, że swą twórczością otwiera drogę nowemu łotewskiemu kicrunkowi w sztuce. Jednak stara, mocna krew łotewskiego chłopca i w jego twórczości zostawiła ślady: przejawia się ona w pewnej bezwzględnej niezależności, w pewnym, jak na te czasy niezwykle dążeniu do prostoty i do jasnych form. Zwłaszcza daje się to odczuwać w jego *Fêtes galantes*, w których pomimo przejętych tradycyji zdrowa natura ełłowska jasno się uwydatnia. Również w jego koloryście, przypominającym staro-niderlandzką szkołę, znajdujemy pewne podobieństwo do specyficznie łotewskich akcentów barwnych, występujących już wyraźnie u późniejszych malarzy łotewskich.

Petersburska Akademia Sztuki, pozostająca pod wpływami pseudo-klasycyzmu „boskiego“ Brjułowa, okazuje decydujący wpływ na rozwój talentu pierwszego łotewskiego pokolenia malarzy. W jej tradycjach żyje bogato utalentowany A r t u r B a u m a n. Dogmatyczna rutyna szkoły, proporcje, mające charakter kanonów nieomylnych, postacie antycznych figur gipsowych — oto wpływy Akademii, jakie się odbiły w obrazach Baumana, gdzie motywy biblijne i mitologiczne traktowane są w duchu Corneliusa. Tylko w niewielu, bezpośrednio z natury robionych szkicach, znajdujemy godną podziwu delikatność rysunku i nieoczekiwane zrozumienie linii i form, co pozwala nam zrozumieć, czem byłby dla rozwoju łotewskiej sztuki ten malarz, zamykający pierwszy okres łotewskiego malarstwa, gdyby nie pozostawał, podobnie jak jego współcześni, pod urokiem rosyjskiego pseudoklasycyzmu.

W każdym razie ustalić można, że w niektórych pracach swoich Bauman był pierwszym łotewskim malarzem, który z Łotysza i jego otoczenia uczynił temat malarstwa. Jako twórca umiał się on wczuć we właściwości łotewskiego ducha i nadać im odpowiedni wyraz w swych dziełach.

Drugi okres rozwoju malarstwa łotewskiego rozpoczyna się od osoby twórcy krajobrazu łotewskiego, Juljusza Federsa. Feders patrzy wprawdzie na naturę oczyma Rosjanina Szczedryna i romantyków niemieckich, otacza jednak przyrodę kraju ojczystego gorącą miłością i oddaje ją z przedziwną subtelnością kolorytu.

Pierwszym świadomym zwiastunem narodowego odrodzenia jest Adams Alksnis. Granice jego zdolności malarskich nie pozwalały mu zrealizować zamierzeń narodowych i artystycznych, lecz jako wybitna jednostka, ożywiona i ożywiająca innych duchem narodowym, dał on impuls do dalszego rozwoju malarstwa w tym okresie.

Współczesny Alksnisowi grafik, Ryszard Zarrinsch, występuje z szeregiem prac, opartych na motywach z łotewskich sag i bajek. Budzą one żywe zainteresowanie i świadczą o starannej technice. Zarrinsch pierwszy wprowadza wpływy niemieckie, które i później dają się zauważyć w sztuce łotewskiej, przy czym tendencja ich działa ujemnie.

Zmarły przedwcześnie Jan Rozental potrafił ująć głębiej rzucone przez Alksnisa idee narodowo-łotewskiego odrodzenia i wyrazić je w swej zbyt krótkiej działalności. Rozpoczyna on swą działalność od rodzajowych obrazków z życia ludu, obrazków o mocnym wyrazie, świadczących o żywym związku artysty z własnym narodem; są to dzieła sztuki narodowej w wielkim stylu. Następnie zwraca się artysta do coraz bardziej akcentowanego impresjonizmu, przyczem koloryt jego prac przybiera charakter jasny i radosny, miarkowany nieco przez melancholję. Prace te uważane są przez współczesnych za prawdziwy wyraz właściwości narodowych łotewskich.

Kiedy w związku ze zwycięskim pochodem dramatów Henryka Ibsena przez Europę również i malarstwo północy zaczęło się cieszyć uznaniem, tworząc tak zwaną szkołę „północnej stylizacji“ (Axel Galèn, Fryderyk Erler), uległ tym wpływom spokrewniony z północą Rozental, bez żadnej korzyści dla swej twórczości. Artysta wyzwolił się jednak wkrótce z maniery północnej stylizacji, która nic nie miała wspólnego z prawdziwą sztuką. Okres ten twórczości artysty pozostawił po sobie, jako jedyny rezultat pozytywny, szereg ciekawie ujętych i symbolicznie pomyślanych motywów z sag łotewskich.

Później zwrócił się znowu Rozental do impresjonistycznej optyki i zbłąsnał w malarstwie portretowym wytwornością wykonania i subtelnością poczucia barwy, jak również czarem wibrującego arcyzmu, który uczynił zeń najułubieńszego z portrecistów. Maluje również, nawracając do pierwszego okresu swej twórczości, obrazy dla ołtarzy, które budziły w ludzi poczucie piękności i jednocześnie dawały poznać łotewskiego Boga poezji ludowej.

Rozental był artystą z Bożej łaski, stworzonym do dokonania wielkich rzeczy. Życie jednak spędził w bezustannej walce z twardą i ciężką rzeczywistością. Dotyczy to zarówno ucznia biednego kowala wiejskiego, zmuszonego z trudem torować sobie drogę do wykształcenia uniwersyteckiego, jak

i słynnego malarza, który z przyczyn materialnych musiał obciążać się pracami, wykonywanymi na zamówienie, i przystosowywać się do gustu zamawiającej prace publiczności, i dlatego niezawsze mógł stać na wysokości, do której był stworzony.

Teodor Udrys zamknął swą twórczość w wąskich ramach sztuki ludowej, wyraził jednak znacznie mocniej swoją indywidualność, niż bez wątplenia bogatszy odeń i wielostronniejszy Rozentel. W swoich dramatycznych, przypominających pod względem technicznym Milleta i Segantiego szkicach węglem ujawnił siłę, która da się zestawić z potęgą Franciszka Goi.

W tym samym kierunku huda ciekawość próby Konstantego Lielausa, którego technice brak jednak giętkości.

Tu wspomnieć należy o próbach najnowszych czasów tworzenia sztuki ludowej. Nie udało się tym, którzy te próby podejmowali, przekroczyć już osiągniętą granicę, i w najlepszym nawet razie są oni od niej bardzo jeszcze oddaleni. Dotyczy to również prób, jakie podjął Ausis Ciruls, artystycznego zrekonstruowania i ożywienia form zamierzchłej sztuki ludowej na gruncie usilnych studjów nad materiałem etnograficznym. Próby te mają znaczenie raczej archeologiczne, niż artystyczne.

Równoległe do tego kierunku drugiego okresu zaznacza się druga linja rozwojowa, która ostatecznie uchyla się od łączności z malarstwem rosyjskim, odrzuca środki artystyczne, narzucone przez szkołę rosyjską, poprzez pośrednictwo bałtycko-niemieckie szuka związku z tendencjami zachodnio-europejskiego malarstwa. Artyści tego kierunku nie podkreślają charakteru narodowego, lecz właściwościami swego talentu nadają formy zupełnie indywidualne.

Przodownictwo tego okresu rozwoju należy się bezsprzecznie wybitnemu twórcy krajobrazów Wilhelmowi Purvitowi, pierwszemu z malarzy, który przepoił nietylko sztukę lotewską, lecz wogóle sztukę wschodnio-europejską współczesnymi tendencjami sztuki zachodnio-europejskiej. Z początku utalentowany uczeń rosyjskiego lirycznego malarza krajobrazów, Iwana Lewitana, rychło w czasie podróży dla studjów z ramienia Petersburskiej Akademji — Purvit nawiązuje kontakt z impresjonizmem francuskim i dochodzi w swych studjach impresjonistycznych do dużej doskonałości, wprowadzającej go na poziom sztuki Zachodu. Jednak rozwój twórczości artysty nie zatrzymał się na impresjonizmie: stały kontakt z nowymi zjawiskami w dziedzinie sztuki europejskiej dał mu możność zmieniania i doskonalenia sposobów ekspresji. Od czystego impresjonizmu, którego był w Rosji pionierem, przechodzi Purvit do stylizacji krajobrazu, do planowości i świadomości kompozycji. Swoje wielkie techniczne i artystyczne przygotowanie realizuje z godną podziwu produkeyjnością w niezliczonych warjacjach ulubionych motywów na tle swojskiego krajobrazu.

Purvit ze wszystkich malarzy pierwszego i drugiego pokolenia artystycznego posiada niezaprzeczenie największe znaczenie. On pierwszy uznał przewagę malarstwa w dziedzinie sztuk pięknych i zadanie swe na tem polu jak najświetniej wykonał. Zrozumiał jak najlepiej właściwości i możliwości malarskie miejscowych motywów krajobrazowych i umiał je zrealizować właściwym sobie sposobem wypowiedzenia się. Jako twórca bałtyckiego krajobrazu, pozostawił szkołę. Tu należy wymienić takich pej-

zażystów, jak Piotr Kałve i Jan Jaunsudrābinsch, jak również pokrewny do pewnego stopnia van Goghowi przedwcześnie zmarły tragiczną śmiercią Zeltinsch. Twórczość również przedwcześnie zmarłego malarza Rudolfa Perle cechuje rzadki dualizm: wonna akwabela kwietna oraz fantastyczność tematów.

Robert Tilberg posiada dużą rutynę techniczną, którą stosuje z wybitną umiejętnością wczuwania się w obcy styl, oraz intelektualne zdolności kompiłacyjne; w całym szeregu jego prac w wielkim stylu można zauważyć wpływy szkoły staroflorentyńskiej, Holbeina, Stucka, Brangvina, Zułoagi, Maneta i innych.

Również Karol Brensens przyswoił sobie w Paryżu, szczególnie od swego nauczyciela Anglada Camarasse, znakomitą technikę oraz barwny koloryt, ale brak mu aspiracji duchowych i artystycznego programu.

Jan Kuga, który w swoim czasie położył duże zasługi w dziedzinie lotewskiej dekoracji teatralnej, pracował z dobrym skutkiem nad pejzażem; cechuje go uczuciowość, właściwa kolorystom francuskim.

Za tem pokoleniem artystów kroczy kierunek ideologiczny, działający pod nazwą Związku Niezawisłych. Wybitnymi jednostkami tej organizacji są: suchy nieco, ale niezmiernie poprawny rysownik Alfred Plite-Pleite, oraz mocny Karol Miesniek, przedstawiciel tak zwanego „młodego stylu“.

Jak już powiedziano, drugie pokolenie artystów wypełniło najpilniejsze zadania swego czasu. Ponieważ impresjonizmowi i jego bezpośrednim następcom brakowało głębszych, zasadniczych założeń, więc i lotewscy tłumacze tego kierunku trzymali się niejako powierzchwni, nie wnikając w istotę malarstwa i nie przystępując do rozwiązywania ważnych problemów formy, rytmu, kompozycji, faktury, wreszcie barwy, a przynajmniej nie obejmując tych problemów w ich całości i nie stawiając ich dość poważnie. To zadanie miało spełnić młode dzisiejsze pokolenie malarstwa lotewskiego. Jest to malarstwo młodej Łotwy, powstałe w tym czasie, gdy narodziła się świadomość narodowa lotcwskiego ludu. Przewrót ideologiczny dokonał się już w roku 1910 w unysłach poszczególnych artystów, wśród których przedewszystkiem wysuwa się na czoło Włademar Matvejs. Pod rosyjskim pseudonimem Markowa, wyróżnia się on w Rosji jako wybitny teoretyk malarstwa; jeden z pierwszych w Europie, na podstawie podróży, odbytej dla studjów, ogłosił w 1910 roku gruntowną pracę o malarstwie murzyńskim. Później wydał prace o malarstwie Azji Północnej, o zasadach malarstwa i t. p. Jako artysta obdarzony twórczą siłą, zadziwia wysoką kulturą wykonania, prostotą formy i opanowaniem. Dzięki swej intuicji, stworzył ten genialny malarz nowe formy wypowiedzania się, których domagały się nowe czasy.

Wojna światowa, która stała się zagadnieniem „być albo nie być“ dla całego narodu lotewskiego, była równocześnie źródłem nieograniczonej woli życia, wyrażającej się we wszystkich przejawach, a więc i w dziedzinie sztuki. Nowa ekstaza uczuć, patos cierpienia i woli — wszystko to pizęłamało rany starej estetyki i poprzez pozbawiony woli, nastrojowy impresjonizm podążyło ku mocniejszemu, bardziej ekspresywnemu formom. Cóż znaczyć mógł impresjonizm, gdy wszystko ujawniało napiętą wołę, gdy sztuka stała się syntezą pełnego energii życia? Jak mógł się utrzymać

impresjonistyczny sentymentalizm i powierzchowność, gdy chodziło o to, aby ująć najgłębszą istotę duszy ludowej? Ciasny subiektywizm trudno było pogodzić ze zbiorową tendencją życia, a element statyczny dawnej estetyki z silnym dążeniem do przejawienia w sztuce dynamiki czasu. Do tego potrzeba było nowego ujęcia życia i nowej estetyki; przynosił je genialny Matvejs i idące za nim młode pokolenie artystów.

Jako artysta, któremu było dane dać wyraz tendencjom artystycznym nowych czasów, zasługuje na uwagę przede wszystkim J ó z e f G r o s w a ł d. Uczeń szkoły francuskiej, powrócił Groswald na Lotwę uzbrojony w technikę najnowszego kierunku w sztuce. Los narodu stał się dla niego najważniejszym przeżyciem, losem własnym—człowieka i artysty. Groswald wstępuje do pułku lotewskich strzelców, później, gdy front narodowy przestał istnieć, wstępuje do armji angielskiej i umiera w styczniu 1920 roku w Paryżu podczas powrotu do swej oswobodzonej ojczyzny. Nie dane mu było ujrzeć rezultatów walki, której poświęcił swe młode życie i swą sztukę. Pozostawił po sobie bogate dziedzictwo artystyczne. W jego obrazach, zwłaszcza przedstawiających żołnierzy i uchodźców, bohaterka walka i nadludzkie cierpienia narodu, znalazły swój wyraz w formie niezwykle sugestywnej. Wielkie i proste w swym wyrazie, obrazy Groswalda są przejawem krzyku duszy narodowej, który nie może przebrzmieć bez echa.

Wpływ Groswalda jest decydujący dla rozwoju artystów jego pokolenia; wydały ich przeważnie przeżycia okresu walki.

Najbardziej pokrewnym duchowo Groswaldowi jest zmarły w tym samym roku J a k ó b K a z a k, który postawił sobie bardziej już świadome i czysto artystyczne zadania i nad ich urzeczywistnieniem pracował po mistrzowsku.

Utrzymać i rozwinąć świeżo zdobyty światopogląd artystyczny — oto było zadanie, któremu się poświęcił R o m a n S u t t a jako teoretyk sztuki, odznaczający się zarówno głęboką erudycją, jak polemicznym temperamentem. Jako wybitny artysta, Sutta równocześnie utrwalił etapy wspólnego rozwoju sztuki, przyczem charakteryzuje go stan umysłu, który Henryk Bergson określa jako *élan vital*. Jego dzieło *60 lat sztuki lotewskiej* jest wybitnym zjawiskiem w historii tej sztuki.

Oparte na rezultatach twórczości Matvejasa mocno oddziałują na widza pełne temperamentu prace G e d e i t a E l i a s a.

L e o n S v e m p s łączy wulkaniczny temperament z głębokim lokalnym odczuciem barwy; jego dar interpretacji przypomina *fauves* Cézanne'a.

Z tą kategorią malarstwa stanowi kontrast pełna wdzięku, delikatna, eklektyczna, niemal kobieca twórczość K o n r a d a U b a n s a, który swą kulturą barwy i wirtuozowską techniką uwypukla wewnętrzną estetykę lotewskiego krajobrazu. Twórczość Ubansa świadczy o pewnem popowinowactwie z Kamilem Corot i nowożytnym malarzem francuskim Utrilo.

Bardzo utalentowany R u d o l f L i b e r t, który dzięki swej technice umie niewielkimi środkami wywoływać potężne efekty, ideologją swoją stoi blisko neoklasycyzmu. — Malarzem czystej krwi z silnym poczuciem konieczności wewnętrznej jest J a n L i e p i n s c h, który z wielką miłością maluje dziwne, smutne, lecz pełne namiętności życie przedmieścia. — Do

nowego malarstwa należy również Waldemar Tone, mistrz naturalistycznego portretu; dzięki swej umiejętności doszukiwania się w zwykłych przedmiotach tajemniczej głębi jest on w stanie trzymać widza w więzi sugestywnego działania.

Malarze Ottis Skulme, Ugis Skulme, Erast Schweics i Niklas Strunke stanowczo odwrócili się od literackich tematów, odrzucili kult odbicia w sztuce rzeczywistości i w swych artystycznych wysiłkach starają się dać wyraz czystej abstrakcyjnej formy i rozwiązać problemy miejsca, formy, barwy i rytmicznej budowy. Próbują oni nieświadome i pozbawione celu siły na nowo skierować do krystalizacji, do duchowego panowania i świadomej konstrukcji. Te artystyczne zamiary są analogiczne z nowym duchem czasu, z potrzebą, jaka się wytworzyła po wielkich przewrotach wojny i rewolucji, potrzebą przejścia do nowego porządku i do nowougruntowanego prawodawstwa w dziedzinie duchowego, politycznego i społecznego życia ludzkości.

\*

Grafika łotewska posiada w Zygmurcie Vidbergu artystę, który nie ma sobie równego w poczuciu piękności i doskonałości techniki. Sposób traktowania jego ulubionych tematów, takich jak subtelna erotyka, gorączkowy rytm wielkiego miasta, dynamika wojny i rewolucji, świadczy o artyście, który panuje nad przejawami współczesnego życia przy równoczesnej doskonałości środków artystycznych.

\*

Z rzeźbiarzy dawniejszego okresu godny jest wymienienia Burchard Dzenis, który czynił szlachetne wysiłki, aby temi środkami, jakimi rozporządzał, przy użyciu miejscowego materiału stworzyć sztukę narodową.

Znany, jako uczeń Rodina, Teodor Zalkalns, przełamał tradycje swego pokolenia, aby przejść do nowożytnej konstrukcyjnej plastyki.

U Karola Zalita, dla którego decydujący był pobyt w Niemczech, podnosi krytyka niemiecka architektonikę postaci. Logika konstrukcyjna, która tak uderzyła krytykę niemiecką u lotewskiego artysty, bez wątplenia jest oparta na charakterze łotewskim.

Z młodszych rzeźbiarzy należy wymienić Emila Meldersa, Martę Skulme i Arnolda Dzirkalsę.

Melders poprzez stylizacyjne uproszczenia i monumentalność przechodzi do architektonicznej konstrukcji. Jego głęboki artyzm i niezawodny instynkt prowadzą go do syntezy wieczyście pięknych twórców starożytności ze zdobyciami nowych czasów.

\*

Dążenie do nowej równowagi, do wewnętrznej planowości, do jedności, które jest cechą nowszych czasów, stało się, jeśli rzucimy okiem na sztukę łotewską, zasadniczym motywem przewodnim nowych usiłowań. I jeżeli nawet nie znaleziono ogólnie uznanego rozwiązania, jednak ma się nieomylnie odczucie, że wśród tych prób, omyłek i zdobyczy już się wyłania z chaosu kształt prymitywny.

Czy ma on cechy lotewskie, specjalnie narodowe? Pewne wartości narodowe dadzą się określić.

Młodzi lotewscy artyści nie popełnili tego błędu artystycznego, aby nawałt „robić“ lotewską sztukę. Nie unieśli się również tą fałszywą dumą, aby przez zlekceważenie swych ojczystych właściwości dojść do bezkrytycznego współczesnego internacjonalizmu. Kierowała nimi świadomość, że im ściślej jest się zespolonym ze swym okresem i z walką duchową ludzkości, tem żywiej i owocniej odczuwa się zadania własnej ojczyzny. I im żywotniej urzeczywistnia się w sobie właściwości swego narodu i przeżywa walkę o duchowe samookreślenie, tem wartościowszym staje się człowiek dla powszechnego dobra ludzkości.

Bez specjalnej chęci stania się narodową, jest młoda sztuka lotewska bez porównania bardziej, niż obcy sztuce ludowej impresjonizm, związana tajemnym węzłem z odczuwaniem barwy i rytmem artystycznej twórczości ludowej, z syntetyzującym charakterem lotewskiej pieśni ludowej i baśni ludowej, z jej wewnętrzną zagadką „rzeczy w sobie“, z wiedzą o wiecznym, o planowem, wśród tego, co przemija.

Zrodzona z nowej, twórczej i rozkazującej woli, z nowych tendencyj dzisiejszego okresu, młoda sztuka lotewska jest spokrewniona w swej istocie z nową europejską wspólnotą duchową, w którą wkracza życie duchowe Łotwy.

Czy przytem sztuka lotewska przynosi z sobą nowe właściwości (jak np. podnoszone przez cudzoziemską krytykę rzeczowość, pierwotność i brak duchowego hamulca), czy też nie — w każdym bądź razie przynosi jedno: przekonanie, że naród, który w swej dążności do samodzielności podjął nadludzką walkę przeciw starymu porządkowi i zakończył ją zwycięsko, mógł tak wiele dokonać, ponieważ niósł w sobie dążność do tworzenia nowego życia.

\*

Bogaty zbiór (około 350 prac) lotewskich malarzy zawiera otwarte w 1920 roku Łotewskie Państwowe Muzeum Sztuki. Poszczególni lotewscy malarze są reprezentowani również w międzynarodowym zbiorze Ryskiego Muzeum Miejskiego, w którym również można znaleźć dzieła takich mistrzów, jak Łukasz Kranach, Pieter Brughel, Tintoretto, Bellini, Ruysdael, Voeverman, Ribera, Tiepolo, Ingres i inni.

Rząd lotewski w dbałości o rozwój sztuki zainicjował założenie galeryi sztuki również w Lipawie, Mitawie i Dyneburgu.

ALFRED BILMA

### ORGANIZACJA NAUKI W ROSJI SOWIECKIEJ.

W dziedzinie organizacji pracy naukowej, podobnie jak we wszelkich innych dziedzinach współczesnego życia społecznego rosyjskiego, dają się zauważyć wyraźne tendencje polityczne, idące z góry t. j. ze sfer rządzą-

cych państwem. Dotknęły one szkolnictwo niższe i wyższe oraz instytucje naukowe badawcze. W szkołach i wyższych zakładach naukowych kładzie się przede wszystkim nacisk na zaszczepianie zasad ustroju komunistycznego, sowieckiego oraz wychowanie młodego pokolenia w duchu tych zasad. Jako przedmiot obowiązujący wykładana jest t. zw. *politgramota*, z której składane są obowiązkowe egzaminy. Istnieją też specjalne zakłady naukowe — „czerwone“, o ściśle określonym charakterze politycznym, np. uniwersytety, różnego rodzaju *rabfaki* (*raboczije fakul'tiety*), kursy i szkoły partyjne, w których przygotowują się nowe siły na profesorów, nauczycieli i różnych działaczy partyjno-państwowych.

Uniwersytety, które zewnętrznie zachowały swój dawny wygląd i ustrój, pracują pod hasłem: „*Nauka trudiaszczimsia*“. Zgodnie z tem hasłem nastąpiła reorganizacja uniwersytetów. Życie uniwersyteckie oparte jest na zasadach kolektywnych i w zasadzie jest autonomiczne, co nie wyłącza ingerencji z zewnątrz czynników politycznych, państwowych. Rola profesorów sprowadzona jest do *minimum*, zato młodzież komunistyczna, zorganizowana w związki studenckie, ma wpływ decydujący. Związki kierują całokształtem życia młodzieży na uniwersytecie, a przez swych przedstawicieli mają zapewniony wpływ w radach profesorskich, na posiedzeniach wydziałów, przy egzaminach i t. d. Związki te, prócz propagandy politycznej, mają na celu śledzenie prawomyślności profesorów i studentów. Ich to dziełem było przeprowadzenie t. zw. *czystki* uniwersytetów „od burżuazyjnych elementów“, oczywiście, na skutek odnośnego zarządzenia władz sowieckich.

W zakresie programu naukowej działalności uniwersytetów nastąpiły pewne zmiany. Został zlikwidowany wydział filozoficzny, z którego pewne przedmioty wcielono do świeżo kreowanego wydziału *obszczestwiennych nauk*, względnie przyrodniczego. Stało się to prawdopodobnie dlatego, że obok religii — filozofia uważana jest za jedną z najbardziej niebezpiecznych dziedzin wiedzy dla ustroju sowieckiego. Poziom uniwersytetów wskutek różnych przyczyn został obniżony, m. in. i dlatego, że napływająca do wyższych uczelni młodzież nie jest odpowiednio przygotowana. Wiąże się to ściśle z upadkiem szkoły średniej i wogóle szkolnictwa w Rosji sowieckiej. Z powodu wysokich cen wydawnictw naukowych i podręczników (jakkolwiek ceny tych ostatnich w stosunku do innych wydawnictw, z wyjątkiem propagandowych, są niskie) młodzież nie ma możliwości swobodnego posiłkowania się nimi. Wskutek tego daje się zaobserwować wzmożona frekwencja w bibliotekach publicznych (2—4 tysięcy osób dziennie np. w bibliotece publicznej w Leningrodzie), przeważnie młodzieży studenckiej, która, nie mogąc nabywać niezbędnych podręczników, korzysta z nich w ten sposób.

Wygląd zewnętrzny sal i urzędów uniwersyteckich jest, powiedziabym, zastraszający. Rzuca się w oczy brak konserwacji gmachów i lokali, czystości i porządku, mebli i sprzętów niezbędnych. Biblioteki zakładów prawie się nie powiększają, zwłaszcza w zakresie literatury obcej; to samo dotyczy pomocy naukowych, z wyjątkiem tych przedmiotów, które dla państwa mają ważne znaczenie praktyczne. W stosunku jednak do lat ubiegłych można stwierdzić pewną poprawę w zakresie organizacji i podniesienia poziomu uniwersytetów. Zaprowadzony został dość ostry rygor

względem słuchaczy, przywrócono egzaminy, znaczenie profesorów wzrosło. Są nawet zakłady pracujące normalnie, w których studująca młodzież reprezentuje jak najlepszy materiał.

Warunki pracy profesorów naogół są bardzo ciężkie. Z powodu niezmiernej szczupłości budżetów poszczególnych zakładów uniwersyteckich wynikają niekiedy najelementarniejsze trudności techniczne i rzeczowe. Warunki te pogarszają jeszcze: przygnębiająca atmosfera moralna, niepewność jutra oraz bardzo niskie uposażenie. Przeciętnie profesorowie otrzymują od dwudziestu kilku rubli (złoty) miesięcznie do czterdziestu, t. j. sumę, za którą obecnie w Rosji absolutnie przeżyć niepodobna. W tych granicach waha się płaca i innych kategorii pracowników umysłowych. Wynagrodzenie służby (woźni, dozorczy i t. p.) jest nieco niższe, od 15 do 30 rubli miesięcznie. Tak niskie uposażenie zmusza każdego do szukania ubocznych źródeł dochodu (niekiedy paru), dzięki którym staje się możliwą egzystencja.

Profesorowie uniwersytetu przeciążeni są pracą, wskutek czego działalność ich naukowo-twórcza spada do *minimum*. Poza wykładami wiele czasu pochłania praca w zakładach uniwersyteckich, wobec braku lub niedostatecznej ilości personelu pomocniczego oraz trudności technicznych. Poza tem profesor, o ile nie chce narazić się na zarzut, że utrudnia zdobywanie wiedzy *trudiaszczimsia*, zmuszony jest dopomagać mniej zdolnym lub niedostatecznie przygotowanym do studiów uniwersyteckich słuchaczom. Uzupełnieniem wykładów, zgodnie z zasadą praktycznego zaznajamiania z przedmiotem, są m. in. wycieczki naukowe, których dużą ilością muszą wykazać się profesorowie pewnych przedmiotów. W sumie stwarza to tak ciężkie warunki, że godne podziwu jest poświęcenie uczonych rosyjskich, którzy poza zajęciami obowiązkowymi znajdują jeszcze czas, siły i energię na pracę naukową.

Istnieje tendencja przeniesienia pracy naukowej badawczej z uniwersytetów do specjalnych zakładów i instytucyj naukowych. Wyrazem tego jest powołanie do życia Akademji Historji Kultury Materjalnej w Leningrodzie, o bardzo szeroko zakreślonym programie działalności naukowej. Duży też nacisk kładą sfery oficjalne na rozwój muzealnictwa w Rosji. W związku z tem muzea stały się obecnie ośrodkami pracy nietylko muzealnej i popularyzacyjnej, ale również ściśle naukowej. Liczny zastęp pracowników naukowych i sił początkujących znalazł w muzeach oparcie i warsztat pracy. Tej okoliczności niewątpliwie przypisać należy rozwój muzeów rosyjskich w czasach ostatnich. Łącznie z tem daje się zauważyć w sferach naukowych duży ruch w kierunku ustalenia zasad muzealnictwa rosyjskiego. Zagadnienie to, obok innych, zostało wysunięte, jako jedno z najbardziej aktualnych zagadnień naukowych. Obecnie ścierają się dwa zasadniczo odmienne kierunki — centralistyczny i decentralistyczny, w ujęciu najogólniejszem. Pierwszy być może jest dziedzictwem dawnych tradycyj wielkiej Rosji — rzecznikiem jego zdaje się być Leningród. Drugi — reprezentowany przez Moskwę — jakkolwiek nie jest pozbawiony momentów współzawodnictwa (z Leningrodem), bardziej odpowiada stosunkom obecnym i polityce władz sowieckich. Sprawa jest dużej wagi, dotyczy bowiem nietylko kwestji podziału muzeów na specjalności, sprecyzowania ich charakteru i zakresu działalności naukowej poszczególnych muzeów, ale również obejmuje wielce skomplikowane zagadnienie muzeów lokalnych

sfederowanych z Rosją jednostek państwowych, wzajemnego ustosunkowania i uprawnień w zakresie gromadzenia materiałów muzealnych i t. d. Ze względu na nieustaloną sytuację polityczną wewnątrz państwa, niesłychanie trudne warunki, w jakich nauka rosyjska obecnie się znajduje, oraz ze względu na zbyt niejednorodny poziom różnych ośrodków naukowych na obszarze S. S. S. R., sędzę, że jeszcze przez czas długi sprawy te nie będą mogły być praktycznie rozstrzygnięte. Tembardziej, iż w stosunku do innych sfederowanych z Rosją jednostek państwowych nauka rosyjska wykazuje pod każdym względem przewagę; dzięki tej przewadze oraz dzięki przemożnemu wpływowi politycznemu będzie się ona nadal rozwijać ze szkodą dla lokalnych ośrodków naukowych, czego potwierdzeniem są muzea w Moskwie i Leningrodzie.

Ruch naukowy wogóle jest duży i ujawnia się we wzmożonej działalności organizacyjnej i badawczo-terenowej. Daje się też zauważyć duży udział sił młodych, które, bądź pod kierunkiem profesorów uniwersyteckich, bądź samodzielnie, gromadzą materiały naukowe, niekiedy w najdalszych i najodleglejszych zakątkach S. S. S. R. To też do muzeów i pracowni napływa w ogromnych ilościach materiał, który w miarę możliwości jest porządkowany i opracowywany. Prócz zwykłych badań terenowych, podejmowanych z ramienia poszczególnych zakładów uniwersyteckich, muzeów, instytucyj i towarzystw naukowych, organizowane są wyprawy i ekspedycje naukowe. Środków dostarcza rząd centralny, niekiedy zaś władze lokalne. Naogół fundusze przeznaczone na ten cel są skromne, jakkolwiek niektóre muzea i instytucje naukowe, dzięki specjalnym zabiegom oraz wpływowi swemu, uzyskują sumy znacznie większe, umożliwiające wykonanie poważnych badań terenowych. Tu zaznaczyć muszę, iż w zakresie organizacji i warunków pracy naukowej Leningród nawet w stosunku do Moskwy wykazuje znaczną przewagę. Obecnie jest to jeden z najpoważniejszych ośrodków w Rosji, którego działalność naukowa pod każdym względem jest mniej więcej normalna.

W zakresie ruchu wydawniczego daje się zauważyć poważny zastój, gdyż tylko nieliczne instytucje i towarzystwa naukowe wydają czasopisma i prace specjalne. Prace już gotowe do druku leżą w rękopisach, inne oczekują swej kolejki w drukarniach *Goizdatu* (*Gosudarstwiennoje Izdatielstwo*), a są i takie, których druk został przerwany na czas nieokreślony, jako rzeczy mniej ważnych dla państwa. W stosunku jednak do lat poprzednich i pod tym względem nastąpiła pewna poprawa, widoczne też są zbiorowe wysiłki zainteresowanych instytucyj naukowych i osób, zmierzające do podniesienia naukowego ruchu wydawniczego.

W muzeach nie znać dezorganizującego wpływu rewolucji. Dzięki wyjątkowemu poświęceniu uczonych rosyjskich, którzy wytrwali na swych stanowiskach, uratowane zostały od zniszczenia muzea oraz znaczna część rozgrabionych lub też zagrożonych, wskutek wojny domowej, zabytków sztuki i kultury. Dziś uczeni rosyjscy mają zadanie łatwiejsze — mają za sobą opinię i współdziałanie władz państwowych w zakresie ochrony wszelkiego rodzaju dóbr kulturalnych. To oczywiście nie wylacza oficjalnego i nieoficjalnego handlu dziełami sztuki i wszelkiego rodzaju zabytkami, które nielegalnie, na wielką skalę, wywożone są z granic państwa.

Ogólno-kierownictwo sprawami nauki spoczywa w rękach *Gus'a* (*Gosudarstwiennyj Uczonyj Sowiet*), jako organu fachowego, opiniodawczego, którego uchwały i zarządzenia zatwierdza lub odrzuca *Główna nauka* — urząd oficjalny, odpowiadający Departamentowi Nauki w naszym Min. O. P. W życiu intelektualnem współczesnej Rosji opinia sfer naukowych poważną odgrywa rolę i wpływ jej niewątpliwie wzrasta.

Działalność popularyzacyjna, ujęta w ramy określonego programu (nie pozbawionego zresztą momentów politycznych), pod względem organizacyjnym naogół jest dobrze postawiona. Ogromna łatwość korzystania z wszelkiego rodzaju szkół i zakładów naukowych, udostępnienie szerokim masom posiedzeń towarzystw i instytucyj naukowych oraz szeroko zakreślona i planowa działalność wydawnicza na polu popularyzacji wiedzy musi wpłynąć, dodatnio na podniesienie ogólnej kultury umysłowej, co będzie nie bez korzyści dla państwa i rozwoju nauki w Rosji.

Pracownicy naukowcy naogół uważani są przez czynniki oficjalne za element podejrzany, nieprawomyślny. Stąd też płynie w konsekwencji — czujny nadzór polityczny na gruncie pracy zawodowej i w życiu prywatnem. We wszystkich niemal zakładach i instytucjach naukowych znajdują się przydzieleni oficjalnie specjaliści komisarzy polityczni, których zadaniem jest nadzór nad działalnością kierowników i wogóle całego personelu naukowego i administracyjnego. W związku z tem uczeni, którzy nie są komunistami, są pozbawieni tych praw i przywilejów, z których korzystają wogóle komuniści oraz robotnicy, jako klasa rządząca państwem. Niemniej jednak władze sowieckie na swój sposób troszczą się o poprawę bytu uczonych i umożliwienie im pracy naukowej. Dość częste są wypadki udzielania t. zw. *komandirowok* za granicę w celach naukowych na koszt rządu. Poza tem opieka rządu sowieckiego ujawnia się w udzielaniu przez *Kubu* (*Komitiet Utuczszeniija Byta Uczonych* — instytucja nawpół oficjalna) zasiłków pieniężnych na wypadek choroby, braku środków do życia i t. p., w tworzeniu t. zw. „Domów Uczonych“, oraz ułatwieniu pobytu w sanatorjach państwowych za minimalną opłatę lub też bezpłatnie.

Wprowadzono tendencyjny podział pracowników naukowych na różne kategorie, których zdaje się jest pięć, a w związku z tem różne stopnie uposażenia. Polęga on na klasyfikacji naukowej wartości poszczególnych pracowników, jak np. *uczonyj, gosudarstwiennyj uczonyj* i t. p. — dlatego też w sferach naukowych nie przywiązują doń większej wagi. Kwalifikuje specjalna komisja, składająca się z przedstawicieli *Gus'a* oraz czynników rządowych, oczywiście te ostatnie mają wpływ decydujący.

Reasumując swoje obserwacje i wrażenia, przyszedłem do wniosku, że polityczna dyktatura, planowo i konsekwentnie przeprowadzona i kontynuowana, dotknęła najgłębszych podstaw życia zbiorowego i jednostkowego. Stare pokolenie uczyniła dla siebie nieszkodliwem i zaprzęgała do ciężkiej pracy przy budowie państwa, opartego na nowych zasadach — młode zaś starannie wychowuje w duchu i atmosferze tych zasad.

W rezultacie rewolucji zahamowany został normalny rozwój nauki rosyjskiej, być może na czas dłuższy. Mimo jednak trudne warunki nie widać zaniku działalności naukowej w Rosji, lecz wprost przeciwnie — działalność ta, w pewnym zakresie, raczej się wzmogła w latach ostatnich. Być może przypisać to należy okoliczności, że pewne niedomagania i braki

w organizacji pracy naukowej zostały usunięte, powstaniu licznych nowych warsztatów pracy, w których poważny zastęp pracowników znalazł oparcie, oraz, do pewnego stopnia, udostępnieniu szerokim masom zdobywania wiedzy. Co do przyszłości nauki rosyjskiej, to, o ile nie nastąpią nowe poważne zaburzenia wewnętrzne, możnaby przepowiadać, na podstawie obecnego stanu rzeczy, stopniową poprawę jej bytu i dalszy pomyślny rozwój może na większą skalę, niż to miało miejsce przed wojną.

LUDWIK SAWICKI.

### Z CZASOPISM FRANCUSKICH.

#### MEMORABILIA.

##### *Les Amis de la Pologne, Juin:*

*Les Orphelins de Cracovie (1846).* Piosenka typowa w stylu Berangera, jak wyjaśnia przypisek odnaleziona w papierach rodzinnych przez panią Taillard, jednocześnie z listami „emigranta polskiego do rodziny jego w Gdańsku”. — W kronice sprawozdanie z ciekawego posiedzenia „Przyjaciół Polski Dzielnicy Łacińskiej” w dn. 11. V., na którym panna Zuzanna Strowska miała odczyt o Konopnickiej, poczem hr. de Noailles deklamowała jeden ze swych wierszy.

##### *Correspondant, 25 Juin:*

Genéral Baratier: *Fachoda*. II. Dalszy ciąg porywających wspomnień. Konflikt z Anglią i dyplomatyczne rozwiązanie jego przez Delcasségo. — Armand Praviel: *Un Marseillais pessimiste: M. Edmond Jaloux*. — Marie Jeanne Durry: *Un ennemi intime du consul Stenhal*. Na podstawie nieznanych listów ciekawy przyczynek do historii ostatniego dziesięciolecia życia i kariery służbowej pisarza, rzucający światło na jego charakter. — Maurice Brillant: *Les oeuvres et les hommes*. W świetnej jak zawsze kronice artystyczno-teatralnej, M. Brillant (m. i. autor h. omawianej powieści: *L'amour sur les tréteaux ou la fid'èle punie, z życia teatralnego XVIII w.*) chwali wystawienie *Romea i Julji* w „skoncektrowanym wyciągu” J. Cocteau. Wynałazki teatru rosyjskiego, Mcyerholda w szczególności, użycie metod baletowych, zrytmizowanie gry aktorów podług zasad choreografii klasycznej (lecz, broń Boże, nie gimnastyki rytmicznej” i „tańców klasycznych”, zastrzega sprawozdawca) znajdują w p. Brillant stronnika i znawcę, w czem widzę wpływ p. A. Lewinsona, europejskiego dziś autorytetu w sprawach baletowych, często przez p. M. Brillanta cytowanego i wspomnianego.

##### *Le Correspondant, 10 Juillet:*

Jacques Bardoux: *La poussée démocratique dans l'Angleterre contemporaine. IV. Les idées de J. Ramsay Macdonald*. Premjer angielski, „socjalista realistyczny, parlamentarny i narodowy”, jest pisarzem wielkiego wdzięku i groźnym przeciwnikiem K. Marxa i wszelkich mrzonek wyrotowych, opartych na „naukowym” materializmie historycznym. — Alfred Poizat: *A propos du centenaire d'Alexandre Dumas fils*. Przejrzysta charakterystyka człowieka i dzieła, hołd należny jednemu z największych dramaturgów nowoczesnych, twórcy współczesnego teatru francuskiego. — R. Escholier: *Soult en Portugal*. Pełna nieznanych szczegółów karta z dziejów wojny hiszpańskiej, eieka w dla czytelnika polskiego, jak wszystko, co ma związek z polem heroicznych walk naszych żołnierzy.

##### *Le Correspondant, 25 Juillet:*

Edmond Vermcil: *La pensée de l'Allemagne contemporaine. Le comte Hermann Keyserling et l'École de Sagesse de Darmstadt*. Zakończenie artykułu drukowanego w N-rze z 10.X ub. r. Postawa Keyserlinga względem wojny i zwyciężonych Niemiec, tak różna od idei O. Spenglera. — A. Praviel: *Le jardin des lettres*. W niniejszej kronice uwagi z powodu uwieńczenia przez Akademię poety Abel Bonnarda, pełne złośliwej ehoć eleganckiej ironji pod adresem jego bezdusznego werbalizmu; natomiast uznanie dla nagrodzonej powieści Emila Henriot *Aricie ou les vertus bourgeoises*. — Paul Verschave: *Un converti hollandais. Le poète Frédéric van Eeden*.

*L'Esprit. Nouveau, Juin:*

Paul Dermée: *Pétrus Borel*. Dobra charakterystyka tego reprezentanta skrajnej lewicy romantyzmu francuskiego. — Emile Dermenghem: *Thomisme et néo-thomisme*. Protest przeciw zamykaniu religii w ramy oficjalnej filozofii. — Le Corbusier: *Statistique*. Nowy szkic z dziedziny urbanizmu, porównawczy napisany, ilustrujący cyframi i wykresami grozę przyszłości wielkich miast, które nie mogą dostosować swego rozwoju do wzrostu ludności i ruchu automobilowego. (A Warszawa nadbudowuje domy!)

*Mercure de France, 15 Juin:*

Auriant: *La véritable histoire du chevalier de Lascaris*. Przyczynek do spraw bliższego Wschodu z przed stu lat, modnych dziś z powodu zainteresowania się niemi Barrès'a i Pierre'a Benoît, autora powieści *La châtelaine du Liban*, której heroiną jest Lady Stanhope, znajoma Emira Rzewuskiego. Warto byłoby zaznaczyć powieściopisarza francuskiego z przyczynkiem do tej historii — niedawno przedrukowaną w *Astrei* notatką Emira Rzewuskiego o fantastycznej Angielce. Może pod piórem francuskim zmartwychwstałaby postać Farysa, tak zaniedbanego przez rodaków. — Pierre Viguié: *Sur Henri de Régner*: „Poète idéaliste et pur acoquiné à un libertin de la plus franche venue“; ten ostatni dominuje w powieściopisarzu, którym autor studjum mniej się zajmuje. — Guy Charles Cros: *Chanson pour bercer une morte*. Drobny, b. piękny i b. rosyjski w stylu uczuciowości wierszyk, opiewający leżącą na marach „la grande la sainte Russie“. — Daniel Mascé: *L'exil d'Ovide*. Autor dochodzi do niewiarygodnego wniosku, że ustępy Owidjusza, Tacyta i Diona Kassjusza, które służą nam do wyjaśnienia przyczyn wygnania poety, są późniejszymi interpolacjami, wstawionymi przez posiadacza wszystkich manuskryptów — Kościół, celem zakrycia jakichś spraw, odnoszących się do początków chrześcijaństwa (? w 9 r. naszej ery?) — Jean Dorsenne: *Les saints mutins de Pitcairn*. Historia zbuntowanej załogi okrętu angielskiego w końcu XVIII w., wśród wysp Oceanji, przewyższająca fantastycznością przygodę imaginacji niejednego powieściopisarza. — Marcel Rouff: *Guinoiseau... (II)* W dalszym ciągu powieści, wśród zabawnych dowcipów i kawałów cyganerii z przed 30 lat, oglądamy mimochodem wyraziste sylwetki: Verlaine'a w szynku, Moréasa na czele hulawczej bandy i innych, dziś sławnych, zmarłych lub ustałkowanych. — W kronice E. Magne omawia Ronsardiana; C. Pitollet dość obszernie wlicza bogactwa biblioteki J. Morgana, ofiarowanej Stanowi New-York.

*Mercure de France, 1 Juillet:*

Marcel Boll: *Le système du docteur Freud*. Ostra krytyka, nieco zbyt krąćcowa w negacji symptomatycznego znaczenia snów. — Edouard Dujardin: *La vivante continuité du Symbolisme*. Autor sam należy do owego wielkiego i do dziś dnia wpływowego pokolenia. — Henry Massoul: *Trois voyages d'Italie*. Porównanie wrażeń turystycznych de Brosse's'a (1739 — 1740), Dickensa (1844 — 1845) i Maeterlincka (1924).

*Mercure de France, 15 Juillet:*

Régina Zabloudovsky: *La crise de la culture intellectuelle en Allemagne*. Kwestje religijnych i metafizycznych podstaw ideologii. — Bergotte: *Un psychologue du péché: Marcel Proust*. O powieści *Sodome et Gomorrhe*; studjum napisane tak, że potrafi zachęcić do Prousta najwytrwalszego niedowiarca tego kultu. — Ferdinand Boyer: *Le gagnepain de Stendhal*. Dzieje służby konsularnej Beyle'a. — Doskonale napisana kronika powieściowa (zwłaszcza część petitowa) Johna Charpentier i kronika spraw marynarki.

*Mercure de France, 1 Août:*

Henri Bachelin: *Art et critique*. Polemika z artykułami G. Bruneta (*Mercure de France* z 15. V), który dowodził równorzędności sztuki i krytyki. — Ambroise Got: *L'organisation de la propagande allemande*. Wszechpotęga tej organizacji i nam, Polakom, wytłumaczy niejedno nasze niepowodzenie. — Ernest Raynaud: *Souvenirs de police. Le tsar Nicolas II à Paris*. Żywo napisane wspomnienia, ciekawy zabytek bałwochwalstwa Francuzów dla „Aljantki“. — Ahmed Hachim: *Les tendances actuelles de la littérature turque*. — Léon Deffoux et Pierre Dufay: *Du pastiche et des influences littéraires*. Kilka ciekawych przyczynków do historii falsyfikatów i trawestacji. — Marcel Rouff: *Guinoiseau ou le moyen de ne pas parvenir*. Piąty i ostatni ełg urojonego życiorysu cygana literackiego, cynika i smakosza; rzecz napisana z dużym, acz nieco monotonnym dowcipem. — W kronice literatury o nowych stendhalianach; w kronice powieściowej o powieści Marcela Boulenger *Le Vicomte*, najlepszej z ogłoszonych w tym roku przez *Revue Hebdomadaire*. Dość dziwne jest sąsiedztwo ateistycznej kroniki historii religij z katolicką kroniką hajjografji, mistyki oraz z kroniką ezoteryzmu; kronika kinematograficzna.

- e *Monde Nouveau*, 15 Juillet:  
Clement-Janin: *L'oeuvre d'Edouard Estaunié*. — J. M. Synge: *La fontaine aux Saints*. — Auriant: *Lamartine dupé*. Prawda historyczna sprawy Lascarisa, dzięki łatwości Lamar-tine'a ubranej w bajeczne kolory.
- a *Revue Hebdomadaire*, 14 Juin:  
Guy de Pourtalès: *Postface à une traduction nouvelle de „Hamlet“*. — Philippe Barrès: *Un cantonnement en 1916*. Fragment wspomnień wojennych syna zmarłego pisarza.
- a *Revue Hebdomadaire*, 21 Juin:  
Pierre Villetard: *Ma cousine Edna*. Dalszy ciąg rozwijającej się zabawnie powieści, charakteryzującej współczesną Amerykanke. — Ch. G. Amiot: *Impressions sur Stendhal*. Kilka zdrowych sądów, także i o Balzacu. — W kronice R. de Saint-Jean omawia *Incidences* A. Gide'a, charakteryzując trafnie jego umysłowość, pokrewną z Rosjan Dostojewskiemu, z Anglików W. Paterowi. E. Halperine-Kaminsky podaje list Tolstoja, z parergów do jego pracy o Szekspirze.
- a *Revue Hebdomadaire*, 5 Juillet:  
Paul Guinard: *Barrès et Greco*. Z powodu obchodu żałobnego w Toledo, analiza jednej z najcharakterystyczniejszych i najbardziej wiecznotrwałych książek Barrésa.
- 7 a *Revue Hebdomadaire*, 12 Juillet:  
Alfred Dumaine: *Le comte de Marcellus*. Tu i w dwu następnych nrach sylwetka dyplomaty z czasów Restauracji i hellenisty-dyletanta, zasłużonego Francji przy zakupieniu Venus z Milo, przyjaciela Chateaubrianda i gościa in Lady Stanhope. — Jean d'Elbée: *De L'Allée des Philosophes aux Nuits d'Épreuve, par Charles Maurras*. O dwóch ostatnich książkach głośnego pisarza. — Martial-Piéchaud: *Revue des Folies Bergères et du Casino de Paris*. „Poezja z teatru przeniosła się dziś na sceny Music-hallów“. — W recenzjach z wystawy retrospektywnej sztuki szwajcarskiej uderza jednomyślnie we wszystkich pismach potępienie Boecklina.
- a *Revue Hebdomadaire*, 19 Juillet:  
Charles Le Goffic: *Barrès et l'avertissement breton*. Aluzje do celtycko-saraceńskiego jakoby początku rodu pisarza. — Pierre Villetard: *Ma cousine Edna*. Szósty i ostatni ciąg dobrze napisanej powieści, cennej przenikliwą psychologią Amerykanki — najwyższego wykulturowanej kultury — a także wypukłością i humorem w malowaniu komparsów.
- a *Revue Hebdomadaire*, 26 Juillet:  
Longworth Chambrun: *La vogue de Shakespeare au Grand Siècle*. O uznaniu Szekspira w Anglii XVII w. i o początkach szekspiryzmu francuskiego, sięgającego końca tegoż wieku, oraz o pierwszym zbiorowym wydaniu po francusku w tłumaczeniu P. Le Tourneura w połowie w. XVIII.
- a *Revue de Genève*, Juin:  
Jacques Boulenger: *Stendhal et Duvergier de Hauranne*. Przyczynek do historii walki romantyków francuskich z klasykami. — A. Hernandez Cata: *Les Morts*. Dokończenie noweli, z ponurą potęgą malującej życie przytulnki trędowatych. — Thomas Mann: korespondencja literacka z Niemiec, o ostatnich powieściach Jakóba Wassermanna, J. Pontena, E. Ungara, E. Weissa.
- a *Revue de Genève*, Juillet:  
A. Thibaudet: *Le liseur de romans*. Kapitalny artykuł, na niewielu stronicach ujmujący syntetycznie kilka kwestyj z historii powieści, jej czytelnictwa, wpływu kobiet, roli krytyki. — David Garnett: *La femme échangée en renard*. W tłumaczeniu A. Maurois początek powieści dziwacznej i wdziennej, najlepszej pono powieści angielskiej 1922 r. — Georges Popoff: *Le secret du Bolchévisme*. Artykuł bezlitosny, jaki tylko Rosjanin może napisać o swej ojczyźnie, wykazujący stosowność dla Rosji teraźniejszego jej ustroju. — W końcu zeszytu, prócz kilku dobrych recenzji, doskonała (od paru coraz ciekawszych numerów stała) rubryka: wiadomości o autorach artykułów, znajdujących się w zeszytce: dla międzynarodowej publiczności, na jaką jest obliczone czasopismo, jest to konieczny przewodnik.
- a *Vie*, 15 Mai:  
John Charpentier: *Sébastien-Charles Leconte*. Prezes „Stowarzyszenia Poetów“, jeden z „wielkich poetów“ współczesnej Francji, uczeń Leconte de Lisle'a, dbał o ścisłą łączność z nanką, liryzmem swym przypomina bardziej W. Hugo i symbolistów takich, jak jego przyjaciel Leon Dierx, niż Parnasistów. — Camille Pitollot: *Sur notre cosmopolitisme littéraire*. Czytelnik wielkiego dodatku literackiego do argentyńskiej gazety *Nación* zdaje sobie sprawę, że istnieje

już literatura wszechświatowa, że myśl ta sama manifestuje się to w jednym, to w drugim języku z 6 czy 7, dziś najważniejszych. — Joseph Rabearivelo: *Stances*. Wiersz poety ma dagaskarskiego.

a *Vie*, 1 Juin:

W kronice streszcza się artykuł z *Revue de l'Université*, gdzie p. A. Martel odkrywa z zachwytem, że język polski nie jest jedynie zbiorem dialektów, lecz jedynym językiem literackim terytorjum polskiego, tym samym w trzech zaborach, co dowodzi, że naród polski nie był martwy.

a *Vie*, 15 Juin:

Henri Pourrat: *Yeats et Joyce*. Dwaj Irlandczycy, liryk i realista, a przebie wewnątrznie pokrewni. — Sprawozdanie z 1-go kongresu bizantynistów w Bukareszcie. — Jean Royère: *Un roman d'idées dans le cadre de l'aventure*. O powieści Leblondów *Ulysse, Caïre*. Autor artykułu, sam wybitny poeta, omawiany z powodu zbiorowego wydania dzieł przez Paul Forta. — Edmond Pilon podziwia w dłuższym artykule *Historję Francji* J. Bainville'a.

a *Vie*, 1 Juillet:

Flamerville d'Apécourt: *En Castille*. Ostra i barwna charakterystyka Hiszpanji współczesnej, tradycjonalistycznej, zawsze nienawidzącej Maurów, Francji i wolnomyslicielstwa. — Wielkie pochwały dla powieści M. Brillanta *L'amour sur les tréteaux ou la fidélité punie*, utworu miłośnika tradycji teatralnych i gastronomicznych starej Francji.

a *Vie*, 15 Juillet:

Arthu: Fontaine: *Edouard Estaunié*. — Francis Jammes: *A Charles de Bordeaux*. Piękny wiersz do przyjaciela, powieściopisarza dekorowanego niedawno Legją Honorową. — Obszerne streszczenie francuskiej książki, wydanej przez *Missions françaises d'Orient* (Avon-sur-Marne), której autor O. Joseph-Baptiste, Karmelita Bosy, odtwarza na podstawie pamiętników i korespondencji żywot Józefa Kalinowskiego, oficera rosyjskiego, później znakomitego powstańca w 1863 r., katorżnika, wreszcie zakonnika, oddanego myśli nawrócenia Rosji na łono katolicyzmu.

a *Vie*, 1 Août:

Pierre des Ruynes: *A une Américaine*. Piękne wiersze, jakby z natchnienia Musseta, pełne wdzięku, sentymentu, prostoty. — Książkę M. Gaucheza *Romantiques d'aujourd'hui* omawia w interesującym artykule C. Pitollet. — Ciekawostka: wybór pieśni epickich serbskich wydanych po francusku w Tananarivie na Madagaskarze przez p. Rabaté, pewnie tuziemca.

a *Vie des Peuples*, Juillet:

Miguel de Unamuno: *La grande Canarie*. Opis z przed lat kilkunastu wyspy, na którą obecnie autor był relegowany. — Christian Sénéchal: *Georges Duhamel*. Początek dobrze napisanej monografii sugestywnego poety unanimy, niepospolitego dramaturga, wielkiego powieściopisarza, który może niezadługo zajmie pierwsze miejsce wśród żyjących autorów francuskich. — J. de Mistler d'Auriol: *Madame de Staël et le police autrichienne en 1812*. Sporo o stosunkach pisarki ze społeczeństwem polskim w czasie przejazdu przez Galicję. — Afranio Peixoto: *Bugrinhu* (III). Odpowiednio do charakteru b. międzynarodowego tego eiekawego miesięcznika, drukuje się wysoce egzotyczna powieść: przekład z pisarza brazylijskiego. — Edmond Rocher: *Ronsard et la Nature*. Ładne studjum o poecie pióra jego ścisłego rodaka, z nad brzegów uroczego Loiru. — Leonie Villard: *Le Mouvement littéraire en Angleterre*. M. i. o ostatniej powieści J. Conrada, pono jednej z najlepszych *Włoczędzy Mórzu*, z epoki Wielkiej Rewolucji; chciałoby się widzieć jak najprędzej po polsku Kiplinga *Opowiadania z łądów i mórzu dla skautów*, dzieło podobno wielkiej wartości zarówno artystycznej jak i pedagogicznej. — Raoul Labry: *Le mouvement littéraire en Russie*. Dobrze napisany, lecz „wiatrologiczny“ przegląd literatury powojennej („najlepsza po w i e ś ć Czerwonej Rosji: *Anno Domini Achmatowej*“). W końcu zeszytu 7 stron białego petitu poświęcono wycinkom z czasopism polskich, b. dobrze dobranym.

## KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE.

STUDJA LITERACKIE. — Boy-Żeleński: *Flirt z Melpomeną*. (Wieczór :zwarty). Warszawa, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“. — Kleiner, Juliusz: *Pro-roctwo księdza Piotra*. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza. — Kołaczkowski, Stefan: *Twórczość Jana Kasprówicza*. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza („Z historii i literatury“). — Mickiewicz, Ladislas: *La trilogie du Collège de France*. *Mickiewicz, Michelet, Quinet*. Paris, 1924, Musée Adam Mickiewicz. — Zachar-jewicz, Julian: *Adam Mickiewicz, Polska i Stany Zjednoczone Ameryki*. Lwów, 1924, Spółka Akcyjna Wydawnicza. — Żeleński Tadeusz, (Boy): *Molier*. Warszawa, 1924, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“.

KOMENTOWANE WYDANIA AUTORÓW. — Anczyc, Wł. L.: *Obrazki dra-matyczne ludowe*. Opracował prof. Jan St. Bystron. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza („Biblioteka Narodowa“ Serja I, Nr. 78). — Kraszewski, J. I.: *Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*. Powieść z czasów Jana Sobieskiego. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Wiktor Hahn, prof. Uniw. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza („Biblioteka Narodowa“ Serja I Nr. 81). — Słowacki, Juliusz: *Mazepa*. Tragedja w pięciu aktach. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Bronisław Gubrynowicz, prof. Uniw. Warszawskiego. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza („Biblioteka Narodowa“ Serja I Nr. 76). — Zimorowic, Szymon: *Roksolanki*. Opracował Aleksander Brückner. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wy-dawnicza („Biblioteka Narodowa“ Serja Nr. 73). — Mickiewicz, Adam: *Grażyna*. Powieść litewska. Z wstępem Józefa Tretiaka i objaśnieniami Dra Henryka Ży-czyńskiego. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza („Biblioteka Narodowa“ Serja I Nr. 74).

POEZJE. — *Liryicy francuscy*. Wybór poezyj od XII do XX wieku. Wybrał i przypisami opatrzył Leopold Staff. Warszawa, 1924. Instytut Wyd. „Biblioteka Polska“. — Schiller, Fryderyk: *Ballady*. Przełożył Stanisław Kaczkowski. Łódź, 1924, druk J. Baranowskiego.

POWIEŚCI I NOWELE. — Balzac: *Komedja Ludzka*. *Kuzynka Bietha*. Prze-łożył i wstępem opatrzył Boy (Tadeusz Żeleński). Warszawa, 1924, nakł. „Biblijo-teki Boya, skł. gł. „Biblioteka Polska“, 2 tomy (Przekładów Boya t. 77 — 78). Conrad, Józef (Korzeniowski): *Między lądem a morzem* (*Twixt land and sea tales*). Tłumaczyli z angielskiego: J. Lemański, J. B. Rychliński i A. Zagórska. Warszawa, 1924, Tow. Wyd. „Ignis“ (*Pism wybranych* J. Conrada tom XIII). — Glinka, Xawery: *Wichry stepowe*. Powieść. Warszawa, 1925, skł. gł. Kazimierz Paszkowski. — Schwob, Marceli: *Żywoty urojone* (*Vies imaginaires*). Tłumaezył z francuskiego Leon Schildenfeld-Schiller. Warszawa, 1924, Tow. Wyd. „Ignis“.

HISTORJA. — Mościcki, Henryk: *Pod berłem carów*. Warszawa, 1924, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“.

PUBLICYSTYKA. PAMIĘTNIKI. — Dyboski, Roman: *Anglja po wojnie*. Wrażenia i refleksje. Kraków, 1924, Krak. Spółka Wydawnicza. — *Wspomnienia legjonowe*. Materiały z dziejów walk o niepodległość. Część I. Warszawa, 1924, nakł. Instytutu Badań Najnowszej Historji Polskiej, skł. gł. „Ignis“.

VARI.A. — Haller, Konstanty inż.: *Poradnik budowniczego*. Warszawa, 1924, nakł. autora, skł. gł. w Instytucie Popierania Polsk. Twórczości Naukowej p. n. Kasa im. Mianowskiego. — Niemojewski, Andrzej: *Polskie niebo*. Z 70 wizerunkami. Warszawa, 1924, Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“. — Rygiel, Stefan. *Sprawa zwrotu*

*mienia kulturowego Wileńszczyzny z Rosji*. Wilno, 1924. Odbitka z Nr. 5 r. 1924. *Ateneum Wileńskiego*. — Szulczewski, Bronisław dr. med.: *Dusza dziecka*. Z przedmową Bernarda Chrzanowskiego. Poznań, 1924, Fiszer i Majewski. — *Teksty do nauki języka staropolskiego. Wieki XIV i XV*. Wybór, objaśnienia i przypisy Konrada Drzewieckiego. Pod redakcją Jana Baudouina de Courtenay. Warszawa, 1924, Gebethner i Wolff.

PIŚMIENICTWA OBCE. — Čechov, A. P.: *Tri sestry*. Drama v 4 dejstvách. Preložila B. Š. Turč. Sv. Martin, 1924, odtl. zo *Slovenských Pohl'adov*. — Hviezdoslavove *Šobrané Spisy básnické*. Sv. I. Oddiel epický. Turc. Sv. Martin, 1924, Matica Slovenská. — Jégé: *Adam Sangala*. Historicky obraz zo XVII storočia. Turč. Sv. Martin, 1924, odtl. zo *Slovenských Pohl'adov*. — Polivka, Jiří dr.: *Súpis slovenských rozprávok (Collection de contes slovaques populaires)* Sv. II. Turč. Sv. Martin, 1924, vyd. Matica Slovenská. — Škultety, Jozef: I. *Prvé shromaždenia národné v Turčianskom Sv. Martine*. Turč. Sv. Martin, 1924.

DZIENNIKI. — *Dziennik Narodowy* (Piotrków). — *Dziennik Poznański* (Poznań). — *Dziennik Wileński* (Wilno). — *Dzień Polski* (Warszawa). — *Echo Warszawskie* (Warszawa). — *Gazeta Administracji i Policji Państwowej* (Warszawa). — *Gazeta Lwowska* (Lwów). — *Głos Narodu* (Kraków). — *Kurjer Gdański* (Gdańsk). — *Kurjer Polski* (Warszawa). — *Kurjer Poznański* (Poznań). — *Kurjer Warszawski* (Warszawa). — *Naprzód* (Kraków). — *Nowa Ziemia Lubelska* (Lublin). — *Polska Zbrojna* (Warszawa). — *Pomorzanin* (Kościerzyna). — *Przegląd Poranny* (Poznań). — *Robotnik* (Warszawa). — *Słowo* (Wilno). — *Słowo Polskie* (Lwów). — *Wiadomości Polsko-Słowackie* (Cieszyn).

CZASOPISMA. — *Ameryka* (Warszawa). — *Ameryka-Echo* (Toledo-Ohio). — *Bellona* (Warszawa). — *Droga* (Warszawa). — *Głos Ludu Śląskiego* (Cieszyn). — *Iskra* (Warszawa). — *Jedność-Polonia* (Baltimore). — *Kultura Słowiańska* (Warszawa). — *Myśl Niepodległa* (Warszawa). — *Myśl Wolna* (Warszawa). — *Nowa Kultura* (Warszawa). — *Pani* (Warszawa). — *Polsko-Bułgarski Przegląd* (Sofja). — *Przegląd Polityczny* (Warszawa). — *Przegląd Powszechny* (Kraków). — *Przegląd Współczesny* (Kraków). — *Przegląd Wszechpolski* (Warszawa). — *Przewodnik Bibliograficzny* (Lwów). — *Przyjaciel Szkoły* (Poznań). — *Tydzień Płocki* (Płock). — *Tygodnik Ilustrowany* (Warszawa). — *Tygodnik Polski* (Harbin). — *Tygodnik Toruński* (Toruń). — *Wiadomości Literackie* (Warszawa). — *Wielkopolanin* (Pittsburg). — *Życie Teatru* (Warszawa).

CZASOPISMA OBCE. — *Les Amis de la Pologne* (Paris). — *Baltische Presse* (Danzig). — *Le Correspondant* (Paris). — *L'Esprit Nouveau* (Paris). — *Der Gral* (Essen). — *Mercure de France* (Paris). — *Le Monde Nouveau* (Paris). — *La Nouvelle Revue Française* (Paris). — *Prager Presse* (Prag). — *La Revue de Genève* (Genève). — *La Revue Hebdomaire* (Paris). — *La Vie* (Paris). — *La Vie des Peuples* (Paris).

## ZAPISKI.

**Polemika.** — Od p. Władysława Umińskiego otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie pismo następujące:

W recenzji o mojej książce p. t. *W podobłocznych krainach*, która ukazała się w N-rze 21 *Przeglądu Warszawskiego* (o czym dopiero teraz się dowiedziałem), autorka

wyraziła przypuszczenie, że „zapewne przez niedopatrzenie nie zanotowano na karcie tytułowej, z jakiego dzieła francuskiego pochodzi ta przeróbka“ (str. 400).

Przypuszczenie to jest zarówno błędne, jak krzywdzące mnie w wysokim stopniu. Pisząc bowiem ową książkę, opierałem się na źródłowych pracach w języku angielskim, przeważnie zaś na głośnym dziele Landora, ze źródeł francuskich wcale nie korzystałem. Użycie przez mnie kilku wyrażenia francuskich oraz kilku nazw w transkrypcji angielskiej nie upoważniało autorki recenzji do wysnuwania nieuzasadnionych wniosków i przypuszczeń, przynoszących ujmę mojej czci pisarskiej. Z francuskiego nie tylko nic nie przerabiałem, ale przeciwnie parę książek moich przełożono z polskiego na francuski.

WL. UMIŃSKI.

List p. Umińskiego zakomunikowaliśmy autorce wymienionej recenzji i w odpowiedzi otrzymaliśmy następujące wyjaśnienie:

W odpowiedzi na uwagi p. Umińskiego zaznaczam:

Przypuszczenie moje o przeróbce z francuskiego nie miało bynajmniej na celu dotknięcia czci pisarskiej p. U., ale wyłącznie wytłumaczenie sobie zjawiska, skąd w książce polskiej, pisanej nie o Francuzach i Francji, ale o Polakach, Angliku i Persji nietylko nazwy potraw, zwierząt i prowincyj podawane są po francusku, ale i sposób zachowania się bohaterów scharakteryzowany jako „gaskonada“, nadto tu i owdzie po całej książce rozsiane wyrażenia niezgodne z duchem polskiego, zgodne natomiast z duchem francuskiego języka.

Wyjaśnienia mogły być dwa: albo to ślady łamania się autora z francuskim materiałem powiastki, albo tego rodzaju gust osobisty co do stylu i czystości języka.

Wydało mi się mniej fantastycznym przypuszczenie francuskiego pochodzenia powieści, która samą już swoją irańsko-tybetańską treścią stwierdzała, że nie może mieć pretensyj do oryginalnych zdobyczy naukowych czy przeżyć artystycznych autora. Wobec przysłanych wyjaśnień p. U., muszę przyjąć obecnie owo drugie tłumaczenie, które wydawało mi się zbyt fantastycznym. W każdym razie lojalnie muszę zaznaczyć, że nigdzie poza tem, ani w tymże numerze recenzowanych *Synach puszczy*, ani w podróży *Od Warszawy do Ojcowa*, której recenzję ma już Redakcja, nie zauważyłam w stylu i języku p. U. powtórzenia się tych naleciałości gallickich. Był to widocznie na szczęście tylko wyjątek.

A. GRUSZECKA.

\*

**O zapisek Mickiewicza z r. 1829.** — W Nr-ze 34—35 *Przeglądu Warszawskiego* (na str. 181—184) dr Kazimierz Tyszkowski ogłosił tekst francuskiej zapiski Mickiewicza, skreślonej w r. 1829 dla rosyjskiego poety Żukowskiego, który wówczas wybierał się w podróż do Warszawy. Wiadomości podane we wstępie do tego tekstu uzupełnić należy szczegółami następującymi. Zapiska owa nie jest zupełnie *ineditum*. Wiedziało się o niej i znało się ją z rękopisu, zachowanego w Bibliotece Jagiellońskiej, który atoli jest tylko bruljonem. (Z tego rękopisu ogłoszono ją w t. IV-ym *Korespondencji Adama Mickiewicza* w wydaniu paryskim z r. 1885, na str. 109—111; stamtąd zaś przedrukował ją dr. M. Reiter w t. X-ym lwowskiego wydania *Dzieł wszystkich poety* nakładem H. Altenberga). Tekst, z którym zapoznał nas dr. Tyszkowski, oparty jest na czystopisie, zachowanym w Archiwum Ostafjewskim Książąt Wiaziemskich i teraz dopiero udostępnionym dzięki publikacji

rosyjskiej *Krasnyj Archiw*. Pomimo że w głównej swojej treści jest on zgodny z tekstem bruljonu, przedstawia wszelako dla miłośników Mickiewicza niewątpliwy interes, a to ze względów następujących. (1) Jest on o cztery pozycje większy, niż tekst bruljonu: zawiera mianowicie nieistniejące w bruljonie charakterystyki ks. rektora Szweykowskiego, Woronicza, Walerjana Krasińskiego i Klementyny z Tańskich Hofmanowej. (2) Ugrupowanie charakterystyk pisarzy jest odmienne. W bruljonie po notatkach o Niemcewiczu i Lelewelu idą notatki o dwóch poetach romantycznych (Odyńcu i Zaleskim) i Brodzińskim, potem o dwóch Fredrach, wreszcie następuje grupa, objęta ogólnym tytułem *Poètes classiques* i zawierająca: Osińskiego, Koźmiana, Kruszyńskiego, Morawskiego, Mrozińskiego, Działyńskiego i Świdzińskiego. W czystopisie obok grupy *Poètes classiques*, wyodrębniona jest jeszcze druga: *Poètes romantiques*, a prócz Zaleskiego i Odyńca obejmuje Brodzińskiego (umieszczonego *primo loco*). Z „poetów klasycznych“ wyłączył tu Mickiewicz (jak słuszna!) Działyńskiego, Świdzińskiego i Mrozińskiego, dodał zato do ich grona obydwu Fredrów (korygując równocześnie *lapsus calami* bruljonu, który Aleksandra Fredrę zrobił autorem dramatu, a Maksymiljana komedjopisarzem). W grupie wstępnej, bez osobnego nagłówka, znaleźli się w ten sposób pisarze, których widocznie Mickiewicz uważał za stojących zupełnie poza aktualnym sporem o kierunek literatury: Niemcewicz, Lelewel, trzej erudyci, przeniesieni tu z pośród *poètes classiques* bruljonu, i wreszcie czworo tych, o których, jak się rzekło, bruljon zupełnie nie wspominał. (3) Zawiera wreszcie tekst ostateczny kilka ciekawych zmian stylistycznych i uzupełnień bruljonu. Notatka więc o Niemcewiczu nie ma w bruljonie słów: „*au champs de bataille de Maciejowice*“. Towarzystwo Przyjaciół Nauk nazwane jest w bruljonie „*Société Royale des amis des Sciences et des Lettres*“. W redakcji ostatecznej zmienił poeta ten tytuł na „*Société Royale philomatique de Varsovie*“. „*Nowosiltsof*“ jest w czystopisie z ironiczną grzecznością tytułowany: „*Mr. Novosilzoff*“. Osiński w redakcji pierwszej nazwany jest: „*directeur du Théâtre Nationale*“, w drugiej: „*directcur du théâtre polonais à Varsovie*“. Ustęp o nim kończy się w bruljonie słowami: „*C'est le Baour-Lormian de la Pologne*“. Czystopis dodaje ciekawy szczegół: „*il suit le cours de la Harpe*“. (Tekst d-ra Tyszkowskiego, oparty na *Krasnym Archiwie*, mylnie podał *Baour-Sormian* zamiast *Baour Lormian*). Poprawił też Mickiewicz w drugiej redakcji kilka mniej zręcznych wyrażeń i usterek frazeuszczyzny. Wprowadził wreszcie (rzecz ciekawa!) nazwę rosyjską dla określenia poezji Zaleskiego („*Ukrainskija dumy*“).